

De 11.1
TOM CCLVIII.

ROK 65.

SERYA 9.

ZESZYT 772.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

K W I E C I E Ń.

1905.

TOM II. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. DRUGIE „LIBERUM VETO,“ — przez D-ra <i>L. Kubalę</i>	1
2. PRZEMIANY. Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez <i>Kazimierza Zdzichowskiego</i>	27
3. SYMBOL W NOWEJ POEZYZI POLSKIEJ, — przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i>	61
4. NOWY TRAKTAT HANDLOWY, — przez <i>Henryka Radziszewskiego</i>	88
5. Z NAJNOWSZEJ LITERATURY NIEMIECKIEJ, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	106
6. NA SCENIE I NA ESTRADZIE, — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	120
7. PUŁASKI W AMERYCE, — przez <i>Władysława M. Kozłowskiego</i>	144
8. PIŚMIENNICTWO:	
S. POSNER: Japonia. Państwo i prawo. Podług źródeł europejskich. Warszawa, 1905, — przez A. R.	163
DR. KONSTANTY WOJCIECHOWSKI: Werter w Polsce. Lwów 1904. Księgarnia polska B. Polonieckiego, str. 175, — przez <i>H. Reinholda</i>	169
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Gospodarka miejska w Królestwie Polskiem. — Bezrobocie a lud wiejski. — Walka z nędzą w Warszawie. — Wobec niebezpieczeństwa ospy i cholery. — Opieka nad dziećmi więźniów. — Zabezpieczenie od pożarów. — Handel żywym towarem. — Zmiany w prasie. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Tadeusz Barącz. — Ś. p. Henryk Kieszkowski	178
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	194

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 1.

Wydawca: Biblioteczka Warszawska, 1913



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

LIŚCIE MIESIĘCZNE

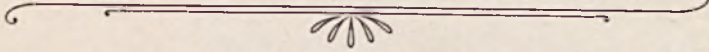
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Rok 1913 — Tom II.

Wydawca: Biblioteczka Warszawska, 1913

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 258.



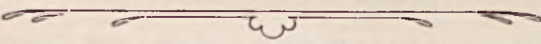
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1905.—Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1905.

Originals stored in 23

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De II 1

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 марта 1904 года.

Vol 1905 - Tom II

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne

ul. Krakowska 10

Drugie „Liberum Veto.”

W czasie, kiedy posłowie carscy w Pereasławiu i po innych miastach i grodach ukraińnych odbierali przysięgę wierności, kiedy wojsko moskiewskie zajęło Kijów, a posłowie kozaccy przybyli do Moskwy ze statiami Chmielnickiego¹⁾: w Warszawie sejm się odbywał.

Sejm ten, brzemienny w następstwa, tłómaczy nam zarazem ów dziwny, choć nieodosobniony w dziejach naszych wypadek, że Jan Kazimierz w następnym roku, w czasie inwazyi szwedzkiej, opuszczony od wszystkich, uciekać musiał z kraju... Dopiero wspólna niedola miała go pojednać z narodem.

Jeszcze z obozu pod Żwańcem rozesał uniwersały na sejmiki. Żądał zaległych podatków, zapłaty żołnierza zupełnej, żołdu na dalsze pół roku i wojska na takiej stopie, aby z wiosną odeprzeć nieprzyjaciela²⁾.

16 grudnia pospolite ruszenie, urzędnicy i senatorowie wracali do domu okryci hańbą, pełni wstydu i rozjątrzeni na króla³⁾,

¹⁾ Przysięga w Pereasławiu i „stati“ Chmielnickiego. Kwartalnik hist. 1904, zeszyt 2.

²⁾ Instrukcyja króla na sejmiki. Teki Narusz. 1654—Lengnich Hist. Prus VII. № 46. p. 102, 114 — rpis Ossol. № 189. p. 667.

³⁾ Jakże było usposobienie powracającej szlachty, widać z wieści obiegających Ukrainę. 29 stycznia mówił Buturlinowi pisarz metropolity Aleksander Filonow: król teraz w Lublinie, przy nim szlachty mało, a w Polsce wielkie przewroty; wszyscy niechęcią, aby Kazimierz panował, bo się wrócił do Kamieńca i chciał Kozakom przysięgi dochować, gdyż Kozacy zrobili go królem i syna Chmielnickiego chciał wyswobodzić. A szczęścia dobrego ten król... nigdy nie miał i dlatego innego obierają w Warszawie; jedni chcą królewskiego

który już po raz wtóry siebie i całą Rzptę na szacie postawił, gdyż tak, jak pod Zborowem wraz szlachtą i senatem otoczony, okupić się Tatarom musiał, a mając 6000 wojska bez bitwy haniebną ugodę z nimi zawarł. Kozacy uspokojeni nie zostali i nowa wojna z nimi, a może i z Moskwą groziła.

Tyle milionów — pisze wojewoda łęczycki — tyle ludzi straciłimy, a ciągle w tym odnęcie zostajemy. Mimo tylu podatków, zaciągów i takiego krwi rozlania, żadnej korzyści nad nieprzyjacielem nie odnosim: ani wywalczyć, ani okupić pokoju, ani odetchnąć nie możemy, ale w coraz większe wpadamy niebezpieczeństwa ¹⁾.

Haniebny, niedorzeczny pokój (pod Żwańcem) — pisze kanclerz Radziwiłł — król zniesławiony. Rady starych żołnierzy i dobrze życzących ojczyźnie odrzucano: brakowało doświadczenia wojennego a wszyskiem kierowała samowola, której ani prawo, ani obawa niesławy nie były wstanie poskromić. Bóg zażąda rachunku za tyle krwi marnie przelanej, za tyle łez i gwałtów ze strony wrogów i wojska. Od kogo — On wie ²⁾.

W oczach szlachty król, jako hetman wielki i wódz naczelny, był odpowiedzialny za wszystko. Po śmierci Mikołaja Potockiego (1651) zatrzymał wielką buławę. Sejm brzeski (1653), nadając hetmanowi polnemu Stanisławowi Rewerze Potockiemu władzę nad wojskiem taką, jaką mieli hetmani wielcy w sądach, porządku i ordynansach ³⁾, zostawiał tem samem w rękach królewskich buławę wielką, a z nią przygotowania wojenne i prowadzenie wojny. Był to dowód wielkiego zaufania i gdyby się był zajął gorliwie swoim obowiązkiem lub wreszcie zlecił tę sprawę doświadczonym żołnierzom: buława wielka kor., a później i wielka litewska, zostałyby w jego rękach. Niestety, w wyprawie żwanieckiej okazał

brata Karola, drudzy Rakoczego, a inni chcą się poddać cesarzowi. Akty Już. i Zap. Rossii X. 259. ²⁾/₃ donosi Wyhowski carowi, że u Lachów zamieszczenie: przeciw królowi powstałi panowie radni, chcą go złożyć z tronu i brata jego Karola albo Rakoczego królem zrobić. Tamże str. 325. — Toż samo ³⁾/₃ kazal powiedzieć Chmielnicki posłańcowi cara. Tamże str. 393. — Tamże posłańiec carski dowiedział się w Nizynie ¹⁾/₃, że Polacy i Litwini złożyli z tronu Jana Kazmierza i zrobili go biskupem a na jego miejsce wynieśli Szweda, krewniaka królewskiego, ale jak on się nazywa, niewiadomo. Tamże str. 350.

¹⁾ Wojewoda łęczycki do sędziego wschowskiego z Warszawy 25 stycznia 1654. Rpis Czartor. № 384 p. 34.

²⁾ Memoriale. December 1654.

³⁾ Vol. Leg. 1653 „O władzy hetmańskiej“ i abrogacya tejże uchwały 1654.

niedbałość w przygotowaniach wojennych, lekkomyślność i lekceważenie powagi swojej i bezpieczeństwa Rzptej.

Instrukcyje uchwalone na sejmikach¹⁾ poleciły wybranym posłom pociągnąć do odpowiedzialności winnych, a przedewszystkiem odebrać królowi naczelne dowództwo nawet tam, gdzie mu z prawa i zwyczaju przysługiwało.

Mieli więc posłowie podziękować Najjaśniejszemu za trudy wojenne, zdrowia dobrego życzyć i prosić, aby wakanse rozdał a mianowicie buławy, dla lepszego rządu w obozie, a sam aby sobie odpoczął i nie wdawał się w tak wielkie niebezpieczeństwo. Rząd zaś wszystek i sądy przy hetmanie wielkim miały zostawać, choćby król z pospolitem ruszeniem był obecny²⁾.

Mieli zapytać, dlaczego w polu było tylko 30000 wojska³⁾, skoro Rzpta podatek na 50000 pozwoliła. Gdzie się podziały pieniądze? Czy było wojsko kwarciane, któremu płacą z kwarty a nie z pieniędzy uchwalonych na zaciężnego żołnierza? Czemu na regiment królewski dawano pieniądze ze skarbu, a oficerom cudzoziemskim żołd po zmarłych żołnierzach brać pozwolono?

Jeżeli hetman polny kor. otrzymał od podskarbiego owe 40000, które w Brześciu na szpiegów uchwalono, winien złożyć z tych pieniędzy rachunek i wytłómaczyć, z jakich powodów dla braku wiadomości o zamiarach nieprzyjaciela, król i Rzpta w takim niebezpieczeństwie się znalazła.

¹⁾ Mam przed sobą „Punkta artykułów sejmikowych“ opatowskich, krakowskich, lubelskich, wiśnińskich, płockich, średzkich, szadkowskich i czerkskich na sejm 1654 r., zebrane dla użytku podkanclerzego Trzebiekiego (archiwum Polanieckie k. 181), Instrukcyje generalnego zjazdu ziem pruskich w Grudziądzu 14 stycznia 1654 r. (Lengnich hist. Prus VII. 102), Instrukcyje sejmiku witebskiego z 31 grudnia (Akad. Umiej. rpis Pusłowskiego VIII. 257 i teki Narusz.), Instrukcyje sejmiku mińskiego 2 stycznia (tamże p. 259 i teki Narusz.), Instrukcyje sejmiku smoleńskiego 31 grudnia 1653 r. (teki Narusz.), Instrukcyje wtwa kijowskiego, braławskiego i czerniechowskiego we Włodzimierzu 21 grudnia 1653 r. (Archiw. Jugo-Zap. Rossii tom I część 2 p. 464), Instrukcyje sejmiku wołkowyskiego 11 stycznia (Akad. Umiej. rpis Pusłowskiego VIII. p. 265), Instrukcyja sejmiku proszowskiego (krak. wtwo) 30 grudnia 1654 r. (rpis Czartor. № 2576, 83 i rpis Ossol. № 189, 667 — 680).

²⁾ Była to inowacya. Dotychczas było w zwyczaju, że pospolitem ruszeniem król dowodził, a ilekroć się znajdował w obozie, najwyższe dowództwo do niego należało.

³⁾ Król miał pod Żwańcem blisko 60000 wojska, z tych 32000 służebnego żołnierza (Memoriale 22 czerwca 1653) reszta pospolite ruszenie, łanowe chorągwie i posiłki węgiersko-włoskie.

Wielkie wojsko przez cały rok nic nie robiło w porze sposobnej zimy poczętej i całego lata. Dowiedzieć się mieli posłowie o przyczynie tego, co właściwie gubi Rzptę. Za czyją radą porę wojenną opuszczono i darmo czas trawiono przez Komisję lwowską, długie stanie pod Glinianami i Kamieńcem przez dwa miesiące, sierpień i wrzesień, bo han dopiero w październiku przyszedł? Czemu litewskie wojsko z koronmem się nie złączyło? Dlaczego król inne narody bronił pod Suczawą, zamiast Rzptę? Kto był powodem, że wolno puszczone 6000 wojska kozackiego z Suczawy, aby był karany¹⁾.

Polecono posłom domagać się przedłożenia punktów, jakie z nieprzyjacielem stanęły i aprobować pokój zawarty -- ale z dobrem dla Rzptej.

W sprawie zapłaty wojska i dalszego poparcia wojny kazano im żądać rachunku od podskarbiego, oraz regestrów wojska, a przedewszystkiem ostatni komput odebrać i przynieść wszystko na sejmiki.

Dług wojskowy do 1 października wyniósł według informacyi podskarbiego kor.²⁾ pół czwarta miliona. Na dalszą wojnę trzeba było uchwalić podatki. Nie odmawiała ich szlachta, i chociaż je rewokowała na sejmiki relacyjne, można było mieć nadzieję, że mimo zubożenia powszechnego, deklaracya podatków wszędzie nastąpi.

Instrukcyje sejmikowe, moderowane w obecności senatorów, były, jako akta publiczne, trzymane w tonie poważnym. Środki proponowane w celu przeprowadzenia uchwalonych artykułów, miały się dopiero na sejmie ujawnić. Ze stylizacyi artykułów, uchwalonych w Środzie, we Włodzimierzu i w Mińsku można wnosić, że w Wielkopolsce, na Litwie i województwach, zajętych przez Kozaków, opozycya przeciw królowi była najsilniejszą. Egzultanci z Braclawia, Wołynia, Kijowa i Czernihowa stracili nadzieję powrotu do dóbr swoich. Znaczna część Litwy była pod wpływem wojewody wileńskiego i hetmana polnego, Janusza Radziwiłła.

Książę, osobisty wróg króla, rozdrażniony do żywego wyprawą Zwaniecką, która doszczętnie zniszczyła dom jego teścia,

¹⁾ Król — jak pisze Rudawski — wysłał Machowskiego z listem do obłożonych w Suczawie Kozaków, obiecując im ulaskawienie, jeśli się poddadzą. Rudawski IX.

²⁾ Informacya posłana na sejmik proszowiecki 1 stycznia 1654 r. od podskarbiego kor. Rpis Ossol. № 189 p. 639.

hospodara Lupula, pragnął zemsty i przygotowywał do niej szlachtę. Wieści, rozchodzące się po Ukrainie o detronizacji króla i paszkwile wśród wojska¹⁾, były echem jego zamiarów. Krytyka ostatniej wyprawy²⁾ ze strony tak znakomitego wodza, była miążdżąca, a hasła o szkodliwych rządach króla, „który Rzptę, jak cudzą rzecz traktuje,“ łatwo się przyjmowały między szlachtą.

Opaliński, wojewoda poznański, za którego „sprawą artykuły w Środzie pro Republica“ stanęły, a które on „postanowił przywieść do skutku wszelkimi sposobami,“ zamierzał widocznie zaskoczyć króla w połowie sejmu jakąś rokoszową akcją, do czego z wielką obawą i w niesłychanej tajemnicy werbował stronników³⁾.

Takie były przygotowania i opinia w kraju w okresie zgromadzeń i obrad przedsejmowych, mniej więcej od końca grudnia do połowy lutego. Co prawda, to ani senatorowie, ani szlachta o poddaniu carowi Ukrainy i o rozpoczętej wojnie moskiewskiej nie wiedzieli.

Tymczasem król, wróciwszy 1 stycznia z pod Żwańca do Warszawy⁴⁾, zwołał radę senatu⁵⁾ i przedłożył powody, dla których jaki taki pokój z hanem stanąć musiał i w jaki sposób go zawarto.

Wszyscy obecni uznali i sam król przyznawał, że to żaden pokój, skoro skryptu nie ma, ani z obu stron zaprzysiężony i zgoła wszystkie zwyczaje przy stwierdzaniu pokoju zaniechane. Nadto i Chmielnicki wcale nie odezwał się z poddaństwem i żadnej po-

¹⁾ List Janusza Radziwiłła do prymasa z Mińska 3 grudnia 1654 r. Kottubaj życie J. Radziwiłła p. 396.

²⁾ List tegoż do prymasa z obozu pod Rzeczą 10 października 1653 r. Tamże p. 389.

³⁾ Wojewoda poznański do Gniewosza, biskupa kujawskiego w lutym 1654 r. Rpis Ossol. № 339 p. 27. „Nawet ludzie nie wiedzą, że się z WMPanem znoszę... proszę abyś posłom sandomierskim i krakowskim, u których masz i znajomość, i powagę swoją, raczył to przypominać, aby się ze mną znosić chcieli... przyjaciół też swoich, których masz w Senacie i w Izbie racz zagrać przez sługi swe i mnie ich podać w liście... choć cudza a poufała ręka... przysięgam, że w sekrecie największym pozostanie, albo nazad odesłany będzie.“

⁴⁾ 1 stycznia o 9 wieczorem wrócił król do Warszawy. Gazette de France 1654 r. p. 142.

⁵⁾ Radę senatu, na którą tym razem i prymasa zaproszono, składali: biskup łucki, wojewodowie: smoleński i lubelski, kasztelanowie: sieradzki, łęczycki, ciechanowski i liwski.

kory nie okazał, co nietylko krnąbrności i złej woli znakiem, ale i dowodem, że na lato o większej wyprawie zamysłał.

Uradzono więc wysłać poselstwo do Krymu dla ugruntowania pokoju i rozerwania do reszty przyjaźni tatarsko-kozackiej, gdyż han pomimo oporu Chmielnickiego, ten pozór pokoju z królem zawarł i sam pokój proponował, od którego, jak się spodziewali senatorowie, nie będzie miał ochoty odstąpić, boby mu się tyle z wojny nie okroiło, ile z obiecanych i dawno zatrzymanych podarunków.

Do obu hetmanów polnych postanowiono wysłać pieniądze na szpiegi, oraz polecenie, aby jeśli uznają za stosowne, ofiarowali łaskę królewską chłopstwu, a zarazem z obu stron na Ukrainę wkroczyli, a jeśli się ludność zachowa spokojnie, jak najłaskawiej się z nią obchodzili i tylko jej broń odebrali.

Naznaczono zarazem komisarzy do traktatów z Kozakami, ale wprzód niektóre miejsca dobrze zaprowiantowane i silnemi załogami osadzone być miały, gdzieby się wojska królewskie, w razie uporczywej złości kozackiej, cofnąć, załogi zaś nieustannie wycieczkami dręczyć buntowników mogły, iżby prędzej wrócili do posłuszeństwa, „bo im ustawicznie trzeba o pokoju mówić a potęgę pokazywać. Jeśliby się zaś ten sposób nadał, mogliby się na ostatek sami poróżnić, mając zwłaszcza w pobliskich załogach pomoc, i pewnego napierać się pokoju.“¹⁾

Gdyby uchwały Rady bez zwłoki wykonano, byłyby i pokój z Tatarami wcześniej utwierdzony i wspólna wyprawa przeciw Moskwie, do której han króla nakłaniał, ułożona. Wkroczenie wojsk Rzptej na Ukrainę mogło przeszkodzić zaprzysiężeniu kozaków i mieszczan i sparaliżować akcyę Rosyan i Chmielnickiego.

Niestety, o wykonaniu pomyślano dopiero w czasie sejmu, a wiadomość o tych uchwałach dostała się tam, gdzie dojść nie była powinna.

¹⁾ List J. Leszczyńskiego, wojewody łęczyckiego, do wdy poznańskiego z Warszawy 16 stycznia 1654 r. Rpis Czartor. № 384 p. 29. Zdaje się, że na radzie senatu proponowano, aby pieniędzmi i obietnicami ujmować starszyznę kozacką, bo wda łęczycki pisze do sędziego wschowskiego z Warszawy 25 stycznia 1654 r.: „Zdarzyłyby to Bóg, żeby z milion w dobrym ręku na początku tej wojny był, iżby albo Tatarów od Chmielnickiego oderwać, albo Chmielnickiego i Kozaków poróżnić. Ale kiedy komu 100 talarów ofiarują, a on z łupu i swawoli ma 1000, smaczna licentia cum praeda. Rpis Czartor. № 384 p. 34.

W Moskwie dowiedziano się o nich 23 kwietnia i wysłano zaraz w dniu następnym rozkaz Chmielnickiemu, aby obwieścić pułkownikom i wojsku zaporoskiemu, że z Warszawy przybył na służbę carską pułkownik Radziwiłła, Lotaryńczyk Klaudiusz Franciskus, który w czasie sejmu dowiedział się, że król i senatorowie uradzili zawrzeć pokój z Kozakami, przyjmując wszelkie warunki i zaprzysięgnąć je, byle porzucili Moskwę. A potem mają wyruszyć na Ukrainę i wytepić ich do szczętu, ponieważ w żaden inny sposób do jedności z rzymskim kościołem przywieść ich nie mogą, a papież rozkazał pod klątwą kościelną Kozaków wytepić i posłał królowi rozgrzeszenie, jeśli zgwałci przysięgę¹⁾.

Opublikowanie listu carskiego udaremniło na jakiś czas wszelkie zabiegi Rzptej, dążące do uspokojenia Ukrainy. Stronnicy króla byli w oczach łatwowernej czerni wrogami prawosławnej wiary i ruskiego narodu. Metropolita, wyższe duchowieństwo i przychylna Polsce starszyzna wojskowa—przycichli, miasta nadgraniczne nie wyglądały już, jak zbawienia, wojska Rzptej.

W Warszawie tymczasem, po odbytej radzie senatu i wyprawieniu Bieganowskiego, posła, do Turcyi, nie troszczono się o przygotowania wojenne. Wojny z Moskwą nie tak prędko się spodziewano, o zajściach na Ukrainie długi czas nikt nie wiedział. Uwaga dworu skierowana była na sejmiki. Groźniejszy to był nieprzyjaciel, niż car moskiewski.

W miarę, jak nadchodziły kopie instrukcyj dla wybranych posłów, kancelarya państwa układała je podług materyi, aby mieć przegląd, przy czem poszczególne województwa upierać się będą²⁾. Napływały szczegółowe relacye z obrad sejmikowych, donosy i bajki rozliczne.

Dwór starał się wszelkimi siłami wzburzenie szlachty usmieżyć. Wszelkie stosunki wyzyskano, wszystkich sposobów użyto. Królewicz Karol, biskup wrocławski, najbardziej wpływowy człowiek w Polsce, obiecał przybyć na sejm, aby szlachtę zjednoczyć³⁾. Królowa pisała do prymasa, który się tłómaczył z powodu rozsiewanych bajek na niego. „Także i król — donosił wojewoda

¹⁾ List cara do Chmielnickiego z Moskwy 24 kwietnia 1654 r. Akty Jużn. i Zapad. Rossii, X 572.

²⁾ Jedyny akt w tym rodzaju ilustrujący czynności przedsejmowe kancelaryi koronnej, znalazłem w papierach Trzebickiego, podkanclerzego 1654 r. Archiwum Polanieckie k. 181.

³⁾ Gazette de France. 20 stycznia p. 189.

łączycki prymasowi — rozkazał mi napisać do WXM., aby przyjeżdżający na sejm posłowie, przez WXM. ujęci, nie nie traktowali, coby miało być z niesławą JKM., jako też i królowej, bo te punkta uwłaczają godności królewskiej, którymi na niektórych sejmikach potrząsano. „Niewiątpie — powiedział mi król — że kiedy prymas będzie chciał, dokaże tego, mając brata, siostrzeńca i innych poufałych przyjaciół między posłami, i proszę, niech mi się w tem nie wymawia ani niemożnością, ani trudnościami, bo ja całą pokładam w jego zręczności nadzieję i ufność“¹⁾. Niewątpliwie i inni senatorowie, urzędnicy i przychylni królowi możnowładcy otrzymali podobne zlecenia, postanowiono wreszcie obchodzić suto na dworze królewskim zapusty i wśród hucznej zabawy ujmować rogate dusze.

Dwór był pełen nadziei, że sejm minie szczęśliwie i zamiast podkopać i osłabić, wzmocni i ugruntuje królewską władzę: umarł bowiem w tym czasie wojewoda połocki, wielki hetman litewski z prastarego rodu Kiszków, a król miał teraz obie buławy wielkie w swoim ręku i postanowił, jak pisze Rudawski, wystąpić zaraz na początku sejmu z całą powagą majestatu, jako najjaśniejszy hetman Polski i Litwy.

Miał on tem większe rozumienie o swoich militarnych zdolnościach, im bardziej mu ich zaprzeczano, buław oddawać nie myślał, a nawet bez przyznania się do winy i bez niesławy i poniżenia swego — nie mógł.

Rzeczy tak stały, że szlachta chciała całą hańbę wyprawy Żwanieckiej zwalić na jego barki i jakby za karę odebrać mu naczelne dowództwo nawet tam, gdzie mu się z prawa należało. Można było przewidzieć, że Izba poselska, związana instrukcjami, wystąpi zaraz na początku sejmu z żądaniem mianowania hetmanów, że w razie odmownej odpowiedzi stanie w obronie zagrożonej wolności Rzptej, powoła się na zaprzysiężone pakta, obrzuci króla i królowę inwektywami, i mając takich dyrektorów, jak Radziwiłł i Opaliński, wypowie posłuszeństwo. Zwycięzka rewolucya w Anglii miała przed 14 laty analogiczne zarzutami i inwektywami do uległości, początki.

W tych warunkach cały plan kampanii sejmowej polegał na tem, ażeby nie pozwolić Izbie wystąpić z żądaniem mianowania hetmanów.

¹⁾ List wojewody z Warszawy 14 lutego 1654 r. Rpis Czartor. № 384. k. 38.

Sprawę tę wziął w swoje ręce podskarbi kor. Bogusław Leszczyński, najwięcej po królu zagrożony instrukcjami sejmikowemi, i prowadził tę niebezpieczną dla siebie grę z taką zręcznością i w takiej tajemnicy, że jak się później okazało, nawet stryj jego, wojewoda łęczycki, tak wpływowy i czynny w czasie tego sejmu, nic o roli i praktykach bratanka swego nie wiedział.

Sejm¹⁾ otwarty został 11 lutego przy słabym udziale senatorów i posłów. Zaraz w pierwszym dniu załatwiono wszystkie formalności, które zazwyczaj dużo czasu zabierały.

Marszałkiem Izby wybrany został Franciszek Dubrawski, mąż wyjątkowych zalet i wielkich cnót obywatelskich. Większą część życia w obozie spędził, krwi i zdrowia ojczyźnie nie żałując. Znakomity mówca, człowiek rozumny, doświadczony, pełen nauki i wielkiej skromności. Na sejmie koronacyjnym Izbie poselskiej marszałkował, pieczęci mniejszej nie przyjął i do końca życia podkomorzym przemyskim pozostał²⁾, bo na niniejszym sejmie stracił — pisze Kochowski — łaskę króla, a prawdopodobnie i mir u szlachty.

Po uroczystem powitaniu króla, zajęła się Izba spisaniem wakujących urzędów i godności, które król zaraz na początku sejmu rozdać był obowiązany. Obie buławy należały do waksów³⁾.

W senacie wotowali senatorowie i ministrowie w obecności posłów przez trzy dni mięsopustne nad propozycją królewską. Między innymi podskarbi kor. wynosił pod niebiosa zasługi króla,

¹⁾ Krótki dyaryusz tego sejmu znajduje się w memoryale Albrechta Radziwiłła r. 1654, (rpis Ossol. № 117 — porównać z Tekami Naruszewicza) oraz w Lengnichu hist. Prus VI — 111 — 116 i tam odsyłam czytelnika, gdzie nie podaję odsyłaczów.

²⁾ Potocki: Centuria clarissimorum virorum f. 350. Rpis Ossol. № 189 p. 679.

³⁾ Konstytucja z r. 1607 orzekła, że „wakancye wszelakie, urzędy, dygnitarstwa koronne i dworskie, jako w Koronie tak w Wielkiem X. Lit., według prawa, przysięgi zwyczajów dawnych, nie czyniąc w tem żadnej zwłoki, król rozdawać ma osobom zasłużonym... czego posłowie ziemscy przestrzegając upominać się, mianowawszy, co wakuje, mają przez marszałka poselskiego przy propozycyi i do żadnych konsultacyj sejmowych, aż się temu prawu dosyć stanie, przystępować nie mająć.“

Jan Kazimierz zaprzysiął w artykułach Pactorum Conventorum, „że urzędy koronne i litewskie wcale przy własnych władzach zachowa, a wakancye extra tempus comitorium najdalej w sześć niedziel, jako się o której dowie, a na sejmach ante omnia konferować będzie.“

a skarżył się — on minister — na nierząd i nieposłuszeństwo. „Nie czynim, co każą konstytucyje, podatki nie wydane. Podnosimy przeciw ojczyźnie ciągle bunty, na sejmikach per laudum znosimy, co sejm rozkaże; sejmy rewokujemy na sejniki; wymyśliliśmy sobie od niejakiego czasu sejniki relacyjne, przyczynę zamieszania w ojczyźnie, gdy prawo pospolite relacje na sejmikach deputackich złożyło. Gdybyśmy prawa słuchali i wcześniej wydali podatki, iżby wojsko wcześniej ruszyć mogło, wrógbymy już był zwyciężony, wygnańcy osiedliby swe ziemie. To tedy pierwszy wakans, że vacat obedientia.“ Żądał surowszych praw na retentorów i proponował, aby na zapłacenie żołdu od 1 października 1653 do 1 lipca 1654 nie ściągać podatków od chłopów, ale obligować dziedzicznych panów, duchowieństwo, starostów i dzierżawców, aby te trzy ćwierci złożyli, a od 1 lipca wybierać starym zwyczajem od chłopów, bo sobie odpoczną¹⁾.

Głosy senatorskie przygłuszone huczными zabawami, zwłaszcza na dworze królewskim, nie zwracały zbyt dużej uwagi. Bankietowano i hulano na umór, tak, że w te trzy dni mięsopustne wszyscy dyabli mieli więcej zysku i pociechy, niż Pan Bóg w czterdziestodniowym poście.

Jakby na otrzeźwienie sejmujących stanów spadł niespodziewany grom. Przybył (16 lut.) Młocki, goniec królewski, wysłany do Moskwy i zdawał (21 lut.) w senacie sprawę swego poselstwa. Król wezwał 23 lutego wszystkich obecnych senatorów i posłów na tajną radę i uwiadomił ich — o czem się znać dopiero 21 lutego dowiedział²⁾ — że Chmielnicki w Pereasławiu złożył przysięgę wierności carowi, wojsko i lud do przysięgi zmusił, że zatem wojna z Moskwą już rozpoczęta.

Wygotowano natychmiast uniwersały do wojska zaporoskiego³⁾ i do miast ukraińskich⁴⁾, aby zdrajcę odstąpili w spokoju i przyrodzonym poddaństwie i gotowości zostawali, gdy wojsko koronne nastąpi, a król ich w dawnych prawach i wolnościach nienaruszenie zachowa. Wydano teraz dopiero (20 lutego) z kan-

¹⁾ Votum podskarbiego kor. Leszczyńskiego na sejmie 1654. Teki Narusz.

²⁾ Bo w instrukcyi danej 20 lutego Jaskólskiemu, posłowi do hana, nic o tem nie wspomniano.

³⁾ Uniwersał Jana Kazimierza do wojska zaporoskiego z Warszawy 21 lutego 1654 r. Akty J. i Z. Rossii X 549.

⁴⁾ Uniwersał Jana Kazimierza do burmistrzów, rajców, ławników, atamanów i wszystkiej czerni w grodach, siolach i miasteczkach z Warszawy 28 lutego 1654 r. Małorus. perepiska Zabelina № 13 — Markiewicz III — № 26.

celaryi królewskiej instrukcye dla Jaskólskiego, który miał jechać w sprawie utwierdzenia pokoju i wspólnej wojny przeciw Moskwie. Wysłano uniwersały do żołnierzy, aby się jak najprędzej do obozu zjeżdżali¹⁾. Wojewoda kijowski miał ruszyć z swem szczupłem wojskiem i z posiłkami, które Rakoczy i gospodarowie przysłać byli obowiązani, pod Płoskirów, Radziwiłł dostał rozkaz zająć kwatery na Ukrainie.

Czas naglił: to też na trzecim posiedzeniu Izby (25 lutego) sprawa wakansów była już na ukończeniu; marszałek uwiadomił króla, że przybędzie do senatu z prośbą o rozdanie wakujących godności i królewszczyzn — kiedy niespodziewanie wystąpił jeden z posłów z żądaniem, aby hetmani składali przysięgę.

Popularny ten wniosek, mimo że nie stał w żadnym związku ze sprawą będącą na porządku dziennym, popierany przez stronnictwa dworskie, zyskał wielu zwolenników i wywołał zaciętą dyskusyę, której końca nie było.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu uchodził na bezpłodnych rozprawach. Stronnicy królewscy mówili ciągle o zaprzysiężeniu hetmanów, przyczem starali się przekonać Izbę, że król może w interesie państwa rozdanie niektórych godności zachować na czas późniejszy, bo i po Zamoyskim wakowała buława lat 13, a po Żółkiewskim lat 12, skąd dowód, że buława jako wakans sejmowy, uważaną być nie może. Bąkowski, poseł chełmiński, powtarzał upornie, że Izba może prosić króla, aby mianował hetmanów, ale prawnie żądać tego nie może. Inni posłowie, korzystając ze sposobności, występowali przeciw królewskim nadaniom, których drudzy bronili. Chwalono i ganiono stawianych kandydatów... dyskusya schodziła coraz więcej w bagno osobistych interesów...

Marszałek ubolewał nad nieszczęściem ojczyzny, która wśród takich niebezpieczeństw nie może znaleźć synów kochających, coby poniechawszy spraw prywatnych o jej ratunku myśleli — niestety, jedna i druga strona tyle się już nagadała o miłości ojczyzny, że wszyscy na tym punkcie ogłuchli.

Garstka stronników dworskich tamowała obrady. Król żywił nadzieję, że w obec grożącego niebezpieczeństwa posłowie zaniechają buław. Izba tego samego spodziewała się po królu i szła na wytrwałą.

¹⁾ 30 lutego 1654 r. Rpis Ossol. 189 p. 681.

Aby zażegnać ten głuchy spór między koroną a szlachtą, pragnął wojewoda łęczycki, Jan Leszczyński, sprowadzić do Warszawy Janusza Radziwiłła i przywrócić mu za pośrednictwem prymasa łaskę królewską. Z przybyciem hetmana, na którego barkach spoczywała obrona Litwy przed najazdem moskiewskim, król jako wódz naczelny byłby zmuszony zająć się pogotowiem wojennym, o co się widocznie nie troszczył, a hetman pogodzony ze dworem mógłby wpłynąć na posłów, aby nie tyle o buławach ile o obronie Rzeczy myśleli.

Wojewoda, krewny prymasa, brat biskupa warmińskiego, a stryj potężnego podskarbiego kor., cieszył się wielką powagą w senacie, w Izbie i u króla. Był z przekonania regalista, ale nie przypuszczano go do tajemnic dworskich, ponieważ nie krył się ze swoją admiracją dla Radziwiłła. „W prowadzeniu wojny — pisał — i zawieraniu pokoju nie może być nikt sposobniejszy. Życzyłem po Batochu, aby on sam hetmanem¹⁾. Ujęty zaufaniem hetmana, który mu duszę swoją otwierał, wierzył weń ślepo i gdzie mógł popierał jego sprawy²⁾.

Pisał więc do prymasa, przedstawiając mu potrzebę „przywrócenia Radziwiłłowi zaufania królewskiego i ukontentowania go czemkolwiek na znak doskonałej łaski. Nie mówię buławą, bo to z racji WXM. i moich prawie niemożliwe i tego jestem zdania, żeby i tanta strona ustąpiła perswazyom WXM. i nie napierała się tej funkcji, co się wielom z bardzo ważnych powodów nie zda... Z tej tedy racji wezwać go tu szczególnie, bo i tak mniemam, że choć nie będzie wezwany, tedy tu przyjedzie, aby się dowiedzieć, jakimi siłami będzie rozporządzał, co w Warszawie powinno być unówione... Bo ja rozumiem o jego wspaniałym umyśle, że sobie najwięcej waży krzywdzące go pogłoski i dopiero tu uzna, że temu i król i my niewinni, kiedy na radę wezwany zostanie. Co się tknie jego prywatnych żądań, jać tego życzę, aby na znak zaufania był przedewszystkiem ukontentowany, jeśliby jednak albo już dane obietnice i deklaracye temu przeskadzały, przynajmniej mu to w oczy perswadować będziem, żeby to w nim nie przytępiało żadnej do usługi ojezyny ochoty, w której z dawnych przodków swoich zawsze słynął³⁾.

¹⁾ Wojewoda łęczycki do proboszcza poznańskiego, regenta kancelaryi kor. z Goślińa 22 kwietnia 1654 r. Rpis Czartor. № 384 k. 61.

²⁾ Tenże do Janusza Radziwiłła z Warszawy 6 mar. 1654. Tamże k. 41.

³⁾ Tenże do prymasa z Warszawy 25 lutego 1654 r. Tamże k. 39.

Prymas przyjechał do Warszawy 5 marca. Wszyscy posłowie ruszyli z Izby na spotkanie wielkiego rozjemcy, pomimo napomnień marszałka, który takiej demonstracyi niepochwalał i o wybranie deputatów do skarbu upraszał.

Jaki był przebieg pierwszej audyencyi i co król odpowiedział w sprawie Radziwiłła niewiadomo. Zdaje się jednak, że się zgadzał na wszystko, byle buławy nie żądano. Radziwiłł również, gdy przybył do Warszawy, zgadzał się na wszystko, bo był pewny, że Izba zmusi króla do oddania mu wielkiej buławy. W takich warunkach pośrednictwo arcybiskupa nie mogło mieć wpływu na uruchomienie sejmu ¹⁾.

W pięć dni po przyjeździe arcybiskupa, pod sam koniec sejmu, przyjechał „arbiter belli et pacis,” nadzieja Rzptej, hetman polny lit. z bratem swym, koniuszym WXL. z wielką asystencyą, żołnierskim obyczajem, jakby pokazać chciał, że czasy wojenne nadchodzą. Przyjechał po informacye, potrzebował pieniędzy i wojska.

Hałas — piszą posłowie księcia pruskiego — podniesie się dopiero za przyjazdem hetmana Radziwiłła, który żąda wielkiej buławy i aby nominacyę swoją przeprowadzić, rozpuscita alarmujące o Rosyi wieści, podejrzywa on, że go król chce pominąć i oddać buławę wielką Sapieże. Z tego powodu może przyjść do groźnych zajść ²⁾.

Tuż za nim przybyli z wielkim hałasem i trzaskiem deputaci wojska koronnego i litewskiego. Żądali zapłaty dla wojska. Niemirycz, podkomorzy kijowski, w imieniu wojska lit. na publicznej w senacie audyencyi hardo i zuchwale przymawiał królowi, zarzucając mu okrucieństwo. Odebrał łagodną odpowiedź, ale król tknięty do żywego obrazą ze strony żołnierza, widział w niej rękę Radziwiłła.

Zwołaną sekretną radę (13 marca), która trzy dni trwała, ale bez skutku. Tu znów obrazili króla niektórzy senatorowie. Odpowiedział wyniośle, że dopóki sam urząd hetmański sprawuje,

1) Spodziewają się tu dobrego zakończenia sejmu — pisze Adersbach do Kurfistra z Warszawy 14 marca 1654 r. — bo prymas na audyencyi 12 marca przekładał królowi, aby oddał buławę Radziwiłłowi, a król obiecał. Urkunden und Aktenstücke VI 685. Ale wieść ta okazała się fałszywą. (Tamże p. 686). Zresztą 12 marca król odwołał tajną radę z powodu słabości arcybiskupa. Memoriale.

2) Hoverbeck do kurfistra z Warszawy 15 marca 1654 r. — Adersbach do kurfistra z Warszawy 7 marca 1654 r. Urkunden und Aktenstücke VI 685, 686.

nikt nie śmie naznaczać innego hetmana. Słowa te — pisze Rudawski — źle tłómaczone, rozdziwiły senat. Moźnowładcy widzieli w nim nie króla, ale Najjaśniejszego hetmana Korony i Litwy; lękali się o wolność Rzptej, gdyby buławy z berłem raz nazawsze połączone zostały.

W skutek tej obawy zawarły — jak doniósł rezydent pruski Kurfirstowi — cztery rodziny: Radziwiłłów, Leszczyńskich, Opalińskich i Lubomirskich związek tak ścisły, że jedna za wszystkie a wszystkie za każdą z osobna ¹⁾).

Jakkolwiek we współczesnych zapiskach nie znalazłem dotąd wyraźnej wzmianki o takim związku, są jednak ślady, że stanął ²⁾), między Januszem Radziwiłłem, Krzysztofem Opalińskim, Janem Lubomirskim i Janem Leszczyńskim i ich familią t. j. jak rozumiem, ich najbliższymi stronnikami, w celu ratowania Rzptej i obrony prawa publicznego ³⁾).

W Izbie tymczasem ciągle jedna i ta sama piosnka o zaprzysiężeniu hetmanów, tylko czasami z wyższego tonu z powodu Jezuity, z którym król kazania sejmowe układał. Ten raz uderzył na dysydentów, stronników Radziwiłła, a drugim razem nazwał

1) Dann dieser wol zu consideriren ist, dass diese vier, als Radziwiler, Leszcziński, Opaliński und Lubomirski familien sich in vertrauter Confidenz so fest mit einander verbunden und veralliiert, dass eine für alle und alle für eine stehen und ohne einziger, durch wessen Bewegniß es auch immer versucht würde, Zertrennung an einander halten wollen. Adersbach do Kurfirsta 14 marca 1654 r. Urkunden und Aktenstücke VI 685.

2) Pierwszy list, który napisał Janusz Radziwiłł do Opalińskiego po sejmie, z Wilna 4 maja 1654 r., rozpoczyna się słowami: „Czyniąc dosyć powinności między nami... odzywam się z gotowością usług swoich...“ Wojewoda poznański odpisując, tak zaczyna: „Jako mi nie bardziej ad vota przypaść nie mogło, jako ta ścisła przyjaźni społeczność, którą miłość i zelus ku ojezyźnie... snadnie zjednoczyły, tak mam sobie jako zadatek jaki i asekuracyą to ponowienie po sejmie teje konjunktey i dotrzymania raz zawartej wyż pomienionej przyjaźni, na której tem się bezpieczniej zasadzam i gruntuje, im to evidentni baczą, że pochodzi z istotnego źródła boni publici i nie farbowanej, ale statecznie spółzawziętej usługi w tak ciężkich i ostatnich terminach zostającej ojezyźny... Rpis bibliot. Aleks. Czołowskiego p. t. „Pomniki histor. polskie“ str. 515, 517.

Co do wojewody łęczyckiego, ten w sprawie buławy rozszedł się w tym czasie, jak zobaczymy, z prymasem i stanął po stronie Radziwiłła.

3) Bo ani prymas Leszczyński ani podskarbi kor. Bogusław Leszczyński, ani kanclerz lit. Albrecht Radziwiłł do związku przystąpić nie mogli.

postów upadłymi aniołami. Stąd oburzenie przeciw „takim kaznodziejom machiawelistom.“

Zresztą mimo obawy, jaką ich najazd moskiewski przejmował, żyli wszyscy, jakby się nic na świecie nie stało¹⁾, bezradni, na pół świadomi, wśród hałasów, kłótni i huków w Izbie i prywatnych zgromadzeniach, a Rzpta stała jak opuszczona dzwonnica, koło której krzykliwe ptastwo świergoce.

Był to widomy znak zbliżającego się nieszczęścia, że sejmujące stany nie mogły wydobyć się z tego zabagnionego od kilku lat położenia. Ta niemoc wewnętrzna była groźniejszą od wszystkich nieprzyjaciół zewnętrznych.

Wszyscy pragnęli dobrego zakończenia sejmu i król i senat i Izba i sam Radziwiłł. „Wiem — pisał później do prymasa — zem się ani tak mało rozumiał na niebezpieczeństwie, które od ściany naszej zagrażało, ani tak mało dbał o sławę moją, o którą gra chodziła, abym nie miał życzyć pomyślnej konkluzji i obrady o obronie dostatecznej“²⁾. Ale nikt nie był w stanie zażegnać sporu między koroną a narodem, iżby ani powaga króla, ani wolność stanów nie ucierpiała.

Sposób, który później podał kanclerz kor., kiedy w odpowiedzi od tronu na żądania Izby, proponował odroczenie nominacji hetmanów, mógł doprowadzić do porozumienia — ale trzeba było naprzód nakłonić króla, iżby chciał oddać buławy, a potem Izbę, aby wierzyła królowi, który robił co mógł, by przekonać wszystkich, że się nie myśli zrzec swoich uroszczeń³⁾. Ale i po sejmie, mimo danej obietnicy, czynił zabiegi, aby zatrzymać buławy. Chciał sam hetmanić na Litwie, a na Ukrainę — jeśli wierzyć listom Chmielnickiego — postanowił wysłać w zastępstwie swoim — królewicza Karola, biskupa wrocławskiego.⁴⁾

¹⁾ Hoverbeck do Kurfirsta z Warszawy 15 marca 1654 r. Urkunden und Aktenstücke VI 686.

²⁾ List Janusza Radziwiłła do prymasa z Mińska 2 grudnia 1654 r. Kottubaj: Życie J. Radziwiłła p. 398.

³⁾ List podskarbiego kor. Bogusława Leszczyńskiego do prymasa b. d. (przed sejmikami w kwietniu 1654 r.). Rpis Czartor. № 400 p. 197.

⁴⁾ Chmielnicki pisał do hana 26 kwietnia, że pod namiem wzięty do niewoli kapelan hetmana Potockiego wyznał przed śmiercią, że król na swoje miejsce posła brata swego Karola, który, jak tylko puści, ruszy prosto na Humai, a teraz nakazano Potockiemu tam obóz dobrze obwarować. W litewskim zaś kraju znaleziono przy jednym zabitym pismo, które się zgadzało słowo w słowo z tem, co ksiądz powiedział. List ten ogłosił Kostomarow w Wiestniku Europy 1878 r. p. 812.

20 marca, na ostatniem posiedzeniu Izby, upraszał marszałek o podanie sposobów załatwienia sprawy wakansów.

Sprzeciwił się temu Aleksander Naruszewicz, pisarz WXL. — później podskarbi litewski — żądając przedewszystkiem zaprzysiężenia hetmanów. Dowodził, że tak ważny urząd, przy którym i sprawy gardłowe i traktaty z ościennemi państwami, nie może być oddany bez zaprzysiężenia.

Wtórowali mu posłowie pruscy z Bąkowskim na czele i inni.

Natomiast Chrzastowski, podsędek krakowski, opowiadał przebieg tej sprawy przed czterdziestu laty; tłumaczył, dla czego nigdy nie można było dojść do zgody i dowodził, że rozstrzygnięcie tej kwestyi nie należy do kompetencji samej Izby, ale do króla i do senatu. Popierali go inni posłowie — król napróżno czekał na ich przybycie w senacie.

Nazajutrz — a był to piąty dzień przed zamknięciem sejmu, kiedy Izba obowiązana była połączyć się z królem i senatem w celu ukończenia czynności sejmowych — stronnicy dworscy chcieli iść do króla i tam kończyć obrady, przeciwnicy twierdzili, że do senatu idzie się z gotowemi uchwałami.

Marszałek z urzędu swego domagał się zgody w sprawie wakansów.

Bąkowski dowodził, że Izba nie ma prawa wymuszać nominacyi hetmanów, może tylko prosić o to. Radził przycichnąć z buławami i razem z królem i senatem radzić nad dobrem publicznem.

Słowa te, wypowiedziane z niejakim lekceważeniem, w takiej kłopotliwej chwili; oraz zarzut, że dotychczas nad dobrem Rzptej nie radzono, zrobiony przez człowieka, który w oczach większości był powodem, że cały czas sejmowy zeszedł marnie — zburzyły Izbę i wyczerpały jej cierpliwość.

Grzymułtowski, poseł kaliski, zauważył, że zamiast dwunastu posłów z województwa chełmińskiego wystarczyłoby czterech.

Zamoyski, miecznik sieradzki, dowodził Bąkowskiemu, że działa wbrew instrukcyi, otrzymanej na generalnym sejmiku w Grudniądzu. Odczytał mu odnośny punkt: „Jeżeli województwa koronne, uwzględniając interes Rzptej, będą rozumiały, że wakująca buława wielka kor. powinna być oddana, wtedy i nasi posłowie mają się zastosować do ich zdania.“

Bąkowski dziwił się, że mu tłumaczą instrukcyę ludzie niepowołani.

Zamoyski gniewem uniesiony zawołał, że jako poseł ma prawo interpretowania instrukcyi.

Sługocki, podczaszy lubelski, posępny i zapalczywy człowiek mówił twardemi słowami: „Mamy tu obcej ręki narzędzie, które oddawna opacznie tłumaczeniem prawa, sprawę mianowania hetmanów odwlec i wstrzymać usiłuje. Izba poselska nie chce na królu niczego wymuszać, stoi przy swoim prawie i obowiązkach. Pod tym względem koronni i litewscy posłowie są jednej myśli — z przekornym zaś i wykrętnym tłumaczem prawa publicznego chciałbym się rozmówić w tej sprawie gdzieindziej. Radbym doświadczył, czy tam także tak bezpiecznie i zuchwale wystąpi, jak tutaj w Izbie. Tymczasem mogę mu w imieniu pozostałych braci oświadczyć, że nie jest prawym synem koronnym, ale bękartem, niegodnym wolności polskiego szlachcica i gotów jestem dowieść mu tego za przyzwoleniem królewskim na dziedzińcu zamkowym.“

Bąkowski odpowiedział spokojnie, świadcząc się wszystkimi, że nie dał powodu do obrazy, jaka go spotkała.

Marszałek podał sposób ratowania sejmu: iść do króla, przedstawić mu nieszczęśliwy stan państwa i nie wspominając o buławach, prosić, aby powagą swoją zapobiedz zechciał grożącemu zerwaniu obrad. Toć gdyby jedna strona uporczywie zaniechała niechciała, druga powinna była ustąpić. Nic nie dokazała swoją serdeczną wymową. Większa część posłów była zdania, że gdyby tylko jeden raz Izba pojawiła się w senacie bez dystrybucji wakanów, bez odczytania uchwał rady senatorów, i bez uchwalonych i spisanych konstytucyj, to na następnych sejmach umyślnieby wszystkie sprawy przewlekano i w ten sposób straciliby i wolność i prawa poselskie, a królowi z senatem wolnoby było stanowić co zechcą. Z tych przyczyn nie chcieli i tego dnia iść do senatu, mimo dwukrotnego wezwania ze strony króla.

Król trwał niewzruszenie przy swoim. Zaklął się niemal — pisze poseł księcia pruskiego — że raczej koronę straci, niż buławę odda, a gdyby go do tego zmuszono, to nigdy Radziwiłłowi, który buntuje przeciw niemu stany. Wszyscy przerażeni tym uporem obawiają się upadku Rzptej i życzyliby sobie, żeby książę ustąpił¹⁾.

Na radzie dworskiej postanowiono dopuścić Izbę z żądaniem oddania buławy dopiero 23 marca. Spodziewano się, że przyjmie do wiadomości odraczającą w tej sprawie odpowiedź, i w trzech ostatnich dniach uchwali obronę Rzptej. W razie zaś, gdyby się posłowie wbrew prawu uparli wrócić do Izby i chcieli tam radzić

¹⁾ Hoverbeck do Kurfirsta z Warszawy 29 marca 1654 r. Urkunden und Aktenstücke VI 686.

nad sposobami zmuszenia króla do ustępstwa, przedsięwzięto środki ostrożności.

To też 23 marca, jak na dany znak, zamilkła nagle opozycya; zgodzono się wrócić do Izby w razie odmownej odpowiedzi¹⁾ i 200 posłów ruszyło schodami, wśród rozstawionej straży marszałkowskiej, do senatu. Marszałek oddał przy wejściu laskę i usiadł na niskiem, czerwonym suknie pokrytem, krześle bez oparcia i poręczy, wysuniętem na środek Izby senatorskiej, posłowie ustawili się za krzesłami ministrów.

Wśród uroczystej ciszy powstał Dubrawski i zażądał rozdania wakansów i mianowania hetmanów.

Odpowiedź, którą wygłosił od tronu kanclerz wielki kor. omijała zupełnie sporną kwestyę prawa i uwzględniała jedynie buławę koronne.

Król — mówił kanclerz — jest tego rozumienia, że to, czem jego przodkowie dowolnie rozporządzali, nie może mu być odebrane, i nie sądzi, aby rozdanie buław było niezbędnie dla państwa potrzebne. Z tego powodu umyślił nominacyę na jakiś czas odłożyć, zwłaszcza, że z powodu częstej niezgody między hetmanami, Rzpta wielkie szkody ponosi, czego dowodem Żółkiewski i Koniecpolski, Potocki i Kalinowski, nie wspominając o innych²⁾.

Kiedy po wysłuchaniu tej odpowiedzi marszałek prosił o pozwolenie wrócenia do Izby, a niektórzy senatorowie przeciw temu wystąpili, twierdząc, że w trzecim dniu przed zamknięciem sejmu posłowie, według prawa, w senacie pozostać winni, wyszedł pierwszy z Izby senatorskiej poseł Potocki z protestem, że król wbrew prawu oddał województwo marszałkowi WXL. Inni posłowie zaczęli wołać na marszałka, aby nieczekając pozwolenia wychodził.

Wtedy Bąkowski wysunął się naprzód i oświadczył, że bez pozwolenia nie wyjdzie, gdyż posłowie winni posłuszeństwo rozkazom królewskim, a zwróciwszy się do tronu, zaklinał króla, aby nie dopuszczał naruszać i wydzierać sobie praw majestatu rękami najpośledniejszego stanu (ab infimo ordine³⁾).

Powstał niesłychany popłoch, wrzawa i krzyki... Ostatnie słowa Bąkowskiego obiegły w mgnieniu oka koło poselskie. Nikt nie słyszał, jak król przez usta kanclerza napominał posłów, aby pozostali w senacie. Przypadłszy hurmą do marszałka, gwałtem

1) Tamże VI 687.

2) Lengnich hist. Prus VII 113.

3) Memoriale. Durch den geringsten Stand. Lengnich.

ciągnęli go za sobą. Senatorowie biegli za ustępującymi, chcąc ich zatrzymać i wyrozumieć, co się stało. Biskupi porwali się z krzesel, kanclerz kor. wołał donośnym głosem, że król pozwala, aby posłowie do Izby wrócili.

Na kurytarzach a potem w Izbie lżono ostatniemi słowy nieobecnych winowajcę. Jedni czekali na niego, chcąc go posiekać w kawałki; drudzy wołali, aby go wyrzucić przez okno, i gdyby się był pojawił — pisze kanclerz Radziwiłł — nie wyszedłby żywy. Chciano go sądzić i zaraz wyrok ogłosić. Głuchowski, poseł chełmiński, przedstawiał, że należy wprzód wysłuchać obwinionego — ale z takim skutkiem, jakby prochu w ogień nasypał. Marszałek musiał zamknąć posiedzenie. Stało na tem, że do niczego nie przystąpią, dopóki ta zniewaga pomszczona nie zostanie.

Jan Ignacy Bąkowski, chorąży i podwojewodzi chełmiński¹⁾, znany był od dawna jako stronnik Dworu. Jako dworzanin pokojowy króla szwedzkiego, królewicza Jana Kazimierza, popierał gorliwie jego sprawę na sejmie konwokacyjnym i elekcyjnym. Był w łaskach u króla, więc wysyłano go często do Warszawy w interesach prowincyi, które on z wielkiem zadowoleniem stanów załatwiał, za co otrzymywał znaczne podarunki ze skarbu krajowego — z podatków publicznych. Wypominał to stanom Jędrzej Leszczyński, biskup chełmiński, podówczas nominat gnieźnieński, przedkładając, że takie postępowanie nadwątła powagę prowincyi i może ją narazić na kłopoty²⁾. Nie obawiano się żadnych kłopotów z przyczyny Bąkowskiego. Dworak układny, człowiek zręczny, pełen humoru i zimnej krwi, przytomny i zuchwały, starał się wszędzie przypodobać królowi, a w pretensjach swoich arystokratycznych — tytułował się prywatnie hrabią z Nostyc — lekceważył równość szlachecką i wolność Rzptej, właśnie dla tego, że była pospolitą rzeczą.

Stał na czele posłów pruskich, a prawdopodobnie i całego dworskiego stronnictwa w Izbie. Nie bez przyczyny nazwał go Sługocki narzędziem króla. Obecnie całą burzę, która królowi groziła, skierował na siebie tak, że posłowie, zamiast radzić nad odpowiedzią królewską, byli zmuszeni zająć się obrazą swego honoru — dobry i zawsze skuteczny środek, byle się znalazł człowiek gotowy do tego rodzaju podniecenia. Czy to był jego pomysł, nie

¹⁾ Następnie podkomorzy chełmiński, podskarbi ziem pruskich, brodnicki, skarszewski, borzechowski starosta, wreszcie wojewoda malborski.

²⁾ Lengnich VII 100.

wiadomo, ale w tak niebezpiecznej sprawie prawo pierwszeństwa zawsze do wykonawcy należy. Adersbach pisze, że król wielkimi obietnicami skłonił Bąkowskiego do tego kroku i ukrywał go przez kilka dni na zamku ¹⁾.

Nazajutrz (24 marca) uchwaliła Izba wezwać po raz wtóry króla, aby wydał buławy; poczem odbył się sąd nad Bąkowskim i zapadł wyrok: odebrano mu raz na zawsze głos w Izbie poselskiej. Bronili go niektórzy: że się przemówił, że tych słów nie słyszeli, chociaż obok niego stali; że dostatecznie już ukarany pogardą całego sejmu... Chełmińscy zgłosili odwołanie do senatu i króla.

Wojewoda łęczycki z garstką patryotów zabiegał u marszałka i u wpływowych posłów o złagodzenie wyroku na Bąkowskiego, oraz o prolongatę sejmu. Z drugiej strony za pośrednictwem prymasa pragnął wpłynąć na króla, aby oddał buławę Radziwiłłowi — jedyny sposób skłonienia posłów do uchwalenia obrony. Ale prymas źle był już usposobiony dla Radziwiłła i zimno przyjął przedstawienia wojewody. „Bo o ile mi się zdało z cery wnioskować, to jeno mnie to miłem było, w czem, Bóg sam widzi, nie miałem żadnej prywaty, tylko co już ginie dobro publiczne, i tak rozumiem, że rzeczy pewne ważniejsze od wątpliwych. Bo to pewne, że nieprzyjaciel mocno się bierze, następuje większą potęgą, religię naszą gwałci, kościoły bierze i przemienia. To wszystko pewne. Niecnoty i zbrodnie imaginacyjne obywateli, gwałcenie przez nich religii — wątpliwe; potęga ich nietrwała, kiedyby co złego zamyślać mieli. Któż tedy taki, coby rzeczy wątpliwe prznosił nad pewne? Nie zasługuję tedy na niełaszkę, jako mi się dziś zdało, dla tego i nocą piszę i proszę o informację, mamli tam być (u prymasa) jutro albo nie, i proszę o odpowiedź, bo spać nie pójdę aż jej doczekam“ ²⁾.

Nie potrzeba dowodzić, że obie strony, Dwór i opozycya, uważały za swój obowiązek okazać swe najlepsze chęci ratowania sejmu, bez względu na skutek. I zdawało się, że wszystko na dobrą drogę zawróci, bo 25 marca, w ostatni dzień sejmu, Izba zgodziła się, aby ją Bąkowski przeprosił i odebrał napomnienie od marszałka. Nie chciał przeproszać i kazał powiedzieć, że w senacie mówić będzie. Tu, gdy marszałek po raz wtóry żądał wyda-

¹⁾ Adersbach do Kurfirsta. Urkunden und Aktenstücke VI 687.

²⁾ Wojewoda łęczycki do ks. Wituskiego, scholastyka gnieźnieńskiego (sekretarza prymasa), w Warszawie 24 marca 1654 r. Rpis Czartor. № 384 p. 45.

nia buław, kanclerz kor. odpowiedział, że jakkolwiek posłowie nie mają prawa domagać się mianowania hetmanów, król jednak gotów przychylić się do ich życzeń, jeżeli się zgodzą na nowe środki obrony państwa.

Nie podobał się ten warunek, mimo to po długich rozprawach zgodzono się na prolongację sejmu na jeden dzień.

Na końcu posiedzenia Bąkowski prosił o głos, a gdy mu marszałek odmówił, oświadczył, że nic takiego nie popełnił zacyby mu można głos odebrać i wyszedł.

Dzień prolongaty zeszedł marnie, jak cały sejm. Naprzód w Izbie dowodzili posłowie litewscy i koronni, że mają prawo żądać mianowania hetmanów; potem udali się do senatu, gdzie się odbyła poufna rozmowa w sprawie Bąkowskiego.

Tuchołka, pisarz ziemski pomorski, oskarżał Izbę, że wbrew słuszności i prawu, sądziła Bąkowskiego. „Gdyby mu wolno było mówić, pokazałoby się, że nic złego nie popełnił, skoro mu jednak usprawiedliwić się nie pozwalają, trzeba się z nim obejść łagodniej i nie lekceważyć protestu trzech województw, bo inaczey sejm źle się skończy.

Piekielny hałas wtórował wywodom mówcy, trudno go było zrozumieć.

Odpowiadali oskarżycielowi koronni i litewscy posłowie, dowodząc, że Bąkowski do głosu dopuszczony być nie może, bo się sam pozbawił tego prawa, gdy wiedziony nienawiścią i służalstwem zuchwale całą szlachtę obraził.

Biskup chełmiński przyznawał, że jego owieczka zgrzeszyła, ale prosił króla, aby powaga prowincyi nie ucierpiała. Senatorowie jednogłośnie uznali winnym Bąkowskiego; jedni wstawiali się za nim, inni prosili króla, aby mu głosu nie pozwalał.

Słyszac to, posłowie pruscy oświadczyli, że wstrzymują dalsze obrady, dopóki ich kolega do głosu dopuszczony nie zostanie.

Starano się pogodzić strony. Biskup warmiński prosił Izbę, aby z upadłym bratem po bratersku postępowała. Kanclerz kor. proponował od tronu, aby Bąkowski publicznie Izbę przeprosił¹⁾.

¹⁾ Non mali exempli solatium, że temu posłowi, który praecipue między innymi sejmowe consilia przez sześć niedziel dusił a potem rozerwał, tam male cessit mercenaria lingua in facie Reipublicae, że unanimi consensu i Izby swej i Senatu a ledwie nie samego króla suffragio jest condemnowany. Wielkie to jest praeiudicium na takowe instrumenta, które się użyć dają ad pugnandum consensum Izby poselskiej. Janusz Radziwiłł do Opalińskiego z Wilna 4 maja 1654 r. Rpis Biblioteki Aleks. Czolowskiego p. t. Pommiki histor. pols. str. 515.

Marszałek zapytał Prusaków, czy gotowi są przystawić delikwenta. Chcieli wiedzieć, w jaki sposób będzie musiał przeproszać.

Usłyszeli odpowiedź, że w drzwiach otwartych odczyta formularz, a potem odsiedzi sześć tygodni więzy w Warszawie.

Wtedy złożyli oświadczenie, że części Rzptej, ziemi pruskiej, krzywda się dzieje, ponieważ im gwałtem nałożono milczenie, a kolegę ich wyrzucono; przeto zabiegając szkodliwemu przykładowi, zakładają protest. Z tem wyszli—a gdy Jabłonowski, poseł mazowiecki, zabronił wnieść świece do senatu, zanknięto posiedzenie.

Pomimo protestu¹⁾ Prusacy na życzenie króla stawili się nazajutrz w Izbie, ale zamiast iść do senatu, kłócili się cały czas z powodu Bąkowskiego, znosząc obelgi, rzucając im w twarz z zapamiętałą nienawiścią i zjadłością przez posłów koronnych. Sprawę obrony Rzptej odłożono na dzień następny.

Tymczasem Dwór, zważywszy na skuteczność dalszych obrad, zgodził się na zerwanie sejmku. Krok to był fatalny, a przykład gorszący z powodu sankcyi królewskiej, gdyż po klątwie, rzuconej przez stany na Sycińskiego, nie tak prędkoby się kto odważył wziąć winę zerwania sejmku na siebie.

„Wyrozumiej WMP. z Księcia Jm.—pisze wojewoda łęczycki do sekretarza prymasa — czy to już dziś sejm się rwać będzie, czyby nie lepiej aż jutro „dla wielu przyczyn“ bo powiadają, że żadna odwłoka, gdy idzie o śmierć ludzką, nie jest za długa, a dopieroż, rozumiem, o Rzptę. Już, widzę, przyszła Rzpta nasza do tego stanu, jakiego ów cesarz pragnął, że tylko na jednej nitce wisi, a miecz na tę szyję ten sejm. Niech rozprawiają, co chcą, nie uratuje jej, chyba cud. Buława, widzę, spokojniej chodzi i kiedyby można, kiedyby koronni nie nastawali, litewskie zostałyby, tak jak były. A że do tego trzeba czasu, aby się to stać mogło, pomyśleć trzeba o odroczeniu do jutra i w tej materji mam się pilno widzieć z WMP. i proszę do siebie. Czekam u księdza brata (warمیńskiego) i zostaję...“²⁾

28 marca o 3 po południu, kiedy zaproszeni posłowie przybyli do senatu, pojawił się tylko jeden poseł pruski, Paweł Bia-

1) Na sejmie 1650 r. posłowie pruscy, uczyniwszy protestacyę, wychodzić chcieli i byłiby sejm zerwali, gdyby ich kanclerze nie byli zatrzymali. Radziwill. Memoriale.

2) Wojewoda łęczycki do ks. Wituskiego (bez daty). Rpis Czartor. № 384 k. 46.

łobłocki, poseł trzewski, i zapytał, czy nie ma środka, aby Bąkowski bez upokorzenia prowincyi do głosu został dopuszczony, a gdy mu marszałek powtórzył poprzednią uchwałę Izby, zaprotestował po raz wtóry i ostatni, wzywając Boga na świadectwo, że posłowie pruscy z powodu niesłusznych wymagań polskiej i litewskiej szlachty, zmuszeni są zerwać sejm. „Z tem błogosławie WKM., a na przyszłym da Bóg sejmie nie pozwolę, aby Bąkowski, jak nam tu zagrożono, z grona posłów pruskich był rugowany.“

Kanclerz lit. powiedział kilka słów z ubolewaniem nad stanem Rzptej, król powstał z tronu, senatorowie i posłowie opróżnili salę.

Nieszczęsny ten dzień—pisze kanclerz lit.—pozostawił Rzptę w największem niebezpieczeństwie, a okryje ją—pisze poseł kurfirsta brandeburskiego—wielką sromotą i może obudzić u sąsiadów osobliwsze myśli i wywołać szkodliwe przedsięwzięcia, gdy ujrzą, że nawet w tak gwałtownej potrzebie tak się źle rządzi¹⁾.

„Ja ubolewam—pisze wojewoda łęczycki—nad JKM., że (nie oddał buław) na tyle nalegań Rzptej, dlaczego się sejm zerwał. Aż nie lepiej było skleić go i potrzebom Rzptej zaradzić, aniżeli na szanie puścić i całość państw swoich, na dyskrecyę nieprzyjaciela, jako i żołnierza zostawiając, i jak słabą pajęczynę, puścić powagę swoją królewską... Teraz wpadnie w tę opinię, że Rzpta w pogardzie u niego. Ktokolwiek był tego powodem, wróg jest majestatu, podawszy Pana w taką ohydę i niemiłość u poddanych. Wszędzie skargi, że nie mamy Pana, co by się w nas kochał i dbał o tę ojczyznę. A jakoż mają być rady dobre w takiej do Pana nieufności? Mam za złe srodze tym doradcom, co nadużywają jego dobroci, powagę i godność królewską miarą prywatnych ludzi mierząc, bo któż wątpi, że między pańską wolą a poddanego pierwsze ma mieć miejsce pański zamysł, ale nie tam, gdzie całość Rzptej zachodzi, bo pierwsza sława wszystkich monarchów w zachowaniu stanu państwa, który może być zachowany tylko utwierdzeniem zaufania poddanych, dla której przyczyny przodkowie jego nawet niewczesnym prośbom poddanych swoich ustępowali“²⁾.

Kto był tym złym doradcą i wrogiem majestatu, kogo ludzie obwiniali o zerwanie sejmu—świadczy żałośny list do podskarbiego kor. pisany przez tegoż wojewodę.

¹⁾ Hoverbeck do Kurfirsta z Warszawy 29 marca 1654 r. Urkunden und Aktenstücke VI 687.

²⁾ Wojewoda łęczycki do biskupa Warmińskiego z Goślina 15 kwietnia 1654 r. Rpis Czartor. № 384 k. 26.

„Wielcem ja tego sobie życzył pożegnać WMPana osobiście, ale żem nie zastał, przyszło mi już w drogę pospieszać. Tynczasem wielce dziękuję za ten afekt, który mi listownie oświadczasz, a z ochotą oczekiwać będę bytności WMPana na sejmiku, którą potrzebną być rozumiem nietylko dla Rzptej, ale dla samego WMPana reputacyi: gdyż nie wiem, co za nieszczęście WMPana, że niepowodzenie Rzptej i obrady sejmu bezskuteczne radom WMPana przypisują tak żarliwie i z takim wzburzeniem, że ostatnimi przekleństwami wybuchają. Mam tę wiadomość, Bogiem się świadczę, mam ją od wielkich i przez wielkich ludzi doniesioną. Jeszcze, widzę jest w ludziach coś względu dla mnie: to mówią przed stryjem, a widzi Bóg, przed stryjem kochającym i z wielką żałością musiałem słyszeć doniesienia, jako WMPana ludzie przeklinają na fortunie i na dzieciach. Ufam i ja Bogu, że jeżeliś w tem nie winien, że się to na głowę klnących obróci, ale zdrętwiałem, włosy mi wstały na głowie, kiedym to usłyszał, bo jako za najpierwszą ozdobę mam sobie WMPana zalety, tak nie widzę przyszłości domu mego, jeno w osobie i w działkach WMPana... Aleć ja mocno ufam, że cnoty WMPana to wszystko zawstydzą, a roztropność załagodzi, czego jako uprzejmem życzę sercem, tak zostaje...“¹⁾).

Ale oburzenie na króla i jego doradców nie objawiało się jedynie skargami i przekleństwami. Byli tacy, którzy szli dalej i zamysłali o zmianie tronu.

Jak się zapatrywał na tę sprawę Janusz Radziwiłł, obrażony, że go buława wielka minęła, świadczą propozycye, które przesłał Rakoczemu. Były one następującej treści: To, co się działo na ostatnim sejmie za złośliwą radą niektórych, wywołało obrazę wszystkich stanów, wstręt do obecnych rządów i utratę nadziei zachowania Rzptej pod tak przewrotnem panowaniem do tego stopnia, iż zachodzi obawa, że wielu przedniejszych panów, nawet duchownych, będą się starali zrzucić z tronu króla, który Rzptę, jak cudzą rzecz traktuje.

Nam ewangelikom nie wypada podnieść chorągwi buntu, chyba żeby nas śmierć lub ucieczka panującego, która w tym nieszczęsnym stanie naszej ojezyny bardzo jest bliską i w powietrzu wisi, uwolniła od przysięgi wierności, albo jaka inna gwałtowna potrzeba do tego zmusiła n. p. gdyby obecnie panu-

¹⁾ Jan Leszczyński wojewoda łęczycki do podskarbiego kor. w Kaszkach 4 kwietnia 1654 r. Rpis Czartor. № 384 k. 46.

jący, tron swój, jakby dziedziczną własność, komu innemu chciał lub zmuszony był odstąpić.

Musimy być przygotowani na wszelkie możliwe wypadki.

Rzpta nie może pozostać w całości, jeżeli odpadłych części nie odzyska, te zaś (Ukraina) wrócą dopiero wtedy, gdy będą wolne od obawy zagłady, co się stać może tylko pod panowaniem akatolika Rakoczego, którego imię na ustach wielu ludzi, nawet nieprzychylnych dla niego. Nie będzie to z krzywdą dla tych, których panowanie szkodliwe cierpliwie znosimy, jeśli w razie wakującego z powyższych przyczyn tronu, oglądamy się za godnym następcą.

Turcja musi się obawiać, aby ruskie prowincye nie zajęły Moskale, a resztę Rzptej nie zagarnął cesarz. Może jednak Porta powściągnąć cesarza obawą wojny węgierskiej, a Rosyan złączeniem Tatarów z nami. Najskuteczniejszym jednak środkiem z jej strony byłoby energiczne poparcie w razie zaszłego bezkrólewia akatolika Rakoczego, bo wtedy ruskie prowincye uprzykrzywszy sobie jarzmo moskiewskie, daleko cięższe od naszego, którego znieść nie mogli, wrócą do posłuszeństwa (co Moskwę osłabi), byleby tylko od zdrad duchowieństwa katolickiego, które im zagładę gotuje, czuły się bezpieczne.

Aby zaś zjednać szlachtę i ułatwić sobie drogę do tronu powinien się książę starać wszelkimi sposobami pogodzić Chmielnickiego i Kozaków z Rzptą, a z hanem tatarskim wejść w jak najściślejsze przymierze; zarazem zbierać coprędzej wojsko, by w danym razie natychmiast ruszyć na Kraków, Radziwiłłowi zaś posłać bez zwłoki 100000 dukatów na zaciągi, które połączone z wojskiem litewskim wystarczą na poskromienie zabiegów katolickiego kleru. Prócz tego powinien ofiarować Rzptej znaczne posiłki przeciw Rosyi pod warunkiem, że król i Rzpta zapewni mu bezpieczeństwo ze strony cesarza i odda mu niektóre miasta lub jaką ziemię w zastaw.

To wszystko na sejmie czerwcowym traktować należy przez zręcznych posłów (jak Kłobussicki) opatrzonych pełnomocnictwem, a wysłanych w celu otrzymania indygenatu dla syna księcia i przedniejszych panów siedmiogrodzkich. Indygenat, który ci panowie niewątpliwie otrzymają, z wielu względów wybornie sprawie księcia posłuży ¹⁾.

¹⁾ *Puncta nomine principis Radziwillie Transylvaniae principi proponenda et specialiora quaedam oretenus intimata. Szilágyi Sandor: Erdély és az északkeleti háború, p. 310.*

Machinacye Radziwiłła były zbrodnią majestatu — ale jak nazwać postępowanie króla i postępowanie Izby, która nawet w dniu prolongaty nie chciała bronić ojczyzny dlatego, że Bąkowski szlachtę obraził?

Jak długo król mógł się zasłaniać obowiązkiem bronięcia swojej powagi, oraz pragnieniem wzmocnienia swej władzy, a Izba obroną prawa, wolności i honoru swego — spór miał jeszcze jakiegokolwiek podstawy. Ale kiedy posłowie wrócili do domu, zostawivszy władzę hetmańską w ręku króla, i kiedy król w dwa miesiące później, na sejmie czerwcowym oddał buławy Radziwiłłowi i Potockiemu, a Bąkowski obrany posłem zasiadł bezkarnie w Izbie — wówczas każdy ziemianin mógł Izbie zadać pytanie: dlaczego i w czym interesie sejm zerwano. Ten spór o pajęczynę, to niedorzeczne bezrobocie sejmowe odbierało narodowi wiarę we własne siły — źródło potęgi każdego państwa — i podawało Rzptę w lekceważenie obcych i swoich własnych poddanych.

Sic fatis placitum: suis

Tempestiva fata fluunt periculis.

Dr. L. KUBALA.

PRZEMIANY.¹⁾

Powieść współczesna.

XXIV.

Po obiedzie panowie z papierosami schronili się na werandę. Pogodne słońce zapadało, i długie cienie niby maczugi ugniatały złotawą murawę gazonów. Była cisza w przyrodzie, jak zwykle o tej porze dnia a w czas posuchy, i spokojnie, w niezmaconem szczęściu, pełne zadowolenia po długim niezachmurzonym dniu, umierało słońce. Dzwony kościoła biły mu na sen, wrzawa sytego, wracającego z pastwisk bydła była niby ryczący gminny nekrolog istot, które dobrze podjadły i cieszą się i sądzą podług pełnych brzuchów a umieją czić zasługi. Jasność słała się na zachodzie, jakby dymy czczych kadzideł... Dwa trzy obłoki wątle spłynęły krwią w niebiosach, one jedne smutne, one jedne skarżące się różaną tęsknotą śród pospolitego święta chwały...

Już ogrodnicy rozwieszali i zapalali po alejach — zbyt wcześnie — kolorowe lampiony, przygotowane na uroczystą iluminację imieninową.

Panowie, z wyjątkiem szambelana, który drzemał w fotelu, skupili się z uszanowaniem dokoła dygnitarza z Warszawy i słuchali.

¹⁾ Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26; — lutowy, str. 225; — marcowy str. 442.

Dostojny gość mówił powoli i cicho, głosem, wzbudzającym respekt, a tak jak gdyby wyłączenie do samego siebie, nie zaszczycając nikogo uwagą, patrząc w przestrzeń, może w przyszłość, jemu tylko wiadomą, albo w księgę mądrości, otwartą przed nim, którą czytał sam jeden tylko swemi znużonemi oczami.

— Nie nauczyliśmy się niczego — prawił, komentując jakieś zajście w Galicyi — i nie wykazaliśmy dotychczas poprawy. Ja wiem, wiem z dobrych źródeł — jeszcze bardziej zniżył głos — że żaden wybryk galicyjski nie przechodzi bez śladu, że owszem jest wyzyskany na naszą niekorzyść... z ogniem bawić się nie wolno.

— Tak—niespodzianie odezwał się Turowski, który był w dziwnem usposobieniu — pogaśmy papierosy, cygara, zapalki, świece, lampy, lampiony...

— Tymczasem my—ciągnął dalej dygnitarz, lekceważąc najzupełniej uwagę Marcina — jak dzieci! Cieszymy się, gdy kto zapali stóg słomy. Z ogniem bawić się nie wolno...

— Niech będą ciemności — znowu wstawił Marcin.

Dostojny gość zatrzymał przez moment znużone spojrzenie na oponencie. Ten zaś dodał jeszcze.

— Nie świećmy, zwłaszcza nad mętną wodą, w której niektórzy łowią ryby. Obfity połów jest jedyną radą... handel rybą jedynem zajęciem.

— Nie rozumiem pana — mruknął obojętnie dygnitarz.

— Pan nie rozumie? Ja wytłómaczę...

Stefan pociągnął Turowskiego za rękaw — ten zamilkł.

Chwilę milczeli wszyscy.

— Opozycya bruździ—zaczął Kamieniecki—nie tyle czynami ile frazeologią, przechwałkami, nadętą paplanią, kłamstwem. Niechby działali. Wówczas każdyby się przekonał, że nie niema...

— Panie—cicho rzekł dygnitarz—panie, ja nie mogę się zgodzić!.. Ja najlepiej wiem o niebezpieczeństwie...

— Ekscelencyo, trochę starych panien, garść młokosów, kilku weteranów, jakiś głodny literat... Niech osuszają morze Bałtyckie —zażartował p. Hilary.

Dostojny gość podniósł palec do góry, jakgdyby miał coś powiedzieć, ale nie otworzył ust—wszyscy czekali—potem skrzyżował swoje ogromne białe dłonie na gorsie koszuli. Zmęczonemi oczami patrzył w przestrzeń...

— Kilka starych panien, kilku młokosów—skoczył Turowski —łatwo, tanio, wygodnie... a pan wie, pan próbował, pan bił głową o spleśniały mur—w mroku, w ciemności strasznej... pan wie, ile i kiedy...

Kamieniecki odwrócił się plecami do napastnika.

Marcin umilkł, wstrzymany przez Stefana.

— Bardzo szanuję zapał pana — odezwał się niespodzianie dygnitarz, subtelny uśmiech ożywił apatyczną jego twarz — wyciągnął dłoń do Turowskiego.

Marcin nie poruszył się z miejsca.

Ekscelencya znowu skrzyżował ręce na piersi. Ten sam uśmiech, subtelny, pół szyderczy muskał jego wargi.

Było milczenie.

— Piękny wieczór — przemówił Kamieniecki.

— Po sutym obiedzie, dobry wypoczynek — wtrącił Marcin.

Wszyscy obecni spojrzeli po sobie. Niecierpliwił ich ten brutalny śmiać, którego mało kto znał.

— Kto to jest? — pytano siebie po cichu.

— My codziennie jadamy obiad, proszę pana, więc nie mamy czego się cieszyć — złośliwie mruknął Kamieniecki, który, już był zły. (Były między nim a Turowskim stare długi, stare rachunki, stare gniewy).

— Bodajbyście choć raz się udławili nim — syknął Marcin.

Twarz pana Hilarego poczerwieniała. Mrugał powiekami.

— Gdzie pana nauczono tego języka? — w kryminale? — spytał.

— Głupi!.. Ja nie potrzebuję się wstydzić — dziwnie spokojnie, prawie apatycznie odparł Turowski i podsunął się do pana Kamienieckiego... Kamieniecki cofnął się o krok. Kraśniał wzburzony.

— A pan jesteś nikczemny gbur. W porządnem towarzystwie... — krzyknął.

Klasnął policzek. Rzucono się do Marcina — najpierwszy Paweł. Przed chwilą przyszedł był na werandę, posłany przez panią Henryettę do męża... Był blady, trząsał się — Kamieniecki obchodził go już zbliżka — trzymał Marcina za łokcie... bełkotał coś...

Turowski wnet uwolnił ręce. Położył dłonie Pawłowi na plecach — cisnął mocno — patrzył w twarz.

— Podły... jak pan śmiać — bełkotał Paweł.

— Panie hrabio, spokoju — powoli, akcentując sylaby mówił Turowski — nie drzyj panie hrabio, nie obawiaj się, szanuję twoje szlachetne serce, szanuję dobrodzieja ludu.

Potem ujął go za kark, podniósł do góry jak dziecko, przetrzącił przez balustradę i postawił po tamtej stronie werandy na trawie...

Chwilę stał i patrzył na otaczających. Nikt się nie zbliżał. Wówczas pogroziwszy pięścią, ruszył w ogród.

Na werandzie uczynił się gwar. Nawet olbrzymi szanbelan

przetarł senne oczy, stęknął i zapytał, co zaszło. Paweł stał bezradny na gazonie, spojrzął w ślad za Marcinem, następnie powoli po białych schodach wrócił do gości. Otoczono go. Posypały się ubolewania, rady, zapytania. Najgłośniej krzyczał Kamieniecki.

— Brawo, Pawle—wołał, w tej chwili zaczynając mówić do niego po imieniu—Winszuję ci... ukarałeś tego barbarzyńcę... gbur, grubianin, głodomór... Podniósł rękę na mnie—i szczęście, że się cofnął... Byłby mnie uderzył, a jakkolwiek taki człowiek nie może znieważać, dobrze, że uniknął...

Nikt mu nie zaprzeczył i Kamieniecki po kolei każdemu z obecnych, jak gdyby nikt nic nie widział, opowiadał, że Turowski chciał go uderzyć, ale że on odskoczył...

— Il faut toujours fuir un chien enragé...—tłómaczył.

To samo opowiadał paniom—które natychmiast po „skandalu“ wylały się na werandę, przerażoną, ciekawą, gadatliwą falą—tylko coraz dowcipniej, coraz barwniej, z coraz większą swadą.

Jego głos panował nad wszystkimi. Pokazywał miejsce, na którym stał Turowski, wskazywał miejsce, które zajmował on sam, ilustrował zdarzenie ruchami, wykonywał ten sam manewr cofnięcia się, który miał go uratować, przypominał tysiące wypadków podobnych z wybitnymi mężami stanu, sypał anegdoty... Wynik był zgoła niespodziany: Paweł zajął rolę poszkodowanego, rolę głównej ofiary... Jego to przeproszała pani Anna, jego okrzyki t. zw. pojedykowicze, którzy są w każdym towarzystwie panów—i poddawali mu myśl krwawego porachunku. Sam Paweł nie byłby na nią natrafił. Stał ciągle blady, milczący, jakby złamany. Ohydny wstyd jadł mu serce. Nie wiedział co czynić. Dopiero ci panowie zdjęli mu ciężki gład z sumienia. I pod wpływem nieskończonych opowiadań na temat pojedynków rozgrzała się w nim krew. Zwerbował sobie sekudantów... Napróżno Kamieniecki, marszałek, pani Anna, panna Aga błagali go o darowanie Marciniowi, o nienarażanie życia.

— Są wypadki—powtarzał z uporem swoim bezdźwięcznym głosem—w których tylko krew może zmyć plamę.

— Jaka to plama, nie ma żadnej plamy!—krzyczał Kamieniecki— un chien enragé...

— Panie, nigdy sobie nie daruję, że to na moich imieninach—prosiła pani Anna.

— Kuzynie!—mówiła wzrokiem Aga—ja tego nie przeżyję...

— Kościół uważa pojedynki za zbrodnię—dowodziła hrabina Hubertowa.

— Nie wolno, Pawle—oburzała się pani Henryetta — trzeba mieć zasady.

Paweł był niezłomny. I wyrósł na bohatera. Czuł to, prostował się radośnie i miał pierś pełną dumy. Poszedłby jeden przeciw tysiącu za jedno spojrzenie tamtych oczu—cóż mu znaczył pojedynek — za trzy dni. Dziś jest dzień szczęścia... Trwa i nie przeminie...

I podczas, gdy jego świadkowie z gustem i precyzją obgadywali miejsce, godzinę spotkania i rodzaj broni—on zapomniał.

— Kuzyn jest odważny, to dobrze—mówiła mu Aga—mężczyzna musi być odważnym...

Jej oczy paliły się naprawdę w tej chwili.

— A kobieta winna być piękną—plótł—tak piękną, tak piękną, jak...

— Jak kto?

— Jak pani...—szeptał.

— Są piękniejsze, kuzynie.

— Nie znam.

Tymczasem Marcin olbrzymiemi krokami sunął przez park. Był wesoły. Chwytał po drodze liście i zerwane rzucił za sobą, zostawiając ślad zielony na piasku alei, tak jak ranny lis odciska na śniegu krwawe ślady. Cieszył się wspomnieniem zajścia, wyrazem twarzy oszołomionego Pawła, którą widział przed sobą, z przerażenia, którego napędził całemu towarzystwu, z nadziei pojedyнку. Biłby się najchętniej na szpady, którego to kunsztu wyuczył się za granicą, ale i celować z pistoletu w nudną, zarozumiałą, upartą osobę Pawła — to przyjemność nielada! Zastrzeli go, jak koguta na płocie. Nie spodziewał się tak wesołych imienin... od chwili przyjazdu wszystko wrzało w nim, potem napadł go zaczajony ból i trzymał go w mocnym uścisku... Ból? Alboż to był ból? Czyż warto cierpieć—dla głupiej dziewczyny?.. Upokorzył się i prosił ją... To już się nie powtórzy... ostatni raz... pójdzie i weźmie ją... Ale tam, w tamtych świetnych salonach nie mógł znaleźć miejsca — wrzała w nim krew, wrzały nerwy...

Stanęli wszyscy—wspominał—we frakach w lśniących haftowanych koszulach, w lakierkach, z papierosami, objedzeni, opici... kawa w małych filiżankach... likiery... muzyka, żeby weselej było jeść, kwiaty, żeby był zapach... wielki obiad... stanęli w kółko i słuchają nabożnie tego dozorcę więziennego...

Kamieniecki, specjalista od geszeftów, od szynków—ten także naucza z katedry, ojciec narodu... Alboż on mógł znieść w cierpliwości — usprawiedliwiał siebie Turowski, gdyż żałował już

w gruncie swego postępku, rozumiejąc, iż nie warto było jechać do cudzego a uprzejmego zwykle domu, dla uczynienia burdy.

I dobrze—myślał dalej — przynajmniej emocya, przynajmniej wrażenie, które przetnie na chwilę bezbarwną nudę tych nieskończonych miesięcy... Nudny, uroczysty Paweł stanie na placu — i będzie drzał... jak osinowy liść — przed nim...

Usłyszał za sobą szybkie kroki. Obejrzał się.

Biała panienka goniła za nim. Nie poznał jej z daleka.

— Biegłam do pana — przemówiła zasapana Maryńcia — szukałam...

— Jestem do usług — z niezwykłą galanterya, prawie figlar nie rzekł Turowski.

— Myślałam, że nie znajdę pana... ogromny park... Bałam się, że pan już odjechał, ale pan zrywał liście — panienka urwała, nad wszelki wyraz zmieszana.

— Słucham panią... — uśmiech rozbawienia nie schodził z posepnej twarzy Marcina.

— Tam na werandzie — zaczęła Maryńcia, spuszczać oczy — wszyscy o pojedynku... Paweł postanowił... Przeraziłam się, boję się... — znowu urwała. Fala rumieńca powlekła jej blade policzki.

— Cóż znowu pani? — uspokajał Turowski — Nie niema strasz nego... Wymiana kul niby wymiana komplementów — powiedział ze smakiem.

— Pan nie może tak mówić — nagle zawołała panienka — pan nie ma prawa... Taki człowiek, jak pan, nie powinien się narażać... Pan jest potrzebny... pan należy do społeczeństwa, do przyszłości... nie wolno... — wołała.

I utkwiała w niego płonące, błagalne, a zarazem zawstydlzone spojrzenie.

Wesołość zsunęła się z twarzy Marcina, niby zasłona. Uśmiech łagodny, prawie rozrzewniony, zadrgał na jego zgryźliwych wargach.

— Nic mi nie będzie, pani — rzekł miękko — niech pani się nie obawia! pojedynki wyglądają okropnie tylko w powieściach... A zresztą nie jestem znowu tak bardzo potrzebny... Dziękuję pani.

Pocałował ją w rękę. Łzy, jak perły posypały się z oczu Maryńci.

Turowski oddalił się szybko w stronę zabudowań, żeby zacząć okulbaczyć konia.

XXV.

Zabawa imieninowa, na którą składały się fajerwerki, iluminacja, lody, trochę tańców, karty dla panów, ciastka, spacer po parku, chłodzące napoje... trwała do późna, i odwrót uraczonych gości rozpoczął się po północy. Kamienieccy, prócz hrabiny Hubertowej, która została na noc w Pełowie, odjechali trzema powozami: Lolo wioził Klarę, p. Hilary zabrał Marynię do faetonu, w karecie usadowiła się pani Henryetta, która tak niewyczerpanie, tak bezsennie mówna w innych okolicznościach, popadła w mocną drzemkę. Wtulona w róg karety, nie otworzyła oczu ani razu—nie przeszkadzała młodym. Kareta dudniła na równej drodze, doskonale resory kołysały, doskonale konie mknęły rażnym kłusem. Gościniec biegł, jak gdyby po dnie świetlistego morza: to księżyc w pełni zalewał ziemię precudną poświatą. W pewnych chwilach pruł srebrem promieni wewnątrz powozu i dotykał drżącą pieszczotą to gronostajowej peleryny pani Henryetty, to śpiącej jej twarzy, to bladej sukni, to krwawych kwiatów, to olbrzymiego z jasnej słomy kapelusza panny Agi...

Paweł milczał. Oddawna już trzymali się za ręce. W ciemności ich oczy obcowały z sobą, całowały się, kochały... Uśmiech półsenny zastygł na obliczu Agi... Pawłowi drżały wargi... Odpiął jej i zsunął rękawiczki, przylgnął ustami do ciepłej, suchej jej dłoni... Srebrne arabeski miesięcznego światła to gasły, to zakwitały na splecionych ich rękach...

W jakiejś chwili Paweł spojrział w księżyc. Na dużej, złotej tarczy znaczny był fantastyczny tajemniczy rysunek—i naraz dziwnie ścisnęło się serce Pawłowe.

— Zastygłe góry, łożyska wyschłych rzek, kraj milczenia i śmierci, kraj zimnej pustki i wiecznej śmierci... Kto wie? Może i jemu sądzono... od kuli... na pojedynku...—przemysłał w jednym momencie.

Krzyk o mało nie wyrwał mu się z piersi. Umierać! poco umierać? żyć, kochać, całować, pić, upić się piersiami życia... Oddawna czekał na taką chwilę... szczęście rzuciło mu się w objęcia... umierać...

Krzyczałby z trwogi i z żalu obłąkanym krzykiem... straszny i tajemniczy był tamten rysunek wystygłych gór na złotej tarczy...

I Paweł pochylił się gwałtownie i objął jej głowę trzęsącymi się rękami i szukał jej ust... Całowała go sama, jak dziecko, głośnemi pocałunkami.

— Kuzynie—mówiła potem, poprawiając kapelusz—odważny jesteś... Będziesz się bił... Zastrzelisz tamtego... musisz zastrzelić... Będziesz stał i mierzył w niego długo, w czoło... szkoda, że ja nie mogę...

— Ja nigdy broni nie trzymałem w ręku — wyskoczyło z Pawła.

W breku pani Klara tuliła się do Lolo, który ćwikał klaskającym biczem bez potrzeby i nucił coś przez zęby.

— Wywrócisz...—żartowała Klara.

— Wywrócę... powóz potknie się o kamień obrazy...

— Co to znaczy kamień obrazy?

— Papa Kamieniecki...

Klara śmiała się.

— Boję się — szepnęła potem.

— Nawet przy moim boku?

— Najbardziej z tobą... wiozę szczęście moje.

— Ja wiozę nudę.

— Jestem nudną?

— Nie, życie jest nudne.

I nucił dalej, wywijając batem.

— Nie kochasz — mówiła Klara — gdybyś kochał, nie byłoby ci nudno.

— Alboż ja twierdzę, że kocham. Nikt nikogo nie kocha.

— Lolu! — i pani Klara poczęła całować mu twarz.

— Wy... kobiety — mruknął — księżyc chodzi po niebie i dziwi się.

Jechali w milczeniu. Lolo patrzył w niebo, na którym nie było gwiazd tylko księżyc, sam jeden, poczem mówił:

— Życie jest przypadkiem i człowiek jest przypadkiem. Gdyby jakiś pociąg spóźnił się na jakąś stację, albo gdyby szwaczka nie wykończyła na czas sukni, mój ojciec nie byłby poznał mojej matki i Leon Spotkański nie przyszedłby na świat. Głupio! Nie byłbym, jestem — nie będę! Nie będę!.. Rozumiesz to? Nie będę! Księżyc będzie świecił, ludzie będą jeździli na imieniny, mnie nie będzie. Masz tobie! Gdyby ktoś chciał wymyślić coś najgłupszego, jeszczeby nie wynalazł rzeczy bardziej głupiej niż życie. Żyć — głupio i nudno, nie żyć — straszno... Tak jak gdyby komuś podano obiad — może niesmaczny — z tem zastrzeżeniem, iż to jest pierwszy i ostatni... pomyśl tylko?! Nieśmiertelność duszy... także pociecha!

Leon Spotkański umrze, ale dusza jego, której nie zna, o której nikt nie wie, czem jest, nie zginie... Co mnie obchodzi moja dusza! Ja umrę, ja zgniję, a mnie powiadają, że dusza nie umrze: co znaczy: ty Leon Spotkański przestaniesz istnieć, ale twój sąsiad X nie umrze... Bardzo mi miło!

— Lolu! nie mów tak!—prosiła Klara—straszno...

— A widzisz...

— Bardzo mądry jesteś Lolu... taki mądry...

— Widzisz, kobieto...

I patrzył w księżyc. Cudowna światłość zalewała świat uśpiony i wydawało się, że to jest ziemia umarłych.

Niezwykłe, przejmujące myśli ogarniały Spotkańskiego. Myślał o tysiącach lat, które już minęły, o tysiącach pokoleń ludzkich, które tak jakby nigdy nie były, o śmierci, o życiu, o sobie... Pesymistyczno-filozoficzna frazeologia, skradziona bohaterom powieści, którą jeszcze przed chwilą chlubił się, ulotniła mu się z głowy, odłożył bat, zwiesił głowę—konie biegły same.

— Lolu?

Nie odpowiadał.

— Lolu? Co tobie?—trwożnie pytała Klara.

— Nic...

Nie chciało mu się już mówić. Poco? Alboż oni kochają siebie naprawdę? Nie ożenił się z nią, gdy było można, bo wiedział, że Kamienieccy nie oddadzą córki za człowieka bez funduszu—zresztą sam szukał posagu. Teraz... to wszystko zaraz się skończy. Całował już dziesiątki kobiet, i dziesiątki kobiet całowały go tak samo. Każdy płomień stygł. Ona wróci do bogatego męża, on do Warszawy. Możeby mogło być inaczej, gdyby oni nie byli tacy, gdyby umieli... Niema uczuć, niema celu, niema sił. Próżnia. Trochę dowcipu, trochę ironii, subtelny uśmiech, wykwintny smak, i wykwintne pozory — oto i wszystko... Tem nie zapełnić życia! Gdzieindziej życie toczy się, jak wezbrany strumień, silny, rwący, szumiący strumień. On sam i oni wszyscy — myślał o swojej sferze—to spłowiwały, cenny, artystyczny gobelin. Trzeba reprezentować starożytność, tradycję, gracyę i dobry smak. Tylko, że dużo jest brudów ukrytych, tylko, że każdy ścieg gobelinu kosztował olbrzymiej pracy... Może przyjdzie chwila, gdy powiedzą: dość gobelinu!

— Co tobie jest Lolu? — znowu pytała Klara.

— Nic.

— A mogłoby życie być inne — myślał dalej—mogłaby i ta kobieta być szczęśliwą!.. Co ich złamało? Wychowanie, fatalizm,

dziedziczność? Już teraz zapóźno. Nie wrócą lata... Trzeba do końca robić to samo. Klub, wizyty, plotki, obiady, rauty, trochę muzyki, trochę flirtu, wdzięk światowych urwanych miłostek. A gdy ostatni rubel z kapitału pójdzie na ostatni obiad—wówczas dosyć! Na to zawsze jest czas. Tylko że wstyd, wielki, brzydki wstyd...—Przez długie życie od młodości do końca, nie czynić nic prócz gadulstwa, nie mieć innego celu prócz szukania posażnej panny... wielki, brzydki wstyd!..

Zaciął mocno konie i ruszyli galopem.

— Lolo, poco? tak pięknie...—dziwiła się Klara.

— Dojedziemy pierwsi—mruknął.

Kamieniecki palił cygaro i dumał. Skoro tylko znalazł się w samotności, opanował go przykry i kwaśny humor. Tam, w salonie przed paniami i panami można było nadrabiać fantazją i dowcipem, gadać i kłamać — przed sobą nie było co się łudzić, policzek był policzkiem. Takie rzeczy zostają w pamięci ogółu na zawsze. Dziś przez uprzejmość i dobre wychowanie nikt mu nie zaprzeczył, gdy kłamał i wypierał się, ale za tydzień cała Warszawa będzie wiedziała. Popłyną plotki, oszczerstwa, domysły, wymysły... Wrogowie są wszędzie i zawsze. Świat jest głupi i pełny przesądów i policzek w jego opinii to plama. Głupstwo!.. Co za plama? Lada dureń dotknie palcem twarzy — i już awantura, już pistolety, już zjadliwy śmiech...

Bić się! On, człowiek znany i wybitny będzie narażał życie i interesy, pójdzie wystawić siebie na cel obskurnej, ciemnej figurze!..

Kamieniecki aż ciskał się na siedzeniu faetonu z irytacji. Znał świat i rozumiał, iż znalazł się w położeniu fatalnem, z którego nie było innego wyjścia prócz pojedynku. Inaczej chyba zakopać się pod ziemię, bo każdy będzie pamiętał i nie jeden przypomni. A bić się — znaczy zginąć, zostawić dług, zostawić fundusz w chwili krytycznej, z której on jeden, tylko może go wydobyć, znaczy rozstać się z życiem...

Kamieniecki usłyszał tamten znany dobrze łoskot suchych, skrzępych grudek piasku, spadających na trumnę, doświadczył chłodu, jak na tamtym pierwszym w życiu pogrzebie profesora gimnazjalnego, który został w pamięci jego na zawsze...

Począł szeptać pacierze—ale myśl wędrowała dalej wciąż po tej samej ścieżce.

— Chyba że Paweł położy go trupem — rozważał — ale ta małpa nie potrafi i sam polegnie — a wówczas znowu to samo: pistolet, sekunda strachu i śmierć... — zimne mrowie wlało mu

aż do samego rdzenia. Nie przypuszczał możliwości zabicia Turowskiego i widział tylko własną zgubę w razie pojedynku. Rozstrojone nerwami odczuwał zgrozę śmiertelnej chwili na placu wobec wycelowanej lufy, z której za moment padnie strzał—i słyszał, ciągle słyszał, tamten znany dobrze głuchy łoskot suchych, skrzepłych grudek piasku, padających na trumnę... Przypomniawszy mu się na jedno mgnienie obraz tamtego pogrzebu... Był mróz wietrzny, na niebie świeciło słońce, w kostniałą ziemię spuszczone metalową trumnę, z suchym łoskotem sypał się piasek... Przeziąbnął na cmentarzu i z uczuciem niezaznanej rozkoszy, jak wiatr, pędził do miasta. Wesoło brzęczały janczary dorożki... potem obiad, wino, koledzy, wieczorem koncert w ogromnej, jasnej, tłocznej i gwarnej, pełnej oklasków i perfum sali, młodość, życie... Nigdy już potem nie był tak szczęśliwym, jak na tamtym koncercie...

„Och żyć, żyć, pracować, działać, budować, gryźć się, mordować się, mieć pożary, procesy, długi — ale żyć, żyć...“ jęczała jego dusza. Tymczasem wargami szeptał wieczorne pacierze.

— Cyganka przepowiedziała mu niegdyś śmierć od kuli—dumał znowu — otóż i właśnie, — przeznaczenie... spełni się głupia przepowiednia!... Może tego użyć za wykręt i mówić wszystkim, iż nie chciał iść na zgubę niechybną... Ale nikt nie uwierzy, a gdyby i uwierzyli, co to ma do pojedynku? Przecież ludzie biją się poto, żeby zadać śmierć albo umrzeć. To jest idea pojedynku... Głupia idea i głupi świat! — gniewał się Kamieniecki— I kto pierwszy wymyślił ten nonsens idyotyczny? Jakiś próżniak!...

I że to wciąż trwa, że żaden cesarz nie powiedział: veto! Gdyby stracono dwu—trzech pojedyńkowiczów—nie byłoby pojedyńków... Karać takich amatorów najokrutniejszą kazią, wykorzenie przestarzały przesąd, wyleczyć ludzkość od okropnej zmyry... — marzył...

Ale ani cyganka, ani dekret cesarza, ani najwybredniejsze tortury nie mogły pomódz na razie.

— Więc dobrze — myślał dalej—nie będę się bił. Kto mi rozkaże albo kto mi co zrobi? O policzku będą mówili po cichu, Turowskiego nikt nie zna, można w Warszawie ogłosić go za warjata. Kamieniecki uspokajał się, ale na krótko. Wiedział dobrze, że wrogowie roztrąbią, zaprzeczają, zaszkodzą, wiedział, że wrogów miał dużo, rozumiał że on, człowiek społeczny, piastujący rozmaite godności, ciągnący dochody z kilku synekur, żyjący prawie wyłącznie z kredytu powinien dbać, jak nikt, o opinię. Niech straci zaufanie, niech mu podstawią stolka, niech mu powinie się noga na

chwilę—runie sam i runie to wszystko co budował z takim sprytem, z taką wytrwałością...

Nie było wyjścia. Albo pojedynek i śmierć—albo niezmyty wstyd, szyderyczy śmiech opinii, — ruina moralna i materyalna... Napróżno wyteżał całą uwagę i przebiegłość, napróżno szeptał pacierze, napróżno pocieszał siebie nadzieją jakichś szczęśliwych zmian, jakiegoś dobroczynnego Deus ex machina. Rozum mówił wyraźnie, że wyjścia nie było. I Kamienieckiemu chciało się wstać i wygrzmocić pięściami plecy stangreta, wyłajać córkę, wyskoczyć z powozu...

Naraz przyszła mu myśl... Rozpatrywał ją chwilę—powoli rozpogodziła mu się twarz... Zacierał ręce... Uśmiechał się...

Był łatwy sposób pozbycia się Turowskiego... Jedno jego słówko... gdzieś tam—i draba uprzątną, ukryją znowu na długo... Zanim wróci—świat zapomni, zresztą nikt nie może wymagać, żeby po kilku latach... pierwiej nie mógł się bić, gdyż przeciwnika zabrakło... bo przeciwnik zaprzepaścił się gdzieś w niewiadomy sposób... Alboż było w tem coś zdroźnego... Taki Turowski niezapreczenie szkodliwy... sieje złe i zarazę dokoła... niebezpieczeństwo...

Kamieniecki uśmiechał się. Ujął serdecznie rękę córki, miał jej coś serdecznego powiedzieć... Maryńcia spojrzała mu w twarz...

— Ojczy—zawołała drżąc i tuląc się do niego—ojczy! ty masz taki uśmiech... ojczy, ja boję się... nie można, nie rób, — ty masz jakąś myśl... ojczy!..

I tuliła się do ojca i wciąż drżała...

Kamieniecki zastygł w osłupieniu.

— Ty nie zrobisz tego, ojczy—cicho prosiła Maryńcia—ja... już widzę, że nie... nie, ojczy, nie...

Kamieniecki nie odpowiadał i było milczenie...

— Ojczy! powiedz, że nie zrobisz, powiedz ojczy! — prosiła córka—ja nie będę spokojna, ja nie mogę...

— Czego ty chesz, dziecko—wzruszonym głosem bronił się ojciec—ja nie rozumiem! Co tobie przyszło? skąd ty możesz znać moje myśli?...

— Zresztą jak ty możesz tak do ojca—mówił potem już spokojniej—ja nigdy nie mam złych myśli i możesz być pewną, iż żaden postępek ojca twego nie zasłużył i nie zasłuży na nagane...

— Przepraszam.. ja bałam się...

Kamieniecki ochłonął, ale znowu utracił radość. Gryzł się i rozważał, sądził, badał.

Jechali w milczeniu. Droga biegła niby po dnie świetlanego morza po dnie cichej miesięcznej toni, jak gdyby w krainie marzeń.

Zaczarowany świat kapał się, jak rusałka w księżycowym blasku. Rozwarły się kędyś na czyjeś modły zaklęte podwoje—i ukazało się wysnione w tęsknocie wieków królestwo baśni, królestwo cizy, zachwytu, piękna i cudu; kraj czarodziejski... Nigdy oko niczyje nie widziało takiego obrazu, — zniknie za chwilę!.. Cud trwał... Oto królestwo wiecznego piękna i wiecznego szczęścia... Oto sen świetlisty.

Panna Maryńcia marzyła. Zanikły ogniste myśli, które niby węgle żarzyły się w jej głowie i sercu po rozmowie z Marcinem, rozwiały się powzięte postanowienia, ulotniła gorycz, ucichła rozterka i zczesała uparta odwaga do walki... Niewidzialna wróżka dokonała w niej przemiany... Nie jest już cierpiącą, smutną, samotną, rozżaloną dziewczyną na świecie pełnym niedoli, krzywd, fałszu i złego. Była niegdyś taką... Teraz znalazła się na dnie mórz niezmiernych, na dnie mórz świetlistych, zielonych, srebrnych, jasnych; wędruje po zatopionych ogrodach, wśród drzew cichych, które tam rosną wysokie, ciemne, tajemnicze; przelatuje po miękkich łąkach—a trawy są zimne i błyszczą się na nich kropelki, trawy pachną; kołysze się na gibkim, powiewnym, sennym łanie jakichś zbóż nieznanych; przebiega głębie tej precudnej toni, igra z nią, kąpie się, przesiewa przez palce płynne strugi, pije; to znowu wypływa na samą powierzchnię niezmierniej topieli, odpoczywa daleko, wysoko, tam, gdzie lśni księżyc na słodkim, białym, złocistym łonie obłoku, sama lekka, jak obłok, szczęśliwa, jak obłok...

Ten urok rozkoszny minął, gdy ojciec wziął ją za rękę. Zajrzała mu w twarz i doznała niewymownej trwogi. Przerazenie nie opuszczało ją długo mimo uspokajających twierdzeń ojca. Znowu przyszły myśli gorzkie, zwątpienie, smutek i trujące uciążliwe pragnienia... Czemuż zbudziła się, czemuż dłużej nie trwał ten sen w zaczarowanym królestwie wiecznego piękna i wiecznego szczęścia? piękno to samo, tylko szczęście przepadło...

Cisza. Ani jednego nigdzie człowieka. Na rzece złota łuska, drży długi złocisty słup... chciałoby się iść po tym szlaku... Sennie pluszcze fala, sennie kolebią się trzciny... Drzewa i cienie drzew: każda gałązka, i liść każdy i sęk widne na piasku. Oto biała brzoza pochyła nad drogą obwisła swoje gałęzie. Z długich warkoczów spływają strugi światła, niby woda z włosów topielicy... Kamienie na polu. Ogromne, ciężkie, stare głazy zimne, martwe, na wieki zimne i martwe; rysują się wyraźnie, nawet mech widać na grzbietach... olbrzymie, zimne głazy... ciężkie smutki, ciężkie winy, ciężkie krzywdy...

Może już zawsze będą na ziemi te głazy... — myślała — więc wartoż walczyć, wartoż iść przebojem i cierpieć?

Dniało, gdy dojechali do Kamieńczyc. Pani Henryetta rozbudziła służbę, kazała oświetlić salony i przynieść wina. Spełniano toasty na cześć pary narzeczonych... Zabawiano się rozmową, Lolo w nieporównanym humorze strzelał wesołością, żartami, dowcipem, pił kieliszek po kieliszku. Tylko Kamieniecki i Maryńcia nie potrafili rozchmurzyć twarzy.

XXVI.

Pani Henryetta Kamieniecka, ubrana we wspaniały, fioletowy, biskupi szlafrok, odmawiała ranne (a było samo południe) pacierze. Nie mogąc klęczeć (miało to szkodzić jej na zdrowie) siedziała na niskim stołeczku podle przepięknego, rzeźbionego klęcznika zwrócona bokiem do obrazu, o którym mówiła niejednemu, iż jest cudowny. Modlitw było dużo, i pani Henryetta była prawdziwie pobożną, ale ruchliwy jej umysł nadaremnie zwalczał roztarǳenie, i myśli najbardziej ziemskie nawiedzały ją niekiedy podczas modlitwy. (Pani Henryetta dowodziła nawet, iż najskuteczniejsze rady i najpraktyczniejsze pomysły objawiały się jej właśnie u klęcznika i pod obrazem). Jakoż i teraz roztrzępana jej uwaga odbiegała daleko od litanii, którą wymawiały usta. Myślała o zaręczynach Agi, o wyprawie, dla której należy wyjechać za granicę, o ślubie, z którym nie można zwlekać wobec „fantastyczności“ Pawła, o nowej trotteuse dla Maryńci, o Klarze, która za długo bawi u nich, co już zaczyna zwracać ciekawość złośliwych języków...

Po każdej takiej wycieczce w dziedzinę spraw doczesnych pani Henryetta z zawstydzeniem skruszonym przywoływała siebie do porządku i chwil kilka modliła się żarliwie. Dziękowała Bogu, gdyż oto wczoraj spełniło się jej gorące pożądanie: Aga o którą, niepokoila się coraz poważniej po trzech nieudanych karnawałach (niepospolicie piękna Aga nie umiała podobać się na długo) była zaręczoną, i Paweł nie tak bogaty, jak mąż Klary, niesalonowy i nieświatowy, stanowił zupełnie dobrą partyę. Ludzie wprawdzie mówili coś niecoś o jego „dziwactwach“, o chłopomaństwie, o jakichś ideach postępowych i „parti pris“, religijne jego usposobienie pozostawiało dużo do życzenia, lecz pod wpływem Agi, wychowanej w zasadach, pod jej wpływem, w atmosferze ich domu—to się zmieni...

Pani Henryetta była najlepszej myśli i dziękowała Bogu, a tem goręcej, iż Paweł, na którego liczyła od pierwszej chwili jego przyjazdu, nabawił ją trwogi. Z początku wszystko szło najlepiej, potem ten nieobliczalny dziwak zraził się, i zdawało się, że już wymknie się, jak tanci wszyscy... Poczciwa pani Anna Opolska, ciemna karetą i noc księżycowa dopomogły...

Pani Henryetta udając, że śpi, przysłuchiwała się szeptom, przysłuchiwała się pewniejszym, niż wszelkie szepty, pocałunkom, a gdy dojechano do Kamieńczyc, mimo, że był świt, kazała przynieść wina, żeby wypić zdrowie przy świadkach. Znała już Pawła i chodziło jej o to, żeby wszelkimi możliwymi sposobami związać, utrwalić, „zgrodzić,“ zapieczętować tę rzecz kruchą, która się nazywa męski sentyment, żeby osiąść do czasu, do lucznych zaręczyn moralny zadatek... Tak dyktowały jej rozsądek i znajomość ludzi. Im większy rozgłos, tem większa pewność... pomoc Boża, Opatrzność—swoją drogą, „rozum węzowy“—swoją. Opatrzność wykreśla linie i cele, a ludzka rzecz jest zręcznie posuwać się w oznaczonym kierunku, zdobywać i zdobyć zatrzymać... Należy mieć wiarę religijną, ale i rozum tego świata, któremu pismo święte błogosławi, nazywając go „rozumem węzowym.“

Pani Henryetta posiadała i jedno i drugie w stopniu wysokim, a w dodatku pocieszające przeświadczenie o doskonałości chrześcijańskiej własnego życia. Wydawało się jej, iż spełniła i spełnia wszystkie przykazania i nakazy, wszystkie przepisy i obowiązki. Alboż nie była przykładną, posłuszną, wierną żoną, dobrą matką, alboż nie wychowała dzieci w zasadach, alboż nie mieszka w jej domu „duch zacny?“ Pewna chępliwość, bardzo dyskretna i pozbawiona zgoda wszelkiej pychy, towarzyszyła stale jej rozmyślaniom, rozumowaniom i rozmowom, i pani Henryetta szczególnie lubiła podkreślać doczesną sprawiedliwość Bożą, która karze jeszcze tu na ziemi grzesznych nieszczęściem i nagradza zasłużonych powodzeniem. Im Kamienieckim powodzi się doskonale. Wyrosli w opinii świata, zdobyli wysokie stanowisko społeczne, wychodowali dzieci, jedną córkę wydali za mąż znakomicie (szczęścia wielkiego tam nie było — ale gdzież jest szczęście?) drugą zaręczyli bardzo dobrze; synowie obaj zdolni, idą bardzo pomyślnie przez arystokratyczne liceum petersburskie, które otwiera drogę ku lśniącej karierze, fundusz rozwija się... (to jedno może niekoniecznie pewne) milionowa hrabina Hubertowa pokochała ich wszystkich i poczyniła zapewne zapisy...

Pani Henryetta była zadowolona z siebie i z Boga. Z takim uczuciem patrzała w swój obraz cudowny, odmawiając codzienne pacierze.

Naraz cicho otwarty się drzwi, i panna Maryńcia nieśmiało wsunęła się do pokoju. Ponieważ matka nie przerywała nigdy modlitwy, panienska czekała wyglądając przez okno.

— Czego chcesz, moje dziecko?— po francusku spytała pani Henryetta, składając na piersi znak krzyża.

— Przyszłam rozinówić się— szepnęła Maryńcia po polsku.

— Wyrażasz się, ma chère, jak dziewczyny z garderoby, kiedy przychodzą dziękować za służbę.

Panna Maryńcia spuściła oczy. Na mizernej jej twarzy wybijały się wzburzenie i trwoga, niepokój i stanowczość.

— Przyszłam powiedzieć... poprosić...—poprawiła się—chciałabym pojechać...

— Dokąd?— zdziwiła się matka.

— Pojechać na uniwersytet, za granicę... chcę być człowiekiem!—jednym tchem wyrzuciła z siebie Maryńcia.

Pani Henryetta przymknęła na chwilę swoje bystre, małe, świecące, jak u ptaka oczy. Zaśmiała się.

— Niech mama się nie śmieje — uniosła się dziewczyna — ja nie żartuję i nie chcę, żeby mama żartowała... proszę... A jeśli nie puścicie, pojedę sama!..

Pani Henryetta przestała się śmiać, ale wesołość nie zaraz ustąpiła z pulchnej, czerwonej jej twarzy. Odezwała się jednak poważnie i spokojnie.

— Tak nie można do mnie mówić, dziecko! Zapominasz o należnem posłuszeństwie i poszanowaniu.

Maryńcia potrząsała tylko głową, jak gdyby zaprzeczała i mocno spłótła ręce. Nie powiedziała nic.

Matce wydało się widocznie, iż przywołana do porządku córka ukorzyła się, bo z obliczem wesołym, już zupełnie swobodnie, po francusku mówiła dalej:

— Skąd się u ciebie wziął ten pomysł? Gdzie ty słyszałaś albo widziałaś, żeby panny z naszej sfery jechały na uniwersytet? Czy Klara albo Aga chodziły na kursa? Czy pomiędzy naszymi znajomemi jest choć jedna studentka? Nie wiem nawet, czy uniwersytety przyjmują kobiety?

— Przyjmują — wtrąciła Maryńcia.

— Może... Nie wiem... Ale korzystają z niego tylko osoby źle wychowane, bezdomne, może zresztą takie, które nie mają środków, nie mają o czem żyć...

— I ja nie mam o czem żyć!

— Jakto? Alboż papa nie pracuje na nas, alboż ty nie wiesz, że mamy fundusz ..

— Ja nie o pieniądzach...

— Nie o funduszu? Więc dobrze... ja nie rozumiem...

Maryńci połały się łyzy z oczu.

— Chodź tutaj — poprosiła pani Henryetta.

Ale córka nie poruszyła się z miejsca, tylko jeszcze mocniej splotła ręce.

— Płaczesz, jesteś upartą — karciła matka — to bardzo źle... Tłómaczyłam ci zawsze, iż pierwszym obowiązkiem — posłuszeństwo, które polega na przewyciężeniu woli. Kobieta przede wszystkim winna być uległą. Teraz masz rodziców, potem męża...

— Ja nie pójdę za męża! — zawołała panna Maryńcia.

— Nie mów tak głośno — zgromiła matka — i nie mów nigdy: nie. Masz w charakterze dużo niesforności, nie pracujsz nad sobą...

Pomyślała chwilę, wpatrzona uważnie w drgającą, wzburzoną, mokrą od łez twarz córki, potem wykladała znowu:

— Skąd się w tobie biorą te spaczone pojęcia? Zapewne z książek, a może znajdujesz się pod czyimś niepożądanym wpływem? — pani Henryetta chwilę przyglądała się córce — Widziałam, że wczoraj przestawałaś tylko z panną Skibowską i z tym jakimś Turowskim, który okazał się człowiekiem fatalnie wychowanym. To nie jest towarzystwo dla ciebie... Przewracają ci w głowie. Uczyniłabyś lepiej, gdybyś częściej obcowała ze mną... Jeśli nasuwa ci się jakie pytanie albo wątpliwość — przyjdź do mnie... Bądź ze mną otwartą... — pani Henryetta jeszcze raz zrobiła przestanek, jak gdyby zbierała myśli czy argumenty.

— Dziecinnie zachciewa ci się nauki — spokojnie, dobitnie, poważnie ciągnęła dalej — a doprawdy jesteś już w tym wieku, iż mogłabyś rozważyć rozsądnie każdy swój pomysł i każdą cudzą radę... Nie zastanawiałaś się dotychczas nad zadaniem i powołaniem kobiety? Pan Bóg stworzył kobietę poto, żeby wyszła za męża, pracowała wspólnie z mężem, wychowała dzieci. „Mądra niewiasta buduje dom mężowi swemu“ — mówi pismo święte. Kto nie ma możliwości wyjścia za męża, kto jest bez domu, chleba i zasad, niech sobie strzyże włosy, nosi niebieskie okulary i szarga swoją cnotę po uniwersytetach, ale doprawdy i te panie wolałyby zamieszkać przy braciach i być, jak dawniej, pełnemi poświęcenia starami pannami... Nie chodziłam na żadne kursa, a masz-że ty cokolwiek do zarzucenia swojej matce? Pomagałam papie, hodowałam i wychowywałam was, rządziłam domem i tak myślę, iż spełniłam bez zarzutu zadanie życia — z pewnem rozrzewnieniem kończyła matka.

Maryńcia stała, jak słup nieruchoma i niema. Wreszcie wybuchła:

— Ja nie mogę tak... ja nie będę tak żyła, mamó! — wołała gorączkowo — ja chcę być człowiekiem... Już oddawna postanowiłam!.. dłużej nie wytrzymam! Aga idzie za mąż, teraz ja będę panną na wydaniu, lalką... Suknie, wizyty, bale... Nie mogę... Wszystko mnie boli i gniewa... Nienawidzę wszystkich... Fałsz, zbytki, próżność... Ja nigdy nie pójdę za mąż! Wszyscy panowie głupi...

Pani Henryetta rozpostarła na kolanach swoje delikatne ręce i spoglądała na pierścionki. Słuchała córkę naprzód z pobłażliwym zdziwieniem, potem z niepokojem, potem ze zniecierpliwieniem.

— Życie tutaj jest straszne — tymczasem zapalała się panna Maryńcia — depcemy po grobie... Serce zamarło... wysoki mur odgradza nas od wszystkiego, co tam... od pracy, od walki, od uczuć... Jest inny świat, mamó — deklamowała z jaśniejącem obliczem — gdzie ludzie czują, kochają siebie jak bracia, dźwigają gmach przyszłości...

— Dosyć! — przerwała jej matka — idź do swego pokoju...

— Ale ja pojadę, mamó...

— Zrobisz to, co rodzice twoi uradzą dla ciebie.

— Ucieknę! — wrzasnęła Maryńcia.

— Idź do swego pokoju.

Panienska wybiegła. Pani Henryetta usiadła na ponsowym, wytartym aksamicie klęcznika. Przebierała palcami na kolanach, ciesząc oczy migotaniem kamieni, i sumowała.

Nie bała się oporu córki, ale rozumiała, iż nie łatwo będzie przełamać jej wolę. Smuciły ją także tak sprzeczne z „duchem domu“ jej poglądy, przypisywane wprawdzie niedojrzałości i złym oddziaływaniom osób postronnych, w każdym razie niebezpieczne, gdyż ten bunt niesfornej myśli był zatrwajającym objawem nowych czasów... Obdarzona bystrym umysłem, pani Henryetta doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Maryńcia do sióstr wcale podobną nie była, że stanowiła wrogi obóz, że wiały po świecie wichry, które chwiały domami, chociażby w nich mieszkał duch najzacniejszy... przecież u dworu Habsburgów mezaliansy, przecież najstarsza Zbijowska, odkąd wyjechała na studia malarskie do Paryża, nie wróciła do rodziców, przecież hrabianka Basia ubiera się prawie po męsku, pali papierosy i zajmuje się upadłymi kobietami, przecież Iza Sędzińska, bogata, jedynaczka odmówiła najświetniejsze partye i kocha się w jakimś rzeźbiarzu... Przykładów jest dużo. Czyżby i pod jej okiem miała wybujać kłąbna, ekscentryczna roślina?...

— Złe czasy!—myślała pani Henryetta—czasy hardego nieposłuszeństwa, rozwiązłości i krytycyzmu myśli, samowoli... U góry i u dołu, w nizinach płyną prądy niespokojne i niebezpieczne... jakaś anarchia, jakieś burzenie granic, jakieś zuchwałe pragnienie... Tem mocniej przeto stać przy zasadach, tem uważniej czuć nad młodem pokoleniem, tem gorliwiej wpajać w nie poszanowanie tradycyi i zasad... Taka Maryńcia? O czem ona właściwie marzy? O nauce, o jakimś braterstwie, o jakimś świecie uczuć i czynów! Elle danse sur les mots... Bo gdzież jest to wszystko, do czego ona się wyrывa?... Kto jej o tem nagadał? Turowski?...

Tu pani Henryecie przypomniało się zdarzenie wczorajsze z Pawłem, pojedynek, który był już postanowiony, niebezpieczeństwo, które zagrażało narzeczonemu jej córki, tak mozolnie zdobytemu. Była to nowa troska... Myśl pani Henryetty pograżyła się w niej i szukała ratunku—tymczasem znowu zastukano u drzwi.

Od pierwszego spojrzenia na Klare pani Henryetta odgadła burzę. Uścisnęły się. Czoło Klary, gdy musnęła je ustami, było gorące jak w ogniu.

— Cóż mi powiesz? — z udaną obojętnością, a pełna trwogi, spytała pani Henryetta, wstając, żeby umiejętnie palcami poprawić — jakieś szpilki we włosach córki.

— Mamo! ja kocham Lola — z miejsca i, swoim zwyczajem krzykliwie wybuchnęła Klara — i nie wrócę już do Jasia!

Pani Henryetta osunęła się na wytarty ponsowy aksamit kłęcznika. Małe jej, bystre, świecące oczy z osłupieniem tonęły w córce.

— Odkądże to? Jak? — wyszeptwała.

— Oddawna — zawołała Klara.

— Oddawna? — powtórzyła.

Córka ukłękła przed nią, tuliła się do niej, całowała jej ręce — ze szczęściem. W czarnych, świecących, jak paciórki oczach pani Henryetty, malowało się wciąż osłupienie.

— I ja chcę być szczęśliwą, mamo—krzykliwie trzepała Klara—i ja chcę być szczęśliwą... Należy mi się... Wydalicie mnie za mąż za... tego okropnego człowieka... Nie kochałam go... Zamknął mnie w tych swoich błotach, w pałacu. Męczył mnie... Ież to razy uciekałam na wieżę... Chciałam skoczyć... On całymi dniami łapie ryby... Niech sobie chodzi z wędką sam jeden, nie jestem mu potrzebna...

Śmiała się ze szczęścia.

— Klaro, Klaro — z wyrzutem odezwała się matka.

Ale tamta podniecona krzyczała dalej:

— Bo naco jestem mu potrzebna? Nie kocha mnie! Wychodząc za mąż, byłam dzieckiem i nie rozumiałam... Teraz ja wiem, rozumiem i odróżniam... on mnie nie kocha... Łapie ryby i urządza walkę kogutów... Siada, patrzy godzinami i śmieje się... Ja już mam dosyć tego! Mamo, on nawet mówić nie umie! Mruczy coś pod nosem, jak jest w dobrym humorze, mileczy, gdy jest zły... Nie chcę pałaców jego, porcelan, ryb, błot i złych humorów... Nie chcę i za nic!.. Nienawidzę... Może dziesięć razy chciałam rzucić się z wieży!..

— Klaro!

— A Lola kocham już oddawna — wołała Klara — od pierwszej chwili, jeszcze przed ślubem... Ale nie chciał żenić się ze mną... Tańczyliśmy tylko na balach... Mama pamięta... zawsze pierwszego i ostatniego walca... Snutny był, dowcipny, żartował ze wszystkiego i ze wszystkich... Oświadczyłam mu się sama... uśmiechnął się i powiedział: „Gdyby mnie bogini miłości, piękna Afrodyta spytała, czy chcesz być moim, rzekłbym — nie mogę.“ Ale pisywaliśmy do siebie... Listy jego były moją pociechą... zaczął każdy list: „Nicość do nicości... Raz nawet przyjechał i chodził z Jasiem na rybę... Dwa dni przesiedział nad jeziorem z wędką... Wróciwszy, mówił, że wyłowił złotą rybę, a ja nie umiałam odgadnąć co on miał na myśli... Patrząc na walkę kogutów, żartował, iż to jest symbol doniosły, odbicie teraźniejszej chwili... Także nie wiedziałam...

Opowiadała po swojemu krzykliwie, ale z zachwytem, jak gdyby coś nader ważnego... Tonęła w tych wspomnieniach...

Pani Henryetta dźwignęła się z klęcznika i przeszła się po pokoju.

— Klaro! jakże można o mężu — zaczęła — o mężu, z którym kościół związał... do którego trzeba wrócić...

— Nigdy, mamó, nigdy... — wybuchnęła znowu Klara — powiedziałam już... ja nie mogę... nawet kościół da rozwód... ja wiem, ja pytałam... — krzyczała.

Pani Henryetta przechadzała się po pokoju.

— Trzeba, moje dziecko — rzekła cicho, unikając wzroku córki — nie żyjemy dla zabawy i szczęścia... Są zasady...

Klara zaniósła się od płaczu. Pieszczotliwie położyła rękę na jasnych jej włosach.

— Są zasady... Nie można słuchać swego ja, swoich fantazyj.. Przelotne uczucie przeminie... Przywykniesz... Mężowi trzeba dużo wybaczyć... Słodyczą i uległością przezwyciężysz wszystko...

Klara szlochała. Głowa jej dygotała w tem niewymownem łkaniu, przez palce przeciskały się łzy.

— Gdy byłam młodzieńką, matka moja powtarzała mi zawsze — ty wiesz, jak świętą była moja matka — że żona powinna cnotami wyprosić zbawienie dla siebie i męża (na oczekaniu wymyśliła pani Henryetta), że żona i mąż stanowią jedno... A Lolo? Kto go tam wie! Wiatr w polu, dziwak, filozof, utracysz... Jutro zapomni... Mąż to mąż moje dziecko! Nie poświęca się sakramentu dla wybryku. Powinnaś przeżyć życie tak bez skazy, jak twoja matka... Klaro! Już przyznajesz mi słuszność, Klaro?

— Ja go tak kocham, mamó... On taki rozumny, dobry... Będziemy szczęśliwi... Pojedziemy...

Znowu szlochała.

Pani Henryetta przeszła się po pokoju. Zmarszczki szpeciły w tej chwili jej gładkie zwykle czoło.

— Pojedziemy—teraz cicho, wśród łez, urywanym głosem mówiła Klara — świat jest duży... Będziemy szczęśliwi... chcę szczęścia i miłości... Nie byłam nigdy szczęśliwą... poco wydaliście mnie za mąż... młoda — nie rozumiałam... Ale ty, mamó... Sama kochałaś papę...

Pani Henryetta myślała chwilę, potem, stojąc koło córki, rzekła:

— Powiem ci prawdę, Klaro—głos jej brzmiał uroczyście— ja nie kochałam twego ojca, wychodząc za mąż... miałam nawet jakieś inne... engouement, jak każda młoda panna... Ale usłuchałam rady starszych i doświadczonych... Tamten był młokosem... I widzisz... przeżyłam życie... przywiązałam się i nie żałowałam nigdy...

— To co innego, mamó...—zaprzeczyła córka—papo był inny... a ten... ja nie mogę już...

Pani Henryetta była bezradna. Patrzyła na córkę ze smutkiem i z niepokojem.

„Quelle mauvaise matinée!—pomyślała—Maryćia, pojedynek, teraz Klara...”

— Klaro, pomódlmy się tutaj — odezwała się z powagą — żeby ci Bóg zesłał siły... chodź tutaj, dziecko!..

Matka uklękła sama jedna. Klara płakała tak samo, w tej samej pozycji, u klęcznika, na dywanie. Pani Henryetta modliła się długo. Chciała przeczekać gwałtowność bólu córki. Usta jej szemrały pacierze, a jednocześnie wysilała uwagę, żeby objąć położenie, żeby zaradzić...

— Bóg natchnął mnie, Klaro—odezwała się, wstając—pojedziesz do Częstochowy i znajdziesz tam pociechę. Pojedziemy razem... Dobrze?

— To nie pomoże... to nie pomoże!—z bezgranicznym żalem skarżyła się Klara.

Tymczasem zadzwoniono na śniadanie.

*

*

*

Po śniadaniu, które całe zalane było kwaśnym sosem z powodu zasepienia gospodarza i gospodyni oraz nieobecności dwu córek, pani Henryetta udała się do męża. Było to zdarzenie całkiem niezwykłe, ponieważ małżonkowie Kamienieccy mimo, że stanowili zgodne, dobrane, przykładowe stadło, nie widywali się prawie sam na sam, a jeszcze rzadziej rozmawiali poufnie. Kamieniecki nie miał na to czasu, pani Henryetta zaś w sferze zajęć, którą uważała, jako wyłącznie niewieścią, a którą pismo święte chrzci mianem „budowania domu,“ nie lubiła się radzić.

Oboje działali na własną zupełnie rękę. On nazajutrz po ślubie zagarnął cały jej stutysięczny kapitał i Kamieńczyce (dawniej zwane Peckowszczyzna) i rozporządzał się tem, jak sam chciał: kupował i parcelował majątki, handlował lasem, budował fabryki, murował pałac—ona hodowała i wychowywała dzieci, prowadziła dom w znaczeniu światowym i towarzyskiem, zajmowała się dobroczynnością. Pracując zgoda bez porozumienia, pracowali jednakże w doskonałej harmonii... „Co jedno pomyślało, to drugie zaraz odgadło...“

Mąż godził się z góry na każdy krok żony i odwrotnie. Pani Henryetta wysłała synów do liceum, wydała za mąż Klarę, wypatrzyła i zdobyła Pawła, Kamieniecki na wszelkie sposoby robił pieniądze.

Oboje dążyli do tego samego celu: do funduszu i pozycyi światowej, a podzieliwszy trud i ufając sobie, nie krępowali siebie w niczem. Nigdy żadna chmura przez 25 lat nie rzuciła cienia na małżeńskie ich pożycie, i świat mógł z całą słuszością stawić Kamienieckich za przykład. Z jeszcze większą słuszością pani Henryetta mogła uważać siebie za szczęśliwą. Wierzyła mężowi i wierzyła w męża.

Z tą wiarą wchodziła dnia tego po śniadaniu, pełna trosk, do jego gabinetu.

Pan Hilary mógł zdziwić się niepomalu, widząc żonę w swoim, wyłącznie urzędowym przybytku, ale zdumienia swego nie okazał. Trzymał w ręku lusterko, w którym zapewne badał siebie przed

chwila, apatycznie spojrział na żonę, czekał. Pani Henryetta usiadła po drugiej stronie biurka, popatrzała z zakłopotaniem na męża i także czekała. Z żółtej cery, ze zmarszczek dokoła oczu domyśliła się, iż spotkały go dotkliwe zmartwienia.

— Chory jesteś?—Spytała.

— Czy znać to po twarzy?—zaniepokoił się Kamieniecki.

— Masz żółte plamy... Możeś otrzymał złą wiadomość?

— Tak—wymijająco mruknął mąż.

— Duża strata?!

— Duża—odparł obojętnie i zwrócił się do okna.

Po niebie za górną szybą sunęły obłoki białe, pospolite w dzień wietrzny. Oboje jakiś czas śledzili za tem mijaniem chmur—tak samo w głowach ich mijały myśli.

Oblicze Kamienieckiego było martwe, wpółotwarte wargi kurczyły się odruchowo. Drażniła go obecność żony, zdrowej, pulchnej, rzeźwej, gdy jego trapi niemoc, gnębi ucisk, dławi niewymowny niepokój wewnętrzny; drażnił jej stanik naszyty dzeta-mi, które migotały, połyskiwały, uśmiechały się; drażnił wyraz jej oczu stroskany, który przypisywał obawie o jego zdrowie... Całą noc nie zmrzążył oka i teraz odezwało się cierpienie, zwykle w chwilach zgryzot, może cięższe niż kiedy.

„Karlsbad nie pomógł nic—myślał — organizm przywyka do każdego lekarstwa i cóż będzie? Stan się pogarsza... może tam w wątrobie rozwija się ukryty rak... podobno lekarze co do raka nigdy nie wiedzą na pewno... może choroba serca?..“

Chwytał go strach i miał już zrozpaczoną determinację bić się w pojedynku i zginąć od kuli... Przynajmniej raz się skończy...

Ale oto słyszał suchy łoskot skrzepłych grudek piasku, widział mroźny dzień ze skrzącym śniegiem na mogiłach, słyszał śpiewy i jękliwą gęźbę dzwonów, widział salon, w którym paliły się świece w ciszy, w okropnem milczeniu..

Trwoga ścisła serce pani Henryetty. W skrytości nieraz drżała o fundusz, gdyż pamiętała niedużą cyfrę kapitału, który wniosła, a który poszedł na obrót i utonął, przypuszczała znaczne długi, zaciągnięte na niezliczone męzowe przedsiębiorstwa, dowiadywała się wciąż o nowych krachach i bankructwach nawet wielkich fortun... Przypomniło się jej także pesymistyczne zdanie jednego z lekarzy o zdrowiu męża.

— Nie zagryzaj się, mój drogi—odezwała się po francusku — zdrowie przedewszystkiem, a z łaską Bożą i ratunek się znajdzie... Możeby do ciotki Hubertowej... nie odmówi, pożyczycy—dodała zniżając głos.

— To nie pomoże! — apatycznie rzekł Kamieniecki.

Było milczenie. Znowu oboje patrzali w ogromne bez firanek okno, za którego górną szybą gnały chmury. Tak samo szybkie myśli biegły przez głowę pani Henryetty.

...więc już jest tak źle, że niema nadziei... nawet ciocia Hubertowa... bałam się i przewidywałam... zawiele kupował i budował... te wszystkie fabryki, te parcelacye, place i lasy... długi pożarły... więc nędza!

Nie chciała i nie mogła z tem się pogodzić.

— Powiedz mi — zaczęła po francusku — nie ukrywaj przedemną... mów wszystko... chciałabym podzielić twoją troskę...

Kamieniecki nie odpowiadał.

— Wolę już wiedzieć — prosiła żona — taka niewiadomość mężczy niewymownie... domyślam się rzeczy najgorszych... może ruina? głos jej drgnął.

Apatyczne, chore spojrzenie Kamienieckiego utkwіło w niej.

— Jaka ruina? — zapytał.

— Ruina... no... ruina majątkowa — szepnęła drżąc.

Badał ją wzrokiem, w którym teraz malowało się może szyderstwo. Była chwila ciszy.

— Ty masz tę jedną troskę — rzekł zjadliwie — a to najmniejsza... Fundusz! fundusz dziś jest, jutro go niema, pojutrze znowu będzie... byleby żyć! życie — oto wszystko... — urwał.

— A ze mną jest źle — dodał potem zmienionym, słabym głosem — Karlsbad nie pomógł, ból odzywa się... oto i ruina... Cóż będzie teraz, jak...

Reszta słów została na wpółotwartych wargach, które drżały, jak u dziecka przed rozplakaniem się. Oczy jego przerażone, mętne, niewymownie okropne patrzyły w nią.

Pani Henryecie spadł ciężar z serca — nie było obawy o fundusz. Wstała, zbliżyła się do męża. Dżety na staniku jej migotały, lśniły, świeciły figlarnie, jak łuska wesołego stworzenia. Obu rękami objęła głowę męża, chciała przytulić ją do piersi...

Ale on odepchnął ją prawie z odrazą.

— Ta suknia twoja! — mruknął gniewnie.

Pani Henryetta wróciła na swoje miejsce, usiadła, wyciągnęła rękę przez szerokość biurka, położyła ją na ramieniu mężowym.

— Pogorszyło ci się? — mówiła tklіwie — dlaczegoś mi tego nie powiedział? Można zatelegrafować do Warszawy, możnaby konsylium... Trzeba leczyć się porządnie... pytałam nieraz doktorów poufnie...

— I cóż? I co? — ozywając się pytał Kamieniecki.

— Każdy tłumaczył mi, że to jest cierpienie dotkliwe, ale że można z nim żyć i sto lat byleby unikać wstrząsnięć...

— O Mirowskim mówili to samo — i cóż! położył się na kuśsetce, westchnął i już go nie było... Brzechciński Karol zsiadł z konia, zatoczył się i koniec... hrabia Podebski chorował dwa dni — jakby ze skargą wyliczał Kamieniecki.

Zona uspokajała go dalej. Mówiła mu długo o lekarzach i środkach leczniczych, o chorobach niebezpiecznych i dotkliwych, lecz nie groźnych, powtarzała mu zdania doktorów co do jego stanu, obiecała uczynić ofiary w Lourdes, wymyślała na oczekaniu wypadki zupełnych wyzdrowień i długowieczności... gdy zabrakło nowych argumentów, powoływała się w kółko wciąż na te same dowody... czuła, iż należy jak dziecku opowiadać jak najdłużej, zmyślać i kłamać, pleść cokolwiek bądź, wmawiać rzeczy wiarogodne i niewiarogodne...

Pan Hilary chciwie wchłaniał te pociechy i doświadczył ulgi.

— Może ty i masz rację — rzekł — ale w nocy było mi tak niedobrze, że myślałem, iż już przychodzi... — nie dokończył.

Otworzył szafę, szukał na półkach, zastawionych butelkami i pudełkami, połknął wreszcie jakieś lekarstwo. Było mu już znacznie lepiej. Zacerpnął otuchy, i pod wpływem tej radości zbłądło zajście wczorajsze z Turowskim. Cóż w rzeczywistości mogła ważyć okoliczność, iż jakiś chłystek, którego nikt nie zna, zamierzył się na niego? (Kamieniecki i sam uwierzył już prawie na dobre, że czynu nie było a tylko zamach nieudany) stało się, było, przeminęło!.. Ludzie zapomną... Byleby zdrowie i życie!..

— Z czem przyszedłś do mnie? — raźnie zapytał żonę.

— Widzisz — z zakłopotaniem zaczęła pani Henryetta — mam troskę... potrzebuję twojej rady...

— Tak?...

— Mam troskę z córkami...

— Aga zaręczona — wtrącił nawiasowo.

— Nie o nią tu chodzi... Maryńcia... to dziwne dziecko... niesforne, niespokojne... bunt myśli, przewrócona głowa... znajduje się pod czymś niepożądanym wpływem... Dziś zrana zrobiła mi scenę... chce jechać gdzieś na uniwersytet... ucieknie...

— Głupstwo! — sarknął Kamieniecki, któremu przypomniwała się wczorajsza scena w powozie, a miał o nią rodzaj złości do córki — ukarać ją, posadzić na chleb i wodę, odebrać książki, zmyć porządnie głowę... Jeśli chcesz, zawołam ją... ja już potrafię...

— Nie, mój drogi — zaprzeczyła matka — tym sobie nie poradzimy; trzeba łagodnie... zrazi się do nas, a już i bez tego...

Pan Hilary machnął ręką.

— Jak chcesz... ja bym ją nauczył... zresztą te dziecinne projekty nie są groźne... wywietrzeją..., włoży długą suknię, pojedzie raz i drugi do Hersego... Cóż więcej?

— Klara — powoli, jak gdyby dobierając wyrazów, mówiła pani Henryetta—z Klarą gorzej... Rozkochała się w Lolę, nie chce wracać do męża...

— Taak?

Kamieniecki uważnie popatrzał się na żonę, ważył tę niespodzianą wiadomość, uśmiechnął się.

— Widziałem oddawna — rzekł — że oni ciążą ku sobie, że mają się do siebie... wiem... czyżbyś ty dopiero dzisiaj?

Uśmiechnął się znowu.

— Ja nie—szybko odparła pani Henryetta—ani przypuszczałam—jak grom... byłam nieprzygotowaną.

— Bo jesteś la vertu mème—Kamieniecki żartobliwie poklepał ją po ręce—boś sama nigdy... A dwoje młodych... jakże chcesz!.. zwłaszcza Klara... ty przecież wiesz... nie gorszą się i nie dziwią się... niech biedna kobieta zazna szczęścia, niech się kochają...

Pani Henryetta spoglądała na męża z tem samem osłupieniem, z którem słuchała wyznań córki. Kamienieckiego to bawiło widocznie.

— Jakże chcesz!—ciągnął dalej—tylko to nie dobrze, iż nie chce wracać do męża, bo będzie skandal... Powiem Klarze, że mogą się kochać, że mogą i t. d. byleby pokryjomu... sans esclandre. Kto widział zaraz do rozwodu... na świecie pełno jest takich miłości... on s'amourache, on jouit a dawać na dzwony!.. z życia trzeba wyciągnąć możliwą sumę szczęścia i wdzięku... jestem pełen tolerancyi—wykładał Kamieniecki.

— Hilary! — wybuchnęła pani Henryetta — jak ty możesz! a zasady, a obowiązek, a kościół... nie po to wpajałam, nie po to wychowywałam... duch domu... w moim domu...

Była tak zgorazona, iż nie kończyła zdań. Tłómaczyła, przekładała, unosiła się, oburzała się, przekonywała... Pan Hilary słuchał cierpliwie, jakoś szczególnie mrużąc oczy, z jakimś dziwnym półuśmiechem dokoła ust.

— Dobrze — rzekł wreszcie — zgadzam się na wszystko... Il faut extirper le mal w samym początku... — powtórzył wyrażenie żony—zawołaj tylko Klarę—a ja ją uzdrowię... zobaczysz—uspokajał nawpół seryo.

Pani Henryetta wyszła po córkę. Tymczasem Kamieniecki, zasunawszy ręce głęboko do kieszeni, żwawo przechadzał się po gabinecie. Był pełen energii. Okrutna zastona, która zapadła

przed nim na długie godziny (był świt, potem słońce weszło i mknęło ku południu — a on wciąż męczył się w sobie) podniosła się znowu do góry i ukazał się świat żywych i szczęśliwych, świat pracy i walki, dążeń i zwycięstw... Jego miejsce jest jeszcze tu, po tej stronie!... żyje jeszcze i będzie żył!

W pewnej chwili uchwycił przybity do oddrzwi przyrząd gimnastyczny i z rozkoszą wyciągał, wyprężał, rozszerzał ramiona. Ciepła i mocna krew krążyła mu po żyłach, nabrzmiewały krzepkie mięśnie, w głowie uczyniła się jasność.

To miłe zajęcie przerwało mu zjawienie się córki. Wskazał jej krzesło, usiadł sam, wbił oczy w sufit, może szukając natchnienia.

— Słyszałem, Klaro, od matki!... dziwię się bardzo — zaczął.

Klarze pod fularem stanika drżały ramiona i plecy.

— Czyżby istotnie?—indagował ojciec—czyżbyś ty wychowana w zasadach, córka swojej matki... możeś się już rozmyśliła? może przejrzałaś?

Klara była jak martwa. Muchy bzykały na szybie ogromnego okna i ta cicha muzyka sprawiała jej ból... Zupełnie, jak gdyby ktoś subtelnie a z lubością szarpał, roztrzępiał, rozsuwał na cienkie włókna nerw w okolicy serca. Czekwała, prędko li ustanie ta dotkliwa robota delikatnych palców i ta cicha muzyka u okna.

Pani Henryetta wdychała co jakiś czas uroczyście i smutnie.

— Nie mogę uwierzyć, bo nie chce mi się wierzyć — słodko ciągnął dalej Kamieniecki, szybko i często mrugając czerwonymi powiekami.

Klara mrugała także. Odziedziczyła ten odruch nerwowy po ojcu.

— Więc jakże, Klaro?—zapytał wreszcie.

— Nie wiem... — odparła leniwie.

— A widzisz!—podechwycił pan Hilary—żałujesz już... przejrzałaś... ja byłem pewny... znam twój rozsądek.

— Ja nie mam żadnego rozsądku — krzykliwie wybuchnęła córka—ja nie chcę rozsądku. Chcę szczęścia... Nienawidzę tamtego... kocham Lola... róbcie co chcecie... to rzecz wasza... wy rodzice, wy wydaliście mnie za męża...

Kamieniecki dotknął ją zlekka.

— Dobrze — rzekł słodko — zgadzam się.

Twarz Klary zajaśniała. Skoczyła ku ojcu.

— Ależ mój drogi!—z niepokojem wtrąciła pani Henryetta.

— Usiądź Klaro... spokojnie... pomówimy—ciągnął Kamieniecki — powiedziałem, że zgadzam się... dobrze... Nienawidzisz męża, kochasz Lola... dobrze... cóż dalej...

— Rozwód! — zawołała Klara — ja już wiem, już pytałam... można mieć rozwód formalny w sześć miesięcy, są doskonałe powody... Wy wiecie... tylko napisać podanie do konsystorza, a w sześć miesięcy — krzyczała Klara.

— Dobrze, rozwód, a potem? znowu pytał ojciec.

— Jak to potem?.. potem ślub...

— Dobrze, ślub z Lolem, a potem?

— Potem? — zdziwiła się Klara — potem? potem już nic...

Kamieniecki położył rękę na stole, rozsuwał i zbierał palce, przyglądał się córce, mrugając oczami.

— Zgadłaś, moja droga — powiedział poważnie — że będzie nic. Tak nic nie będzie, a raczej nędza. Nie myślałaś o tem? A w twoim wieku... Lolo jest najlepszym chłopcem, ale między nami mówiąc — przyciszył głos — to hołysz... żyje z kapitału, ty także nie masz — więc nędza! Nie przewidziałaś tego? Nędza! Ty nawet nie wiesz, co to jest nędza! Nie kosztowałaś... Spróbuj, zakosztuj. Dwa pokoiki na poddaszu, zimno, piec nieopalony, na obiad kartofle z solą i suchy chleb, na kolację... nawet żadnej kolacji nie będzie... Pomyśl tylko! Dwa pokoiki — z zapałem, z gustem malował swój obraz Kamieniecki — na poddaszu, chłód, wrzask dzieci, — nianiek nie dostaniesz — zaśmiał się — a dzieci posypią się... wytarta suknia, jedna na rok i nie od Hersego, dziurawe trzewiki, na obiad kartofle z solą... Codziennie kartofle — nigdy nic innego... zastanów się... zniósłabyś to?

— Nie...

— Więc jakże? — tryumfował ojciec.

— Nie wiem...

Klara poczęła płakać, ale inaczej niż u matki, bo cicho, bezradnie i żałośnie.

— Jako żona dzisiejszego twojego męża, na którego tak narzekasz — prawil Kamieniecki — masz dwie nieocenione rzeczy: ogromny fundusz i pozycję. Nie zdajesz sobie sprawy z tych skarbów, ale gdyby pozbawiono ciebie...

Wybieraj tedy: albo nędza albo dobrobyt... Ja zgadzam się na wszystko... Sam wniosę podanie o rozwód... wybieraj...

Klara wciąż płakała bezradnie i żałośnie.

Kamieniecki przeszedł się po pokoju, potem postął chwilę przed córką.

— Idź już, Klaro — rzekł z odcieniem nudy. Nie lubił widoku łez.

Klara wysunęła się z pokoju. Szła ze zwieszoną głową, z roz-targanemi włosami, zamiatając podłogę długim trenem sukni, który szeleścił tęskliwie. Nie zamknęła za sobą drzwi i chwilę jeszcze

słysząc było szmer jej wolnych, lunatycznych kroków, szuranie sukni i ciche chlupanie.

— A co nie mówiłem ci? — zwrócił się Kamieniecki do żony—ja już je znam... Trochę powierzchownej frazeologii, trochę spazmów — a wszystko pójdzie jaknajlepiej. Trzeba tylko umieć trafić...

I Kamieniecki, rad z siebie, znowu ujął gumowe rozciągacze i zabawiał się gimnastyką. Czoło pokraśniało mu z wysiłku.

— Mam jeszcze jeden niepokój—odezwała się pani Henryetta, podchodząc do męża — o Pawła... wiesz przecie, że ma być pojedynek z tym... jakże tam... Turowskim... byłoby fatalnie, gdyby narzeczonego Agi... rozumiesz? — eicho po francuzku mówiła pani Henryetta.

Kamieniecki wypuścił z rąk rozciągacze. Nasunęło mu się przykre przypomnienie.

— Czy ja wiem...—rzekł niechętnie—nie moja to rzecz...

— Ale należy coś przedsięwziąć, coś obmyślić, nie dopuścić — nalegała pani Henryetta.

Kamieniecki zauważył, iż żona ma jakieś filuterne przebłyski w spojrzeniu, że ogarnia ją wesołość. Milczał.

— Ja mam pomysł—powiedziała jeszcze ciszej — potrzebuję twojej rady...

Nachyliła się do męża i szeptała mu z przejęciem.

— Zdaje mi się, że tak dobrze?—zapytała na końcu.

— Mądra jesteś—wciąż niechętnie odpowiadał p. Hilary—rób, jak chcesz... nie wiem...

— Jedyne wyjście... niema innej rady... przemyślałam już wszystko... a to ma i tę dobrą stronę... że przywiąże Pawła... rozumiesz? Pani Henryetta patrzyła mężowi w oczy.

— Dobrze, dobrze...

— Więc tak, jak gdyby nic—prawda... ani słowa, ani wzmianki... nie przeszkadzać... rozumiesz?... śpieszę do Maryńci, która rozchorowała się... Do widzenia...

Pani Henryetta lekko wybiegła z gabinetu, w którym zostawiła wszystkie poranne troski, już pomyślnie usunięte.

Kamieniecki patrzył za nią w ślad, przez moment miał ochotę przywołać ją i opowiedzieć wszystko tak, jak było... Możeby jej rozumna głowa znalazła wyjście i dla niego... Ale wolał nie poruszać tej sprawy... bo nie było o czem mówić... że Turowski chciał go uderzyć... Paweł to zgoła co innego... został znieważony... niech szuka satysfakcyi w swoim i przyszłego teścia imieniu...

Tu Kamienieckiemu strzeliła myśl. Tajemniczy projekt żony był deską ratunku nie tylko dla Pawła... może i on mógłby się ucaścić i wypłynąć?

Zapisał swoim zwyczajem, gdy był w dobrym humorze, ręce głęboko w kieszenie, przechadzał się. Jak dziecko po nocy, które nie może wyleżeć w łóżku i wierzga nóżkami a wywraca koziółki, czuł ochoczą, niepożytą energię. Śwędziła go potrzeba pracy. W głowie poczęły mu śmigać liczby (rachunków na papierze nie robił, bojąc się cyfr czarnych na białym), terminy, kosztorysy nowych przedsięwzięć, sumy przyszłych zysków, świetne argumenty do procesów... Dokonywał olbrzymich obliczeń, natrafiał na jakąś przeszkodę w danej aferze, wpierv niewidoczną – i wnet usuwał ją szczęśliwym odkryciem, sprzedawał i kupował, chwycił w lot własne błędy, które należało poprawić, i błędy przeciwników albo konkurentów, błędy, z których można było skorzystać, na których można było zarobić, to znowu niespodzianie natrafiał na ciasny i ciemny, chytry zaułek, który wiodł daleko i wysoko, tam, dokąd prostej drogi nie było... Tysiące projektów i pomysłów, tysiące reform i odkryć, cyfry, zyski, procenta...

Niby jastrząb myśl jego szybowiała nad olbrzymim obszarem interesów. Zataczała zamaszyste koła, bystrem okiem obejmowała przestrzeń, całość i pojedyncze szczegóły – nagle jak kamień padała w dół i znowu wznosiła się do góry ze zdobyczą w dziobie... Nie zawsze i nie często w krótkim czasie można tyle dokonać! Oto niezwykle wyzyskanie motoru, oto oszczędność na opale, oto osina z Naborowskich lasów, oto zerwanie umowy z żydem kupcem zbożowym (był haczyk) i zagarnięcie zadatku, oto sprzedaż placu pod koszary w Warszawie, oto sposób wybrnięcia z procesu, oto chytry, ciemny i śliski zaułek...

Pan Hilary chodził długo po pokoju. Potem dzwonił siarczyście w telefon, poruszył całą administrację, krzyczał, pytał, wymyślał, wydawał rozkazy. W sztywnym, zimnym, zanadto widnym gabinecie, panował gwar. Telefon jęczał.

Tymczasem pani Henryetta zmieniała zimne okłady na głowie Maryńci, którą zmogła gorączka. Leżała z wypiekami, odziana, gdyż za nic rozebrać się nie chciała i ostrym świecącym wzrokiem przenikała przestrzeń. Czasami odganiała coś ręką z przed twarzy, czasami szeptała, szybko i cicho poruszając wargami. Matka czuwała nad nią niespokojnym spojrzeniem.

— Jakże ci teraz, dziecko? — pytała.

— Dobrze – pewnym, przytomnym głosem, niezmiennie odpowiadała córka.

I kilka chwil leżała bez ruchu a w milczeniu, potem znowu szeptała. Pani Henryetta pochylała się nad samą twarzą chorej, żeby uchwycić treść tej nieustannej trwożnej gawędy — lecz wówczas wargi poruszały się bez dźwięku.

— Mamo, idź sobie — kilkakrotnie prosiła Maryńcia — zostanę sama, zdrowa jestem...

Ale pani Henryetta, mówna, nadzwyczajnie towarzyska, wesoła i żywa, nie przyzwyczajona do widoku chorób i cierpienia, których bała się, nie stworzona bynajmniej na siostrę miłosierdzia, nie opuszczała córki. Doktor, wezwany na wieczór, nie nazwał choroby po imieniu, przypuszczał możliwość komplikacji, okazywał pewien niepokój. Pani Henryetta niepokoiła się także.

Przerażona gorączkowym szeptem, który brzmiał groźnie w cichej przyćmionej komnacie, pełna nieopisanego nerwowego lęku, nie zdejmowała z córki wzroku. Chciałaby przemówić do niej i prosić ją, ażeby przestała chorować, żeby była już zdrowa, żeby uwolniła ją, matkę swoją, od trwożnych, przykrych, przejmujących wrażeń, żeby skończyły się te ciężkie godziny, które idą powoli, ciemne, zimne, surowe, ponure... Ten pokój choroby był niby toń chłodna i straszna, w której trzeba było pograć się i wytrwać... I pani Henryetta miała trochę żalu do Maryńci, jako do sprawczyni tych utrapień. Z salonu, z wesołego salonu biegły dźwięki fortepianu — żal wzmagał się... Ale wnet potem zdejmowała panią Henryettę litość i brała rozpaloną chudą rękę Maryńci, gładziła jej czoło gorejące, albo klęczała i modliła się żarliwie... Przypominały się jej urodziny Maryńci, która, jako najmłodsza i córka nie była bynajmniej pożądaną, jej dzieciństwo i zabawy, jakieś nic nie znaczące chwile, utrwalone w sercu matki, pierwsza gwara... ..śmietankę nazywała „śpitanką...“ każda rzecz okrągła była u niej „pla“... codziennie modliła się o „paradzie“ — (szparagi), które lubiła nadewszystko... ile razy widziała księdza, wciąż pytała ją na ucho, czy to jest kobieta, czy mężczyzna... taka była zabawna!.. — wspominała pani Henryetta — ...drogie dziecko i dobre, niepospolicie dobre!.. od dzieciństwa nie skłamała.. co miała, rozdawała chętnie... uczyła się wyśmienicie... nigdy ani chwili przykrości... tylko dziś ta choroba, która może ciągnąć się długo, jak twierdzi doktor, i z powodu tych niedorzecznych projektów!..

Znowu z wyrzutem spojrzała na córkę, (nigdy żadne z jej dzieci nie przechodziło groźnej choroby.)

...tyle niepokoju, taka trwoga!.. ale ona, matka nie opuści córki ani chwili, ona spełni mężnie swój obowiązek, ona zniesie po chrześcijańsku... P. Henryetta rozrzewniała się nad sobą.

Tu Maryńcia poczęła cicho jęczeć.

— Co tobie jest, dziecko? Boli co ciebie?

Maryńcia nie odpowiadała. Pani Henryetta gładziła jej gorejące czoło, jej szczupłe ramiona, jej chudą, rozpaloną rękę. Potem podniosła tę rękę do ust.

— Może pani pójdzie spocząć — szepnął doktor — niech pani się nie naraża i nie utrudza...

— Nie, panie!.. ja jako matka... to mój obowiązek...—cicho, uroczyście odparła pani Henryetta — trzeba spełniać obowiązki...

Doktor oddalił się i usiadł pod oknem, żeby co kilka minut spoglądać na zegarek i chrząkać. Nudził się widocznie.

Maryńcia jęczała cicho, przez sen. Czasami wyrывał się jej jakiś głośny wyraz bez sensu. Pani Henryetta zęgnęła się wówczas, pełna chłodnego przerażenia. Powoli mijały długie, ciemne, ponure godziny...

Te same godziny były chwilami szczęścia dla obu młodych par. Klara grała Lolowi Szopena i Griega, potem coś z opery, potem nucili oboje. Wyszli do ogrodu, który zdawał się wzywać ich pod swoje ciemne, ciche skrzydła. Lolo tulił ją do siebie. Całował... Jak gdyby ognisty ptak, ptak ognia, trzepotał się w piersi Klary i omdlewał z rozkoszy.

Raptem poczęła płakać.

— Czego ty płaczesz?—zapytał Lolo.

— Ze szczęścia...

— Kobieto, fontanno sztucznych łez, skarbnico rozkoszy, przyczyno niedoli...

Płakała.

— Lolu, ja boję się nędzy—mówiła potem.

— Nędzy!—zdziwił się—jakiej nędzy?

— My z tobą... Papa mówił, iż będzie nędza—szepnęła łkając — na poddaszu, w dwu pokojach, piec nieopalony, kartofle...

Wypuścił ją z objęć.

— Niby ze mną nędza?

— Tak.

Roześmiał się.

— Lolu! co to będzie... Lolu nie śmieć się tak — wzywała rady i pomocy.

On odsunął się na drugi koniec ławki i śmiał się.

— Lolu... ja nie wiem doprawdy... papa tłómaczył... ja boję się.

— Więc papa Kamieniecki z tej strony... to mędrzec... więc jak on opowiadał: dwa pokoiki na poddaszu, piec nieopalony, kartofle—śmiał się ciągle Spotkański.

— Tak.

— To prawda... wybieraj: kartofle czy trufle...

— Lolu...

— Niepotrzebnie chodziłaś do ojca... ja bym to samo powiedział... znamy się... należało przyjść do mnie... miłość na poddaszu, gniazdko gołębie... nie dla nas... nie dla nas... my nie potrafimy... wiedziałem z góry, wiedziałem zawsze... my tylko w buduarach, my dla rozrywki... między jednym obiadem a drugim... może to i lepiej...

Ona płakała.

— Ale papa Kamieniecki psycholog!.. odstraszył kartoflami i nieopalonym piecem, wyleczył i nauczył, wskazał drogę... Ty już teraz wiesz, Klaro, co można... W buduarze, Klaro, à la Bourget... Papa Kamieniecki...

— Lolu.

— Nie płacz, Klaro... dosyć... szkoda oczu... miłość jest jak puhar, który krąży z ust do ust przy uczcie... wesoło Klaro... Niech kielich krąży... dziś jeden, jutro drugi... Miłość, to różowa lampa buduarowa, nieopalonego poddasza nie ogrzeje, miłość męzkatki to owoc, który się zrywa pokryjomu, po nocy, w ogrodzie, owoc, który boi się światła i cierpie w słońcu...

— Dosyć Klaro!.. pamiętasz tę aryę?.. zanućmy...

Na innej ławce Paweł ścisnął ręce Agi. Milczał już od dłuższego czasu. Gdy przyszedli do ogrodu, próbował rozpocząć poważną i zasadniczą rozmowę i wykladał narzeczonej uroczystość i ze wzruszeniem swoje poglądy na małżeństwo, na życie, na zadanie kobiety... Panna słuchała go bez opozycji, ale tłumiała ziewanie. Myślała także, iż pada rosa, iż ławka będzie mokra i że zniszczy się jej wąż, kosztowna suknia... Dlatego poprosiła Pawła, ażeby rozpostarł swoje palto. On zaś mówił ciągle. Wytknął długą szyję, zatokowany kiwał w takt słów dużą, niekształtną głową, jękał się, i w chwili, gdy brakło mu wyrazu, śmiesznie potrząsał palcem. Jak towarowy pociąg powoli, z przestankami, z sapaniem ciągnęła się jego ciężka wymowa... Był nieskończenie szczęśliwy, że oto jest ktoś bliski, który go słucha, któremu może spowiadać głąb zapatrywań, treść wierzeń, postanowień i zasad, który go poznał, żeby pokochać, i pokochał, żeby poznać do dna...

O takiej chwili marzył..

Pannę Agę dręczyła nuda, ta sama, dobrze znana nuda, która głobiła ją niegdyś na lekcjach, na wszystkich lekcjach, na reko-lekcjach. Paweł ze sposobu mówienia przypominał jej sławnego jezuity, który nie odznaczał się elokwencją, z zapału profesora

literatury. Jezuita jąkał się, szukał wyrazów, profesor literatury unosił się i jak nakręcony, bez złapania tehu, od pierwszej minuty do ostatniej opowiadał, opowiadał, zachwycał się, chwalił... każda rzecz była u niego... jakże tam? — przypominała Aga — ach tak... „arcypiękna w formie i szlachetna w pomyśleniu...“ uśmiechnęła się... profesor był roztargniony i zdarzały się zabawne pomyłki... „utwór arcypiękny w formie i szlachetny w pomyśleniu...“

Położyła narzeczonemu rękę na ramieniu, posunęła ją wyżej, na plecy, bawiła się uchem jego, włosami... Paweł cichł... Rwał mu się wątek... Ujął jej drugą rękę i tulił ją bez pamięci do ust.

— Moja, moja mruczał.

— Moja, moja — przedrzeźniała go...

(d. c. n.).

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

Symbol w nowej poezji polskiej.

I.

Narzekania na mglistość i zagadkowość myśli w naszej poezji nie są zbyt starej daty. Sięgają one początków prądu romantycznego, głośniejszą na warszawskim gruncie walki klasyków z romantykami w trzecim dziesiątku minionego wieku. Skarg na mglistość spotyka się wówczas sporo. Oto Morawski w 1824 w liście do Kaj. Koźmiana pisze o *Dziadach*, że „tak są w swych wyobrażeniach subtelne, niedociekłe, iż ciągle dorozumiewając się, niczego nakoniec nie rozumiał.“ Oto Osiński parodjuje sławny wiersz: „*Ciemno wszędzie*,“ czyniąc niedwuznaczną alluzję do tajemniczych głębin poematu; oto Sierociński ubolewa nad „niezrozumiałością, wynuszeniem, przysadą myśli i wyrażen...“ Sonetów Krymskich ¹⁾. Oto w parę lat później, zaklęty na wszystkie świętości przez Koźmiana, puszcza Morawski w świat swe listy satyryczne i w drugim „do romantyków“ woła ze świętem uniesieniem:

A cóżeście z poezji zrobili urokiem?
Zamiast dnia gasnącego otaczać nas mrokiem,
Wy nas nieraz wiedziecie w tak ciemne otchłanie,
Że pomimo największe szukanie, macanie
Zbyt trudno nie pomieścić skutkiem nocnych cieni
Poety z opętaniem a z szaleństwem pieni,
Ciemność zawsze prawd wszystkich najdroższym jest wrogiem,
A Feb nie tylko rymów — lecz i światła bogiem.

¹⁾ Dzień. Warsz. t. 9 r. 1827, str. 33, artykuł: Uwagi o sonecie w ogólności z załączonym krytycznym rozbiorem sonetów Mickiewicza.

Nawet Brodziński, stojący w owych zapasach najczęściej po stronie młodych i z nimi zaprzyjaźniony, utrzymywał jednak, że poezya powinna być „mistycznością dla uczucia, ale nie dla pojęcia.“ A czy Słowackiemu wielekroć nie zarzucano niejasności ¹⁾, czy Krasińskiego rozumieli współcześni, jak my go dziś pojmujemy?²⁾ Wszystko to są wszakże głosy może trochę niechętne, może krytyczne. Jakże się wyrażają o zamgleniu myśli w poezji sami twórcy? Kronika poezji zawiera w tej mierze mnóstwo zdań wręcz sobie przeciwnych; częstokroć ci właśnie, których dzieła zagadką były i dla ogółu do dziś aż do swej głębi nie są dostępne, bronili zrozumiałej myśli. Wszakże o ideę *Dziadów* spór dotad trwa, Mickiewicz zaś w liście do Odyńca w 1827 roku pisał z powodu utworów Gosławskiego: „Wiersze jego czytałem; ale powiem szczerze, że jeden wiersz, w którym zefir przekrzywił, pożywił i wywijał jest pełen deklamacyi. Te *mętne* myśli i te *niby* uczucia bez uczucia są tak smutne, jak zimne opisy Francuzów. Byron tak nie pisał, Goethe tak nie pisał, Trembecki tak nie pisał, Szyller tak nie pisał. To nie jest klasycyzm ani romantycyzm — to jest po prostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów, figur — nikt nic nie znajdzie.“ ³⁾

Nicby tu nie znaczył zarzut, że Mickiewicz utworzył *Pana Tadeusza*, arcydzieło przejrzystej i pogodnej myśli. Umyślnie obok niego postawię mistrza o otchłannej głębi ducha, cor cordium, twórcę *Prometeusza rozpętanego*, Shelley'a, który w swoim traktacie *O miłości* powiada: „Jeżeli myślimy, to chcemy, aby nas rozumiano; jeżeli nasza fantazya buduje kształty, to chcemy, aby wesołe dzieci naszego mózgu odrodziły się w mózgu innych; jeżeli czujemy, to nie chcemy, ażeby usta z lodu odpowiadały ustom, płonącym najlepszą krwią serca.“ Nawet Keats, artysta w każdym calu, wielbiciel sztuki dla sztuki, stwierdza w jednym ze swych poematów, że

Poezja jest to morze światła niezmierzone.

Niemniej przeto istnieje cała mnoga rzesza twórców i krytyków, odmienny sąd głoszących. Ci twierdzą, że Homer bywa za

¹⁾ *Młoda Polska* z 10 sierpnia 1838 r. pisała o *Anhellin*: „bijący urok stylu przy niewyraźnem odryśowaniu idei“...

²⁾ Pierwszy sąd o *Nieboskiej*, wydała w 1835 r. w swym *Dzienniku* Hoffmanowa, która się szczerze przyznawała, że „nie a nie nie rozumie“ nowego dzieła.

³⁾ Kor. II 148.

dosłowny i za historyczny, dziwiąc się, jak to czyni C. Norwid, dla czego chociaż tylko

„rycerskie ośpiewał herbarze,
Słyniejszy od Hesioda, co śławi oltarze.“

Ci za niedorzeczność mają, jeśli kto niekontent z *mglistej* mistyczności w poezyi ¹⁾. Ci twierdzą, że „poezya powinna zawsze mieścić w sobie zagadki — to jest celem literatury“ ²⁾. Ci zastrzegają się, jakoby poezya mogła dostarczać upojeń i rozkoszy estetycznej każdemu profanowi. „Jak w puszczy dziewiczej pod gęstymi splotami lian, głógów, cierni i pokrzyw — kryją się w niej kwiaty olśniewającej piękności i przejmującej woni, ale też jak w puszczy dziewiczej tylko pionier, znający się dobrze z tą podzwrotnikową roślinnością symbolów, obrócić się potrafi. Zwykły czytelnik - wędrowiec cofnie się częstokroć z osłupieniem przed chaotyczną gęstwą analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika, umiającego według oznak charakterystycznych odszukać tropy myśli“ ³⁾.

Czyżby twórcy *Dziadów*, *Prometeusza*, *Hyperiona* mniej mieli słuszności od Huret'a, Przybyszewskiego, Miriama? Bynajmniej: i ci i owi mają rację, o ile nie kuszą się rozciągnąć zakresu swej prawdy kosztem strony przeciwnej, o ile Hesioda nie pragną dźwignąć ponad barki Homera lub też *Tadeuszowi* zechcą odnawiać równiej wielkości z *Dziadami*.

Tu ciśnie mi się nieodparcie pod pióro kwestya, czemże właściwie jest poezya? Odpowiedzi znowu bardzo wiele. Cofam się ku początkom romantyzmu w Polsce i u jednego z najdzielniejszych teoretyków nowego prądu literackiego, u Maurycego Mochmackiego znajduję określenie istoty poezyi. Prawdziwym jej żywiołem ma być świat idealny, kraina cudów i złudzeń, oraz to dążenie, w którym indywidualność poety stopniami niknie i stopniami zlewa się z wszechbytem. Tylko te połyski geniuszu, ten wylew myśli, to wezbranie uczuć, ten uroczysty ton, którym malujemy coraz wspanialsze, coraz potężniejsze uniesienia duszy do najwyższego jej kresu — jest prawdziwą poezją. Dąży ona do nieskończoności, a żyje w myśli i tęsknocie ⁴⁾. Przypuszczam, że określenie powyższe nie tylko mogłoby zadowolić dzisiejszych teoretyków,

¹⁾ Przybyszewski: *Confiteor*.

²⁾ Jules Huret: *Enquête sur l'évolution littéraire*.

³⁾ Maeterlinck: *Wybór pism*. Przedmowa Z. Przesmyckiego str. XI.

⁴⁾ W rozprawie: „O duchu i źródłach poezyi w Polsce“, *Dziennik Warszawski* r. 1825 № 2 str. 138.

ale że nie wiele znaleźliby do uzupełnienia. Cóż bowiem innego głosi Przybyszewski, gdy w *Confiteor* pisze: Sztuka jest odtworzeniem tego, co wieczne, niezależne od wszelkich zmian lub przypadkowości, niezawisłe ani od czasu, ani od przestrzeni, a więc duszy, czy się ona przejawia we wszechświecie, czy w ludzkości, czy w indywiduum? Cóż innego wyraża Emerson, gdy woła do poety: „Wytrwaj i walcz, aż z twojej ekstazy pocznie się *potęga marzenia*, która każdą noc podda twojemu władaniu, która wdziera się w głąb rzeczy niezmiernie tajnych i niezmiernie skrytych, która z człowieka czyni przewodnik wszech prądów elektrycznych ¹⁾. Cóż wreszcie odmiennego wyraża Maeterlinck w swej *spowiedzi serca*, gdy pragnie zbadać wszystko, co nieokreślone w bycie, co niema wyrazu w śmierci lub w życiu, co szuka głosu w sercu i t. d. ²⁾ Wszystkie myśli poety dążą ku nieskończoności, ku wiekuistej, nieziennej i niedostępnej treści istnienia. A zatem świat, natura, człowiek, a właściwie duch ludzki, jego stosunek i rola we wszechświecie, tajemnica istnienia, nierozłączność człowieka i natury, to, co Shelley wyraził w jednym zdaniu po śmierci Keats'a: *He is made one with nature* — wszystko stanowi dziedzinę natchnień poetycznych. Nawet więcej. Sięga on po za kres istnienia, tłómaczy tajemnicę śmierci, istności zagrobowej, mgławic, z których wyłania się straszliwy łeb przedwiecznego chaosu, samego Boga nawet.

Tam nie patrz! —

ostrzega mirza poetę nad przepaścią w Czuful-Kale —

Tam spadła żrenica,

Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza;

I ręką tam nie wskazuj; nie masz u rąk pierza;

I myśli tam nie puszczaj, bo myśl jak kotwica

Z łodzi drobnej cisniona w niezmierność głębiny,

Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci

I łódź z sobą przechyli w otchłanie chaosu.

Mirzo, a ja spojrzalem! —

woła dumnie poeta.

Przez świata szczeliny

Tam widziałem... com widział, opowiem po śmierci,

Bo w żyjących języku niema na to głosu.

Niemasz tedy granicy dla ducha poety, jakkolwiek najmilszym dlań przedmiotem są owe bóle wszechświata, które „jęczą żalem, ryczą burzą, a wieki im głucho wtórzają.“ Do pogrążania się atoli

¹⁾ Emerson w artykule pt. *Poeta*. *Chimera* t. VI, str. 85.

²⁾ Wybór pism. Wstęp XLVII i XLVIII.

w owe głębiny nieskończoności nie wszyscy są wybrani, choć wielu może powołanych. Niekiedy doprawdy wprost zabawnym bywa widok geniuszka, co się „wyrwał ledwie z infimy, a może z pieluszek“ i wspina się, prężąc drobną postać, aby bezkarnie i zuchwale zedrzyć zasłonę posągu w Sais. Wypada chyba zgodzić się na hierarchię geniuszów poetyckich i niebotyczne loty powierzyć orłom tej miary, co Eschyl, Dant lub Szekspir. Jednakże oprócz sfer podniebnych, oprócz przepaści piekielnych, oprócz tajemnic i zagadnień, ludzkość całą kołem widzenia obejmujących, znajdują się inne, nieco mniej rozległe. W ludzkości istnieją narody. Wszakże już Krasiński bardzo słusznie dostrzegł, że Napoleon narodowości obudził z uśpienia. Objaw nie tylko społeczny, lecz i literacki. Wzmiankowany teoretyk romantyzmu Mochnacki, określając tak pięknie sztukę i poezję, zastrzegał się przeciwko związkowi jej z duchem wieku ¹⁾. Ale zastrzeżenie nie miało tchu ani bytu długięgo. W parę lat zaledwie stał na proch i unicestwił kosmopolityzm w sztuce i literaturze M. Grabowski, który z wielką mocą przekonania o prawdzie dowodził: „w literaturze widzi my wyraz moralnej fizyonomii narodu, wiekowe zwierciadła uczuć, skład myśli i wyobrażeń, których dostępujemy za stopniującą się kulturą. Chcemy, żeby nasi nowi poeci mówili nam o duchu narodowym, o dziejach domowych, o uczuciach, jeszcze żywych w sercach“ ²⁾. A czemże jest duch narodowy? Czy mówienie o nim zdrętwi rozmach skrzydeł i zniewoli do obniżania lotu? Czy to już nie będzie zajmowaniem się czemś, co wieczne, niezależne od przypadkowości, niezawisłe od czasu i przestrzeni. Owszem. Każdy naród ma pewne własności i odrębne znamiona, które stanowią jego duszę zbiorową. Jeżeli one i ulegną przeobrażeniom, to zmiany wymagają wieków, aby się dokonać. Wiemy np., że Słowianin bywa dobroduszny, gościnny, ufny, niepraktyczny, uległy ponętom wyobraźni, niewytrwały i niezacięty, w potrzebie bitny, ale wyjątkowo chyba niezłomnej woli i niespożytej energii. Wiemy, że dusza zbiorowa też pragnie, też dąży. Pragnie ona

1) „Świętokradzki związek poezji z duchem wieku, powinowactwo uczucia i wyobraźni ze stosunkami towarzyskimi, zależność natchnień i twórczego zapału od rozsądku i rzeczywistości... to są zarzuty...“ Rozprawa, jak wyżej str. 128. Zupełnie podobnie i Przybyszewski w *Confiteor*: „Sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka patriotyczna, sztuka mająca jakiś cel moralny lub społeczny, przestaje być sztuką, a staje się *biblia pauperum*.“ Pisało się to w r. 1899, w tym samym roku, kiedy *Wesele* Wyspiańskiego święciło niebylewale tryumfy swoje.

2) „Myśli o literaturze polskiej“ *Dziennik Warszawski*, 1828 r., maj, str. 111.

z głębić i rozpoznać to, co nasz wieszcz nazwał „garścią powołań“ narodu, danych mu od Boga. Pragnie uświadomić i utrwalić w sobie cnoty ojców, otworzyć na oścież wrzeczadze ku jasnym dziedzinom prabytu, z których dale niezmierne usunęły wszelki brud i pył i rdzę, nakładaną na sprawy codzienne przez nieudolność i znikczemnienie życia. Pragnie niekiedy ta zbiorowa dusza upoić się rozkoszą snów o zaświatach niewcielonych. A zresztą jak dusza ludzka wogóle stanowi część wszechbytu i natury, tak też i dusza narodu w ciągu wiekowego istnienia zespala się tajemnymi i głęboko sięgającymi ogniwami z naturą, przystosowuje i upodobnia się do niej, nawet w długowiekowej walce z nią i sama ulega przemianom i ją ugina pod jarzmo, znacząc stygmatem swej władzy. Przenikać więc tonie narodowej duszy, oświetlać blaskami natchnienia mroczne jej szczeliny, ukazywać przyszłość — oto godne zadania wieszcz. O ile napróżno kusi się odmierzać rozmachem olbrzymich skrzydeł przestrzenie sfer podniebnych, o tyle może zdobyć dla siebie wieczność w miłej, wdzięcznej a słodkiej pamięci narodu. Wprawdzie Zaleski w swym programie poetycznym śpiewa:

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica, ¹⁾

ale jego światem jest Ukraina; nie nadaremnie też w innym wierszku wzywa: wyjdź *narodzie*, z chlebem, solą. ²⁾

Bezwątpienia — oprócz tajemnic bytu, oprócz duszy narodowej posiada swoje głębie także jednostkowa dusza poety. Ale — jak to już zresztą wynika czy ze słów Shelley'a, czy z dopiero co przytoczonego programu Zaleskiego — zawoje jej mogą dostarczyć wówczas widoków zrozumiałych i zajmujących, jeżeli w niej tkwią i na jaw wyłaniają się pierwiastki, w jakikolwiek sposób zadzierzgające więź łączną ze światem. Miriam powiedział raz, że twórczość prawdziwa, jeżeli wzruszyć ma potężnie, wymaga pewnej znacznej siły uczucia i ducha od czytelników, widzów czy słuchaczy, a przeto dostępna jest jedynie dla ludzi, zdolnych do nawpół również twórczego spółnictwa duchowego. ³⁾ Można powiedzieć: i na odwrót. Twórczość, jeżeli ma wzruszyć potężnie, wymaga od poety, aby się liczył ze spółnictwem duchowem czytelnika, widza czy słuchacza, a nie podawał majaczeń zwiędłej

¹⁾ *Śpiew poety.*

²⁾ *Ze snu.*

³⁾ *Los geniuszów.* Chim. t. 1, str. 13.

wyobraźni lub zgniłego uczucia za złotą monetę wieszcezeń i nie pluć potem z pogardą i obelgami na tłum, iż go nie odczuwa.

W każdym z tych zakresów odkrywa duch twórczy nowe światy i nowych oczywiście szuka form do ich malowania. Istota twórczości nie może się ostać bez odpowiedniej formy, przecucia koniecznie domagają się najlepiej wyrażających je kształtów i choćby się tak sarkano na słowa, jak to czyni Mickiewicz w improwizacji wielkiej, gdy mówi, że „język *kłamie* głosowi, a głos myślom *kłamie*,” to jednak musi się je wielbić i dbać o nie, jak Słowacki, gdy w Beniowskim pisze:

Chodzi mi o to, aby język giętki
 Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
 A czasem był, jak piorun jasny, prędki,
 A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
 A czasem jako skarga Nimfy miętki,
 A czasem piękny, jak aniołów mowa . . .

Zresztą i Mickiewicz z katedry oddawał formie należny dział wagi, skoro utrzymywał, że liryka niczem jest bez liry, że muzyka w utworach lirycznych to nie przygrywanie, ale główna, istotna część poezyi. Ona jest jej duszą, życiem, światłem.

Nowe pomysły twórcze wymagają nowych obrazów poetycznych. Prawdziwa wielkość dzieła polega na możliwie zupełnym i doskonałym zlewie formy i treści: doskonałych odpowiedników formy artysta nie szuka w znanych powszechnie obrazach i symbolach, lecz tworzy nowe ich kombinacje. Zapewne mogą one wydać się widzom lub czytelnikom nieco tajemnicze, niepowszednie i obce; przez formę tedy powiększa się niekiedy pozorna czy chwilowa przepaść pomiędzy artystą a publicznością, ale stąd zgoła nie wynika, aby już każda myśl, każdy pomysł, każdy przedmiot poetycki pożądał szalonej pogoni za kombinacjami obrazów i symbolów. ¹⁾ Nie bez słuszności rozróżnia Nietzsche ²⁾ we wszelkiem natchnieniu dwa akty, spółcześnie rozgrywające: jeden dyonizowy, t. j. poryw i podniesienie duszy ku nieznanemu, rodzaj

¹⁾ Le vrai coloris ne vient pas des images qui se trouvent déjà toutes faites dans la langue et qui, fanées par l'usage, sont plutôt une gêne qu'un secours; il vient des images nouvelles et expressives que le poète avec les mots les plus simples sait évoquer devant l'esprit de son lecteur. M. Guyau. Les Problèmes de l'esthétique contemp. Str. 104.

²⁾ Die Geburt der Tragödie.

jasnowidztwa, i drugi apollonowy t. j. moc obrazowania, jako skutek aktu pierwszego, acz z nim równoważny.

Najczęstszym, najlepszym i najulubieńszym środkiem wcielania ideału w kształty widome poezji bywa symbol.

II.

Źródłem obrazu jest analogia pomiędzy ideą a przedmiotem. Ludy młodzięcze posługiwały się w odtwarzaniu świata widomego znakami czy obrazami, ale też i to, co tchnęło tajemnicą, określały za pomocą znaków konkretnych. Aczkolwiek tu trzeba szukać początku symboliki, to jednak zgoła czem innym są obrazy konkretne, a czem innym symbole poety-mistyka. Matematyk, który w analityce zamiast długiego szeregu wyznaczników kładzie krótki symbol np. q i w dalszym wywodzie snuje działanie, myśląc podobnymi symbolami — nie będzie jednak poetą. Obrazy, jakie w mej fantazyi się tworzą, gdy sobie przypominam wioskę rodziną, ogródek, po którym biegałem dzieckiem, jezioro, obrośnięte u brzegów trzciną, szum powiewów, płynących wierzchem sosnowego boru — obrazy te nie są symbolami. Ale są nimi już słowa wypowiedziane lub napisane, są gesty mowy głucho-niemego. Twórczość wyobraźni polega na przeistaczaniu obrazów rzeczywistych w obrazy symboliczne.¹⁾ Czynność ta ma dwie właściwości: bywa mimowolna i prawie niezależna od władz rozumowych i bywa podmiotowa. Kiedy stary nasz Jan z Czarnolasu kazał w *Odprawie posłów* swojej Kassandrze wróżyć, włożył w usta jej słowa:

Próżno się odejmuję: gwałt mi się dzieje,
Nie władnę dalej sobą: nie jestem swoja.

Prawie podobnie *mutatis mutandis* maluje Nietzsche chwilę natchnienia, którą nazywa dyonizyjskim upojeniem. „W ruchach poety znać stan oczarowania. Jak w owej chwili zwierzęta mówią a ziemia roni miód i mleko, tak dźwięczy zeń coś cudownego; bóstwem się czuje, stąpa sam w takim zachwycie i podniesieniu, w jakim widział w marzeniu swem bogów kroczących. To już nie sztukmistrz, to arcydzieło: potęgą twórcza całej natury

¹⁾ Th. Ribot. Essai sur l'imagination créatrice. Paris. 1900. Chap. III. L'immystique: elle transforme les images concrètes en images symboliques.

wyłania się przed nim w drzeniu upojenia, aby rozkoszą nasycić prajedynego. ¹⁾ Wszystkie kształty widziane, wszystkie przybierają dlań specjalne znaczenie, odmienny nawet pozór. Tajemnym głosem przemawia doń każde drzewo, każda roślina, każdy ptak. „Wszystko, co chodzi i pełza, ukazuje się mu, jako wykładnik jego ducha.“ A on opowiada, co się z nim działo — układa twory swojej wizji w piękną i nową własną kreację, którą podziwia i uwielbia świat. Ale też stąd wypływa, że czynność twórcza bywa podmiotową, Indywidualność artysty odgrywa w tym akcie twórczym rolę główną i tem wybitniej piętnem własnem naznacza wyraz, jaki nadaje swoim wrogom, im większym bywa geniuszem.

Za pomocą symbolów genialny poeta rozszerza do bezkresu widnokrąg naszej wyobraźni, wiedzie nas pewnemi drogami do zgłębienia idei, zawartej w każdym zjawisku, każe nam wierzyć, że pod powłoką, znisłom podległą, kryje się pierwiastek cudowności. Wielec poeci w chwilach tworzenia, jakby w jakimś opętaniu dobywają i miotają szeregi obrazów symbolicznych. „Przypatrywać się geniuszowi Szekspira — pisze Taine — znaczy to samo, co stać nad krawędzią otchłani, do której wpadające wielkie wiry wodne zasłaniają naprzód wszystkie po drodze spotkane przedmioty, a potem osłaniają je z kształtami przeinaczonymi i we wszystkie kierunki powykręcany.“ ²⁾ Rzeczywistość znika tedy w tym dziwnym procesie duchowym.

„Przebiegam różne tony,
Zanim z *sercem* dźwięk pogodzę —
I czystszy, upiękniony
Po samotnej puszczał drodze“

śpiewa nasz Zaleski, ale kwestya upiększenia należy już do specjalności duchowych, z których tworzy się dana osobowość.

Nie może być tedy zgoła mowy w procesie twórczym ani o naśladowaniu natury, ani też o kierowaniu się prawidłowością. Właśnie w tych okresach duchowego rozwoju ludzkości, w których

¹⁾ Aus seinen Geberden spricht die Verzauberung. Wie jetzt die Tiere reden und die Erde Milch und Honig giebt, so tönt auch aus ihm etwas Ueberraturliches; als Gott fühlt er sich, er selbst wandelt jetzt so verückt und erhoben, wie er die Götter im Traume wandeln sah. Er ist nicht mehr Künstler, er ist Kunstwerk geworden; die Kunstgewalt der ganzen Natur zur höchsten Wonnebefriedigung des Ur-Einen offenbart sich hier unter den Schauern des Rausches.“ Die Geburt d. Trag. 24. str.

²⁾ Hist. lit. angiel. str. 364.

duch unosi się nisko nad ziemią z wywichniętymi skrzydłami, symbolika gaśnie i zetraca się poczucie idealnej treści rzeczy. Co do natury jednak warto zauważyć, że jeśli prawdą jest, iż genialny poeta symbolami przenika i rozjaśnia najgłębsze szczeliny wszechświata i natury, to prawdą jest także, iż surowy materiał obrazowania tych symbolicznych wizyj czerpie on z przyrody za pomocą zmysłów, zwłaszcza wzroku i słuchu. Oko i ucho ludzkie napełnia się dźwiękami danego plemienia, barwami danego krajobrazu — i tem nasycone, nigdy nie zacznie tworzyć na inną nutę lub innemi barwami. Przenieśmy Polaka na Ceylon czy Sumatrę, to jednak dno jego indywidualności przechowa znamiona plemienia i kraju swego. Mickiewicz nad Sekwaną przedziwnie swojskimi barwami malował pola nadniemeńskie; w melodyach Chopina ucho bez mozołu dosłyszy szumu sosnowych borów lub tęsknego kwilenia pastuszej fujarki naszej. Nadaremnieby się chciał tedy artysta wyzuć i otrząsnąć z cech plemiennych: ¹⁾ t. z. kosmopolityzm sztuki uważać trzeba za urojenie.

Kwestya prawidłowości domaga się również niejakich zastrzeżeń. Zgoda na to, że prawdziwa poezya nie da się skrepić kanonem średniówki, rytmu i rymu, tembardziej zaś nie usłucha przepisów, które żądają od dramatu trzech jedności, od ody doboru wyrażeń szumnych, górnio brzmiących i t. p. Ale pomimo wszystkiego, co się wyżej rzekło o mimowolności aktu natchnienia, trzeba przyznać, że wszelka sztuka — tem samem i symboliczna poezya — nie wyłącza pewnych praw; podlega im zwłaszcza ta chwila procesu twórczego, kiedy poeta odnajduje znaki i formy, mające służyć do objawienia nazewnątrz odczutyh wzruszeń. Sami zresztą najgorętsi dziś obrońcy boskości natchnień poetycznych zachowują różnicę pomiędzy jednym wyrazem pomysłu twórczego a drugim. To—powiadają—symbol, tanto zaś allegorya. „Symbol jest allegoryą organiczną, wewnętrzną; korzenie jego giną gdzieś w ciemnościach; allegorya jest symbolem zewnętrznym: korzenie ma w świetle, ale szczyt jej jest jałowym i zwiędłym.“²⁾ Zbyt

1) Jakkolwiek u nas Przybyszewski, a za nim i trzynastka warszawskiej Chimery bronią kosmopolityzmu sztuki, to jednak idąc w tym względzie za estetyką francuską — myślą się, podobnie, jak myślą się Guyau i Veron. Niepopolity estetyk niemiecki Lipps, którego książka wielkie zyskała sobie uznanie, zasadę nacjonalizmu w sztuce wywiódł z przesłanek psycho- i fizyologicznych i uczynił w dziele swem *główną*.

2) Z. Przesmycki. Wstęp krytyczny do Wyboru pism dram. Maeterlincka. Warsz. 1894.

to subtelne dystynkcyje i nie dadzą się poprzeć przykładami z historii poezyi. Można utrzymywać, że symbol jest częstką allegoryi i odwrotnie, że allegorya jest rozległym i malowniczym symbolem, podobnie też, że obie mają źródło w analogii. ¹⁾ Cała *Boska komedya* jest jednym wielkim symbolem, ale ileż w niej mniejszych symbolów, począwszy od olbrzymiej wizyi otchłani piekielnej aż do symbolicznej trójki wraz z osobliwzemi jej kombinacyami. Allegorya kojarzy się tu z symbolem, wspiera się na nim w przedziwnej rozmaitości i cudownej harmonii, nie da się ani odłączyć, ani wyróżnić. Można też orzec, że np. nasz poemat *Anhelli* jest symboliczny, jako całość wyrażająca pewną intencję poety o mężu opatrnościowym, jest symbolem, w częstkach swych pełnym allegoryi, przypowieści i mniejszych symbolów. Nie umiem powiedzieć, coby tu nazwać jałowem i uwiedłem Obrońcy symbolizmu w sztuce dzisiejszej i w naszej poezyi pragną symbolowi nadać tajemnicze znaczenie. Dziś — powiadają — znaczenie symbolu pogłębiło się. Dawniej można było mówić, że krzyż jest symbolem wiary, serce — miłości, kotwica — nadziei; dziś symbol co innego znaczy. Fantazyja intuicyjnie tworzy nowe rzeczy. Pierwiastków jednak nowych nikt stworzyć nie zdoła — tylko syntezy rzeczy danych. W syntezie odróżnia się składowe części i istotę stosunku tych części, która wytwarza wzajemną ich prawidłowość. Zestawienie np. barwy żółtej i fioletowej wywiera pewne wrażenie, ale można wynaleźć dwa dźwięki, których wzajemny stosunek okaże się ten sam, więc i wrażenie będzie takie same, jak dwóch barw. Można przypuścić, że znajdują się dwa wyrazy, dwa pojęcia, dwa uczucia o takim samym stosunku i analogicznym wrażeniu. W takim razie możnaby zastąpić syntezę uczuć syntezą zmysłową. Wtedy powstanie allegorya. „Gdy zaś zdoła się pochwycić *istotę* syntezy i obrazowo, gdy już inaczej nie można, ją się przedstawi, to stworzy się symbol.“ ²⁾ Allegorya będzie tedy zastąpieniem zawiej syntezy uczuć syntezą zmysłową, symbol zaś uchwyceniem istoty syntezy. Nie byłoby zatem symbol obrazem? I owszem, symbol, jako byt sam w sobie, jako zasada, może być objaśniany przez obrazy. Otóż to: „gdy już inaczej nie można“ i owa wielce mglista *istota* syntezy muszą skłaniać pogłębiaczy symbolu do dalszych ustępstw. A zatem godzą się na wielorakie sposoby wykładania symbo-

¹⁾ Ob. podobne a bardzo trafne rozumowanie Ribota l. c. str. 188.

²⁾ Jerzy Żuławski. Prolegomena. Lwów. 1902. str. 80—83, art. *Znaczenie symbolizmu w sztuce*.

łów. ¹⁾ Nie ograniczają różnaitości ich, byle tylko posiadały „treść transcendentalną—i mogły na nią zwrócić uwagę zdolnych do odczucia ludzi.“ Wykluczają natomiast „zbyt wielką zewnętrzną doskonałość, zbyt ostateczne i szczegółowe wykończenie, jako wadliwe w dziele, wtedy bowiem zbyt łatwo ceni się dzieło ze względu na miłą zmysłom harmonię; w dziele zaś powinniśmy spotkać „coś,“ co tę harmonię przełamuje; a my mimowoli musimy szukać tego „czegoś“ i tak w głąb istotną dzieła wnikamy. ²⁾ Każdy uważny czytelnik dostrzeże, że istotnych różnic to dowodzenie pomiędzy symbolem i allegoryą nie wykazuje; allegorya ma głąb transcendentalną, zastępując syntezę uczuć syntezą zmysłową t. j. obrazem; symbol podobnie, jeśli zważymy, że istota syntezy t. j. wykładnik wzajemnego stosunku jej składników musi być jednak zmysłowo ujęty, „gdyż inaczej być nie może.“ Ale nie godząc się na tę subtelność w dystynkcyach, muszę uznać w nich myśl, że trafiają się symbole złe. Zaprawdę jałowych i zwiędłych czy to allegoryj czy też symbolów u nas wiele, wiele. Dzisiejsza poezya nasza rozmiłowała się w zagadkowości, coraz bardziej staje się symboliczną, używa symbolów, ale też ich i nadużywa. Zjawisko to dość naturalne, że przyszedł czas na symbolikę i u nas. Przygotowało się ono z wolna przez lat dziesiątki ostatniego wieku pod wpływami zagranicy, które i wówczas i dzisiaj przenikają do nas szybko, działając na sfery inteligencji niemal równocześnie z zagranicą. Jednym z powodów było rychłe bankructwo pozytywizmu w życiu i filozofii, a realizm i naturalizm w sztuce. Spółcześnie wyłoniły się i zmartwychwstały wszystkie stłumione acz niewyjaśnione wątpliwości i odkryły się u stóp duszy ludzkiej otchłanie i tajemnice bytu na nowo. Po Schoppenhauerze i Hartmannie przyszedł Nietzsche. Przerażliwy głos niedoli ludzkiej znalazł echo w każdej tkliwszej nieco piersi. Sztuka i artyści poczęli odwra-

¹⁾ P. M. Massonius, zdając sprawę z tej książeczki Zuławskiego, z zachwytem utrzymuje, że pojęcie symbolu jasno tu określono, bo „symboliczność danego momentu estetycznego polega na jednakowości stosunku jego części składowych ze stosunkiem części momentu innego, skądinąd do niego zupełnie niepodobnego.“ Drwi sobie szan. recenzent i szydzi z tych, którzy „uroczyście komentują, co chciał powiedzieć przez takie a takie dzieła Ibsen, Maeterlinck lub Wyspiański, a jednak sam wielbiony przezeń Zuławski uważa za możliwe wielorakie sposoby wykładania symbolów. P. Massonius zresztą swoim niezgrabnym frazesem niepospolicie zawikłał dość jasną definicyę Zuławskiego. (Pam. liter. r. 1902, str. 322).

²⁾ l. c. str. 82.

cać się od materii i człowieka fizycznego ku mózgowi i duszy. W miarę, jak statystyka udowodniała zwiększenie się słabości i zwyrodnień, kult dla zdrowego, pięknego ciała i siły fizycznej wygaszał w sztuce, anomalie zaś, duchowe zboczenia, rozkipienie namiętności i żądź wszelakich aż do ekstazy i hallucynacji, wabiły upojnym czarem artystów.¹⁾ My zaś, oprócz nędz ogólnie ludzkich, mieliśmy też własne rozmarzenia i tęsknoty. Wśród podobnego stanu dusz zaczął się zagranicą, a niebawem i u nas, nowy zwrot w sztuce i literaturze. Odnowiło się stare, znane romantikom, pojęcie o roli człowieka we wszechświecie. Z niedojrzanych głębin duszy wypełzały tajemnicze siły prabytu i ukazywały się zdumionym, niekiedy przerażonym oczom artystów. U nas jeszcze przed poezją malarstwo rzuciło na płótna szeregi symbolów, przed którymi na wystawach skupiały się gromadki widzów czasem drwiąco uśmiechniętych, czasem zaniepokojonych zagadkowością kompozycji, czasem do głębi wstrząśniętych i oczarowanych poezją całości. Któż nie zna wizji Jacka Malczewskiego? Kto nie widział jego obrazka, na którym rogaty, czerwony, tryskający brutalnym zdrowiem faun wygrywa na fujarce, a wynędźniała, zbiedzona głowa, o długich, rozwianych włosach i wielkich podkrążonych oczach, z niewysłowionej tęsknicy i smutku wyrazem—słucha pieśni. Otóż natura pierwotna i wykwit życia duchowego. Ale nic nie zdoła cofnąć gwałtownie wezbraniem szumiącego prądu. Za malarstwem poszła poezya. I ona zanurzała się na dno duszy ludzkiej i ona uczyła się „jęczeć żalem, ryczeć burzą,“ i ona przywykała do prometeicznych wzlotów i protestów. A jak bywa zawsze, że nowe pomysły domagają się form nowych, tak stało się i teraz. Tą formą nową poezyi dzisiejszej jest symbolika. Przez nią poezya przestała być opisem zjawisk i rzeczy zewnętrznych, a każe się domyślać treści duchowej; przez nią poezya działa orzeźwiająco, pobudzająco na dusze ludzkie, stałaby się ich rozkoszą i uszczęśliwieniem, gdyby symbolika była dobrą. „Użycie symbolów—mówi Emerson²⁾—wywiera na wszystkich ludzi pewien wpływ wyzwalaający i rozweselający. Zda się, jak gdyby nas dotknęła różdżka

¹⁾ M. Guyau w *Les problèmes de l'esthétique contemporaine* Paris 1895, str. 93-4 świadczy: „De nos jours la force et la beauté du corps ne sont plus notre idéal. Tout semble montrer d'ailleurs que la préoccupation trop exclusive des belles formes, et aussi des ornements, des parures, est le signe auquel on reconait les peuples primitifs. L'organe actif par excellence est et sera de plus en plus le cerveau: c'est donc lui qui attire à soi toutes puissances de l'être.

²⁾ Bardzo piękny artykuł p. t. *Poeta*. T. V i VI *Chimery* str. 77 (6).

czarodziejska, która zniewala nas, jak dzieci, do tańców i piasów. Jesteśmy, jak ludzie, którzy z jakiejś jaskini czy piwnicy wyszli na wolne powietrze. Taki wpływ mają na nas przenośnie, baśnie, przypowieści.“

Symbol zatem, jako środek poetycznego wyrazu dla duchowej treści, jest doskonały, możnaby rzec — jedyny; w zastosowaniu atoli tego środka nie może panować bezwzględna dowolność, jeżeli rzecz piękna nie ma się przeistoczyć w dziwactwo, maniérę lub karykaturę.

III.

Czemże są niezliczone godła, etykiety, niezliczone „*ex libris*,“ jeżeli nie symbolami? Prawie dwa wieki temu w naszej literaturze nadużycie symbolów położyło niewyglądzone piętno śmieszności na wysiłki konceptu i dowcipu, który chciał być przednim i wymuskany, a stał się dziwacznym i jałowym. Naruszewicz w satyrze *Pochlebstwo* przytacza „ślubnych pism i pogrzebnych subtelne tytuły“:

„Abrys cnoty, wieczności wryty grabsztychem,
 „Stół Libityny na łyż z serdecznym kielichem,
 „Złoty honoru namiot“ i t. p.

Nie sąż to wysiłki mózgu tępego, a głównym ich brakiem jest brak poezji, a największą ich czczością jest właśnie pretensya do poetyczności. Jakże inaczej mówi do duszy inny obraz. Pośród ciemnej, ponurej i nieruchomej roztoczy wód wysoko skalistymi brzegami unosi się pustynna wyspa. Na niej wysmukłe, czarne cyprysy cicho stoją. We wgłębieniach bocznej ściany tajemne drzwi wiodą w skalne mroki. Poza wyspą oddale lśnią się chłodnym rozświetleniem. A ku nim łódka z trumną i samotny wiosłarz ledwie znacznym ruchem bez szelestu płyną. ¹⁾

Za tym symbolem widnieje treść, przemawiająca do ludzkiej wyobraźni tysiącem głosów, któremi tradycya wieków napeniła krainę, ukrytą po za groben. Tajemniczość, ciemność, cisza, osamotnienie, smutek — wszystko to ułatwia symbolowi wejście do naszych uczuć i do naszego pojęcia. Władze naszej duszy, ku

¹⁾ Böcklina obraz p. t. *Wyspa śmierci*.

którym Böcklin zarzucił most za pomocą swego symbolu do swojej duszy wiodący — nie doznają utrudnień żadnych: zadzierżga się z łatwością węzeł sympatii pomiędzy nim a nami, bo go bez trudu pojmujemy i z łatwością odczuwamy. Biorę symbol poetyczny, — tytuł: *Spojrzenia*, autor Maeterlinck. ¹⁾

O, te spojrzenia biedne i zmęczone!
 I wasze i moje!
 I te, których już niema, i te, co przyjdą dopiero!
 I te, co nigdy nie przyjdą, a jednak istnieją!

.

Pośród jednych zdaje się, iż się jest w zamku, zmienionym na szpital!
 A tyle innych ma pozór namiotów, tych lilij wojny — na małym trawniku
 [klasztornym!
 A tyle innych ma pozór rannych, opatrywanych w cieplarni!
 A tyle innych ma pozór sióstr miłosierdzia na Atlantyku bez chorych!

Oczywiście, że poemat nie cały, ale mniej więcej cały jest podobny. Każdy nowy wiersz przynosi nową niespodziankę. Czytając go dręcę się rozmyślaniami, jaka może tkwić analogia w zestawieniu spojrzeń i namiotów i dla czego te namioty właśnie — na trawniku klasztornym; jakie podobieństwo pomiędzy spojrzeniem a siostrą miłosierdzia i dla czego siostry na Atlantyku—bez chorych? Myśl moja doznaje silnego niepokoju, śledząc zestawienia całego szeregu osób lub rzeczy, obcych sobie, bardzo dalekich od siebie, które razem stłoczono i powiązano z poleceniem, aby tworzyły jakąś bezdennie głęboką całość. Jakto — pytam — więc w tem na seryo jest sens jakikolwiek? Więc może byłby jakikolwiek sens i w tem także, gdybym ułożywszy się z cygarem do poobiedniej drzemki po przez smugi błękitnego dymu spoglądał na rzeczy i snuł półsenne majaki: arabeski na suficie zielonej barwy, podobne do łabędziej szyi, pomarańcze spadają przedwcześnie z drzewa, grzechotnik złożył dwadzieścia pięć jajek w grzędach melonów..... Można o tem sądzić, jak się komu podoba, ja utrzymuję, że różnica pomiędzy powyższymi symbolami Maeterlincka, a moimi polega tylko na różnicy nazwiska autora. ²⁾ W naszej

¹⁾ Przekład Miriama. Wstęp do Pism str. XLI.

²⁾ Nie potrzebuje tu, zdaje mi się, dodawać, że znam i wielce cenię niepospolite dramatyczne dzieła tego poety. Co do jego *Cieplarni* jednak, to nawet, entuzjastycznemu uwielbieniu Miriama nie udało się ani wyjaśnić tego, czemu brak sensu, ani zjednać czytelników.

poezyi najnowszej, w dziedzinie liryki również są poeci, których symbole układają się w podobne, wskazanym powyżej, szeregi. Biorę poemat Tadeusza Micińskiego p. t. *Colosseum* i wypisuję zeń wyjątek, stanowiący częśćkę samą w sobie, jakgdyby zwrotkę. Po opisie wrażeń odniesionych w *Colosseum*, poeta w głąb duszy swej spoziera:

„O ruiny serca mego, ogromne i bezkształtne w mroku — poryte wąwozami cieniów, które nie wiem dokąd zawiodą — pełne więzień i klętek na potwory, łańcuchów — pordezwiązałych od krwi i od łez —
— — Czarodzieje filtrują jady w przysionkach mych —
handlarze bronzu rozkopują łono moje —
niewolnice kupeżą wdziękiem Afrodyty —
dumna młodzież rozpędza rydwany dokoła cyprysowych alej —
lecz lasice gryzą się w ciemnościach, a świerszcze sykają nad upadkiem —
i tylko gwiazdy wświecają się w sznur obłąkanych nieskończonością okien —
a niebiosa rozwinęły się nademną, jako szafirowe żagle.“¹⁾

Każdy zrozumie, że poeta natchniony potężnymi ruinami *Colosseum*, dopatruje podobieństw pomiędzy temi zwaliskami a własnem sercem. Jednakże zbiór i układ poszczególnych obrazów tak nieoczekiwany i osobliwy, że całość wydaje się równie zagadkową, jak dziwaczną. Rozmyślam nad przyczyną zjawiska. Pochodzenie jego nie wydaje mi się trudnem do wykrycia; nie jest to zapewne dążenie do wmówienia czytelnikowi, że dusza poety posiada jakieś głębie niezwykłe, boć kiedyindziej ci sami poeci — jak i Miciński, Zawistowska lub Komarnicka — potrafią być prości i zrozumiali. Trzebaby w niektórych utworach uznać zbyt silny wpływ Maeterlincka lub Mallarme'go i przesadę naszą, złożyc na karb obcych zwyrodnień. Czy w podanym u góry przykładzie belgijskiego mistrza, czy w zwrotce naszego poety, symbolika ma jedna-

¹⁾ W mroku gwiazd. *Kolosseum*. Orland Szalony. Lucyper. Kain. Król w Osyaku. Noce polarne. *Minotaur*. Zatoka tęcz. Poezye Tadeusza Micińskiego. Kraków 1902. Podając wyżej za przykład dziwacznej symboliki wyjątek z poematu Micińskiego, nie twierdzą weale, aby wszystkie w zbiorze zawarte utwory były takież same. Owszem, poezya technie z wielu kart tej książki. Jest tam jednak również i dziwaetwa dość, ob. np. *Minotaur* albo *Noc majowa*, zakończona paradnym czterowierszem:

„Stoi kamień na kamieniu — i jeszcze kamień —
A ty się serce na smoka zamień.
— Czemu więźniu płaczesz — do swej wioski wrócisz!
— Idź swą drogą, Panie, bo się nie zasmucisz.

kie wady: brak logicznej spójni pomiędzy obrazami i brak klucza, za pomocą którego czytelnik mógłby zrozumieć analogie pomiędzy zmysłowymi obrazami, a duchową ich treścią. Jeżeli poeta wyta-
cza całe szeregi wciąż nowych, wciąż jak niebo i ziemia do siebie
niepodobnych przerośni, układa je obok siebie w rzędy bez for-
malnych łączników—zresztą niemożliwych nawet w podobnem usze-
regowaniu — i całą duchową treść trzyma w ukryciu, ani jedną
przerośnią nie pozwalając jej odgadnąć i rozesnuć na wszystkie
obrazy, wówczas tworzy się nie poemat, ale dziwoląg poetyczny.

Otwieram *Księcia Niezłomnego* i czytam prześliczną symboli-
kę gwiazd i kwiatów:

Kwiaty, co z gwiazdą nieszczęśliwą wesły....

Jakże tu wszystko proste i jasne: piękność ich i śmierć w go-
dzinę urzędzin. Pomimo tego, że analogia między losem kwiatów
a losem Fernanda i Fenixany — zupełnie wyraźna, poeta dodaje:

Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręcą,
Że wieki, które się wloką i dręcą,
Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

A przytem skutek spływu bliskich treścią przerośni i dobo-
ru ich wiersz działa samym dźwiękiem, samym czarem słów. Toż
samo z odpowiedzią Fenixany:

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne....

Pomimo wyraźnej analogii — poeta nie waha się dodać:

„Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą,
Jeśli się od nich nasze losy winą,
Nie dziw, że często spadają i błędzą....“

Otóż i klucz do tajemnicy dany czytelnikowi, który nie spo-
tykając nadzwyczajnych trudności w odszukiwaniu analogii, może
się upajać wdziękami głębi transcendentalnej i przepięknej formy
zarazem. Że i dzisiejsza poezja może się zdobyć na zrozumiałą
symbolikę, — niech służy za dowód chociażby *Pogoda jesienna*
Leopolda Staffa.¹⁾ Dość odczytać wstęp, aby poznać, dokąd poe-
ta nas prowadzi:

¹⁾ Chimera t. IV, str. 195—7.

To, przed czem drżało mego serca bicie
 I co musiało stać się, dziś się stało...
 Ogrodu mego gęstwą oniemiała,
 Żegnając dłonią drzewa przeszło życie
 Z spojrzeniem smutnem, w którym tży się mienią...
 I dusza moja stała się jesienią...

Dalszy ciąg dłuższego poematu roztacza malowniczy, acz smutny obraz ogrodu jesiennego, ale wplata się weń parę razy, jakby jęk duszy, wiersz: *O, tży piekące w żegnającym oku*, który właśnie jest jakby kluczem do wyczucia analogii pomiędzy jesiennem zamieraniem ogrodu a duszą. Zestrój formy i treści zapewnia i tutaj wrażenie artystyczne utworu.

Czasem się zdarza, że poemat nie tylko celuje chaotycznością przerośni, nie tylko ani śladu w nim ścieżyny do odgadnięcia treści duchowej, ale sama rzekomo wielce głęboka albo potężna, niby siłę namiętności udająca treść w istocie sztuczną jest tak, że symbol martwy nie ma mocy oddziaływania na czytelnika. Pośród *Fragmentów* Maryi Zawiejskiej znajduję jeden o Cisy. ¹⁾ „Zamknijcie usta Cisy! Wyrwijcie jej język gadzinowy! Uciszcie ją... Niech zniknie ta wiedźma ohydna. Niech się nie pastwi nademną.. Głowa mi pęka od straszliwych jęków tej straszliwej Cisy“ i tak dalej i tak bez końca jakieś zupełnie nietłómaczące się i niezrozumiałe jęki, głośne żale, klątwy, narzekania na potwór sztucznie stworzony i sztucznie wydzwignięty do namiętnościowej potęgi. Nie potrzeba tedy zgoła pogoni za tajemnicą i sztuczną zagadką, nie potrzeba gromadzenia niezliczonej ilości różnorodnych zmysłowych obrazów, jakgdyby pstre mozaiki kamyków barwnych, nie układających się w zrozumiałe wzory. Im prostszy symbol, im silniej uderzająca analogia pomiędzy przerośniami a treścią, im łatwiejszy do odnalezienia klucz, za pomocą którego możemy sobie uświadomić znaczenie symbolu — tem lepiej. „Najzwyczajniejsze doświadczenie — mówi Emerson — jest tak szczodre, że może przyjść z pomocą przy wypowiedaniu myśli. I pocóż ta nieustanna tęsknota do poznawania wciąż nowych szczegółów? Dzień i noc, dom i ogród, trochę książek i trochę czynów dają nam to samo, co wszelki przemysł i wszelkie ostrożności. Do wyczerpania treści tych nielicznych symbolów, któremi się posługujemy, jeszcze nam daleko. Możemy dojść do tego, że będziemy ich używali ze strasliwą wręcz prostotą. ²⁾ Nie chcą tego rozumieć poeci nasi, uwa-

¹⁾ Chimera t. III, str. 469—71.

²⁾ Emerson: Poeta. Chimera, t. V, str. 412—13.

żając szunny obraz, urojoną głębokość za piękno, czasem nawet utrzymując, że co łatwo się czyta i rozumie, to niewiele warte, broniąc wciąż jeszcze tu i owdzie lekliwie dostępu do krynicy poezji zbyt wielkiej rzeszy spragnionych w mniemaniu, że tylko wybrani mogą się nią napawać. Bo też co prawda nie niema trudniejszego, jak w zwięzłym obrazie, symbolicznym wiecznie, prawdziwą myśl uwidocznic, a tu da się powiedzieć, że im zrozumialszy będzie obraz, im głębsza myśl, tem dla poety, dla symbolu i dla czytelnika lepiej. Posłuchajmy np. Szamana, w jak zwykłą szatę umie przyoblec dziwnie rozległe myśli: „Oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła. A teraz opowiada siostronom swoim na dnie, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy i z tego ma sławę między inszemi rybkami. Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku. Nie jestże to nauką dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi, rozprowadzającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawani są?“¹⁾ Któż nie odgadnie w tym obrazku roli poety i poezji? Jakże to łatwe, a jak piękne zarazem. A jednak poezya to nowa, artysta wielbiony, przez nową szkołę naszych poetów. Czemuż nie usiłują opowiadać ludziom o niebiosach i Bogu w słowach takich, aby byli zrozumiani, a choć wówczas ludzie skarżyliby się może na nich, że im ziemię „piekłem czynią,“ to jednak — dodawaliby, jak Gustaw — „i rajem.“

Wola jednak drapować się płaszczem ciemności, przybierać wielkie pozy, oburzać się, pogardzać, pienić się i lżyć — a w rezultacie pograżać się w bezdeń niepamięci, nawet bez tytułu zapoznanych geniuszów. W naszej lirycznej poezji najnowszej doby przedziwnym symbolistą nazwałbym Kasprowicza. Jego cykl *Ginącemu światu* jest ogromnej mocy skargą człowieka, który w pierś swoją wziął bóle milionów. Z tego cyklu „*Moja pieśń wieczorna*“ należy do najmocniej przejmujących wyznań duszy w samotnej rozmowie z Bogiem. Dusza, której dzień przygasa, płynie śladem tęsknoty ku dniom, „gdy miłość i spokój nie były ogniem trawiącym.“ Wówczas rodzi się wieczorny hymn duszy: śpiewa ona Bogu psalm pochwalny, a potem — ogarniona wizją kataklizmów olbrzymich we wszechświecie — ze zgrozą, przerażeniem i jękami wyznaje mnogie, mnogie swe winy. Drobnny okrucuch wszechstworzenia, złana z naturą i wpływom jej uległa — dusza, bolesnych łkań

¹⁾ *Anelli* r. 5.

i piekących tęsknot pełna, uznaje swoje wielkie winy, poddaje się wszechmoccy i wszechpotędze Bożej, ale w tej bezopornej i bezsilnej niemocy na samym dnie spoczywa tajona gorycz i milczący wyrzut, że Bóg tak potężny, że dusza taka licha i nizeczemna, że Jemu zatem karać, jej coś cierpieć przystoi. Zaprawdę, Kasprowicz — to pieśniarz niedoli i nędzy życia ludzkiego. W swoich hymnach, zawsze spowitych w cudowną szatę symbolizmu, przejmując w swoje serce rozjęk całego świata i czy to się buntuje, czy wielbi, skarży lub błaga — ogarnia świat uczuciem, choć mówi o sobie i od siebie. Nie zawsze on jest zgodny w tem, co kościół „do wierzenia podaje,“ czasem bywa panteistą,¹⁾ czasem w uniesieniu bluźni, ale wybuchy jego lirycznych buntów, skarg, modłów i uwielbień tchną, dzięki swej symbolice i dzięki potężnej sile obrazów, tajemniczą wzniosłością. Pomimo tego atoli są one zrozumiałe, przenikają do duszy mojej, budzą w niej odzew; ja w nich czuję głos tajemny a pokrewny głosowi mojej duszy, choć potężniejszy i rozgłośny, mimo tych głębin, z jakich się wznosi. Symbolika to zatem jasna, nawet prosta, symbolika artystyczna, nadająca polot objawom duszy ludzkiej, która na jej skrzydłach wzlata w podniebne wyżyny ku Temu, który — jak niegdyś Szarzyński powiedział — jest wiekuistym celem jej tęsknot i miłości. Nie wszystko jednak w nowej poezji tak proste a zarazem piękne i głębokie. Są poematy, które zapewne coś znaczą, ale trudno zrozumieć, co właściwie znaczą. Poeta nawet i naturę bierze do pomocy, aby pośredniczyła między nim a czytelnikiem: czy to wszakże przyroda wkłada dziwaczną maskę, czy że poeta w głębi swego ducha odczytuje karty obcym językiem zapisane, dość, że najszczęstsze chęci nie pomogą nic: poemat pozostanie nie-

¹⁾ Kiedy np. w *Hymnie św. Franciszka z Assyżu* mówi:

Długomei-ć czekał na przedwieczne Słowo,
jakkolwiek w mnie było i poza mną
we wszystkich drzewach i we wszystkich trawach,
w wszystkich jasnościach i wszystkich ciemnościach,
w róży i lilii, w robaku i plazie,
w głębinach wody i w górach pustynnych. (Chimera III, 104)

W *Mojej pieśni wieczornej* jeszcze wyraźniej mówi:

Tyś, Boże, ziarnem i kłosem i liściem:
Wszystko jest z Ciebie i Ty jesteś Wszystkiem.
I przez Cię wszystko, nieśmiertelny Panie,
na nieśmiertelne w Tobie królowanie. (Chimera I, 24).

Katolik powiedziałby na to, że wierzy w Boga osobowego, że to zatem nie jest jego wyznanie.

my. Oto *Zaczarowany las* Tetmajera. ¹⁾ Między drzewami miga Elf, oczy potworów świecą, w gąszczu pełzają położy, wiją się węże błękitne, aromaty, śmiertelnie silne, odurzają głowę — a na wierzchołku drzewa — „Zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.“ Czytelnik myśli: bajka — nawet ładna, podobna do „mameczynych piosenek.“ Ale poeta przeczy temu zapewnieniem, że dusza jego „pod swych oczu męką bieży do tego lasu i w gorączce, w wizjach, w półobłądnie, szalona smutkiem“ pada tam... Teraz się dopiero nie rozumie. Maż to być akt twórczej wyobraźni? Skądże owe dziwy leśne i jaka ich rola? Jako bajka w rodzaju baśni ludowych, jako igraszka fantazyi — poemacik ładny; jako symbol — zupełnie niezrozumiały. Taki sam np. sonet p. Józefa Ruffera, p. t. *Zakłęte skarby*. ²⁾ Nagi Półmierzch chodzi puszczą i otrząsa pył ciemności. Dnem puszczy płyną mgły, pełzną przez zatory pni, przelewają się przez rowy, ominęły „ślizgich węzów ród przebiegły“ i skrywszy się za korę spróchniałego pnia patrzą w białe muchomory... A mgły te — wyjaśnia poeta — to przecucia, co wiedzą o dziwie. Przyznaję w pokorze, żebym się sam tego nigdy nie domyślił, ale nawet wiedząc o tem, nie zgadnę, w jakim celu patrzą w muchomory i co zacz są owe „skarby zakłęte“ w tytule? Pozwolę sobie takie symbole nazwać martwymi: nie istniały one, jako treść duchowa — w twórczości artystów i nie przemawiają skutkiem tego do czytelników, gdyż treści duchowej żywej brak im zupełnie.

Oprócz jednostkowych symbolów, w poezji dzisiejszej uprawiają się inne — malownicze i złożone, podobne do wspaniałe rozrośniętych drzew o mnogich konarach. W literaturze powszechnej XIX wieku wzorem podobnego symbolu byłyby np. „Prometeusz rozpętany“ Shelley'a. Zamiast nazwisk można wstawić wartości ich duchowe, co też już niejednokrotnie uczyniono. Zatem Prometeusz — to duch ludzkości, Demagorgon — stwórca świata, uosobienie sprawiedliwości, Merkury — przeciętność i banalność, Furye — duchy kłamstwa, nienawiści, ale i zwątpienia, a każda odmienna w odcieniach. Trzecia np. mówi:

Czy wiesz, Tytanie, że żyć będziem w tobie
Zwierzęcem życiem — i chociaż niezdolne
Zaćmić płonącej duszy, zamieszkamy
Obok niej, jako czeza, wrzaskliwa tłuszcza,
Co wiarę w siebie najmędrszym wydziera?

¹⁾ *Poczye*, IV, 6.

²⁾ *Chimera* I, 95.

Że będziem straszną myślą w twoim mózgu,
 Bezecną żądzą, wokół zdumionego
 Serca krążącą? krwią, ból roznoszącą
 Po labiryncie żył.

Jeżeli w taki sam sposób znajdziemy treść duchową dla Oceanid, dla Duchów ziemi, księżycy, godzin, echa, jeżeli w toku akcji zastosujemy role tych symbolicznych postaci do głównej t. j. Prometeusza, jako ducha ludzkości, wówczas odsonią się nam tajemnicze dale wspaniałego pomysłu i zrozumiemy genialność dzieła Shelley'a, jako symbolu. Wtedy także wyjaśni się różnica pomiędzy tą postacią a Prometeuszem Eschila, który był indywidualnością. Na tym niemal klasycznym przykładzie da się wykazać, że oprócz różnych właściwości wielkiego, symbolicznego dzieła, jak np. dramatyczność pomysłu, rozległość jego i żywotność w odniesieniu do duchowej treści życia w danym czasie, a nawet danem społeczeństwie, potrzeba jeszcze, aby otaczające bohatera uboczne postaci wiązały się z nim nie tylko zewnętrzną spójnią, ale treścią duchową, potrzeba, aby konary były — mówiąc słowami Górnickiego — „do pnia a światu podobne.“

Nasza nowa poezya nie jest zasobną w poematy symboliczne o rozległym pomysle. *Lotos* Żuławskiego i *Nad morzem* Przybyszewskiego — oba poematy o podobnej osnowie — ukazają w postaci dziewicy wszechświata, która się głosowi pieśni potężnej pozwala oczarować tak, że wciela się i spaja na moment z duszą poety. Oba te utwory mogą być zrozumiałe tylko z dodatkiem komentarza; bez niego krążą w sferze abstrakcyi bez wyrazu, zupełnie obce dla czytelników, jeśli ci nie są genialnymi poetami, za jakich się mieli w chwilach tworzenia obaj autorowie. Za to w zakresie dramatu nowa poezya pochlubić się może niejednym szczęśliwym symbolem. Pomijam tak znane dramaty Przybyszewskiego: *Złote runo*, *Dla szczęścia*, *Goście*, w których chodzi o stosunek dwu płci i wszelkie jego zwyrodnienia, pomijam utwory Kisielewskiego — jak *W sieci*, *Karykatury*, *Sonata*, pomijam Rydla *Dies irae*, Szukiewicza *Kwiat pleśni*, Tetmajera *Sfinks*, gdyż cały szereg dzieł tych albo nie ma znamion duszy naszej, lecz za to nosi wybitne piętno obcej — i skutkiem tego nie łatwo bywa dla nas zrozumiałym, albo zbyt jawnie naśladuje dzieła Maeterlincka — więcej dbając o nastrój niż o wyrazistość symbolu, albo nareszcie operuje światem rzeczywistym i ludźmi rzeczywistymi, unosząc się na powierzchni duszy i nie usiłując odsłonić mrocznych jej zagłębień i szczelin. W pierwszym i drugim razie do zachwyków i symp-

tyi niema przyczyny, w trzecim natomiast symboliki bywa niewiele. Ukazują się atoli dramaty, w których artysta ogarnia szerokie horyzonty myśli albo rodzimą duszę z opon dobywa, jej ułudy i męki maluje. Jeśli tego rodzaju pomysłem twórczym sprzyja silny talent poety, powstaje dzieło na chlubę literatury. Nie mogę w artykule zapuszczać się w wyczerpujące cały zasób literackiej produkcji wywody, chodzi mi bowiem nie tyle o rozbiór dzieł, ile o właściwości symboliki poetycznej; dla przykładu jednak zastanowię się nad jednym bodaj utworem obu rodzajów. Do pierwszego rodzaju bardzo pięknych dramatów symbolicznych należy *Skarb* Leopolda Staffa. ¹⁾ Za godło służy myśl Z. Krasińskiego: *On marche et on marche toujours guidé par une Etoile qui n'est point dans les cieux, mais que nos rêves ont crée...* ²⁾ Rzecz dzieje się na tarasie obronnego zamczyska na wysokim górskim szczycie. W głębi widnieje szara, ciężka, kamienna wieża, a u dołu jej drzwi z jasnego spiżu, wiodące do krypty podziemnej, gdzie leżą skarby święte. Drzwi odstaniają ciemną czeluść. Do zamku oddawna szturmują silny wróg — i zbliża się chwila przełomu. Starzec nieufny, Starzec trwożliwy, Starzec śpioch, Przodownik do rady przeczuwają klęskę. Z wieży schodzi Strażnik — a między nim i Przodownikiem wybucha spór. Przodownik stary jest, walczył i blizny ma po ciężkich ranach; pięciu synów z krwi jego i dwunastu wnuków legło; wszyscy młodzi idą na śmierć *za nic* dla rzeczy nieznaney, którą bezpodstawne wierzenie czcią otacza.

Znam wonie tych uroków, co tam z piwnic wioną:
 Walczyć o coś, co tajne uwodnie, krwawicę
 Serca wylewać za coś, czego nie wypowie
 Noc najciemniejsza — o — to młodej głowie
 Daje urok zawrotny, nieprzeparłe czary.
 O, znam to pijaństwo
 Marzeń, gdy czyn się wonnym mgłom daje w poddaństwo...
 Lecz dziś zwątpilem o cuda... (22)

Dla czego nikomu nie pokażą skarbu? Czemu tylko jednej strażniczce wolno go widzieć? Strażnik broni wprawdzie wiary w świętość i byt skarbu, ale sam musi ją wciąż w sercu zasycać. Wtem w drzwiach krypty zjawia się wyniosła postać *Dziwnej* z twarzą, okrytą czarną zasłoną. Zrywa ją, rozdziera i rzuca. Straż-

¹⁾ Lwów. 1904. Tragedya w 3 aktach str. 156.

²⁾ Idziemy, a w pochodzie kierujemy się zawsze podług gwiazdy, której niema na niebie, lecz ją zrodziły nasze marzenia.

nik na ów widok wiedzie w bój hufiec ostateczny. Odpierają wroga. Potem poznajemy Wodza. On też nie wierzy, też grozi *Strażnikowi* i *Dziwnej*, że im nie pozwoli strącać ludu do otchłani, zaczadzać jadowitą bezpłodnością marzeń, on chce poznać i widzieć skarby święte. Pod groźbą sojuszu z wrogiem, pod naciskiem straszliwym tłumem rozjątrzonego Dziwna usiłuje ludowi oświecić na czym polega cenność skarbu. Co jest dla niej klejnotem najdroższym? Odpowiada:

To me własne

Uśmiechy szczęśliwego zachwytu głębiną

I te sny, które o niej roję, gdy tam zasnę... (75)

Nie pojmują jej. *Strażnik* popiera *Dziwną*: Uwierz w złudę, a ona twą prawdą się stanie! Najwyższa rzeczywistość—to tęsknic otchłanie! (78) Otwarcie powiada, że „uwielbienie i cześć dla ciemnych skarbów jest ich najwyższą wartością, najczystszy klejnotem“ (89) *Dziwna* dodaje:

Musicie wyśnić życia najpiękniejszą powieść

I sami wpisać mądrość w przeznaczenia księgę.

Te karty *dotąd* są białe

I puste! Księga *niczem* nie jest zapisana. (92)

Czegoż tedy ona strzeże? Jaki cel jej pobytu w krypcie?

Wodźć was w koło murów tych i wam pozwalać

Śnić, szaleć, obłąkaniem marzyć i majaczyć

O tem, co nie jest dane nikomu zobaczyć,

Dusze wasze miłością tajemnic zapalać:

Po to ja jestem, sługa skarbu... Czemu skarb święty —

Nie wiem... Jam nigdy skarbu nie widziała. (94)

Mniejsza o to, jak rozgrywa się dalsza akcja, jak w rolę wkracza *Obca* i poseł *Wichrów z dolin*, mniejsza o stanowisko końcowe *Wodza* i ostateczny wynik całej walki. Jest rzeczą niewątpliwą, że poeta zobrazował walkę pomiędzy ciałem i duchem, pomiędzy materią—ową arystotelesową *hyle* i jej dosytem, a wszelkimi najgłębszymi warstwami wiary, zasad, przekonań, które stanowią moc, rozkosz i szczęście ducha. Pomimo tego, że w całej tragedii każdy najmniejszy szczegół ściśle dostrojony do tej idei, wszystkie postaci i wszystkie zdarzenia nie straciły zgoła barwy życia. I symbol jasny i treść jasna: poeta umiał stworzyć całość wielką, symboliczną ze zlewu i zestroju symbolów mniejszych, które wszystkie ożywione są jednym duchem i dla jednej idei

pracują. Nawet i w tem umiał poeta zapewnić sobie życzliwość czytelnika, że choć idea główna była ogólnoludzką, to jednak barwy i dźwięki i kształty w przyrodzie noszą znamiona naszego kraju. Godzi się tu jeszcze raz z naciskiem zaznaczyć, że nie jest obojętną rzeczą, czy utwór ma znamiona rodzimości, czy ich niema. Wprawdzie artyści z *Chimerą* na czele głoszą, że sztuka jest kosmopolityczną, nie mają jednak racyi nawet z punktu widzenia estetyki najnowszej. Ulegli są oni wpływom i zapatrywaniom estetyki francuskiej, której zasady coraz mniej liczą adeptów w tym właśnie dziale psychologiczno-estetycznych wywodów. Miałem już sposobność zaznaczyć, że barwy, atmosfera, klimat, fauna i flora bezwiednie nasycają wyobraźnię artysty i sprawiają, że przeniesiony w odmienne warunki życia, będzie w rozręsknieniu wracał pamięcią do dziedzin utraconych. Prawdą też jest, że te same czynniki wytwarzają pomiędzy artystą a czytelnikiem nić sympatyj i pokrewieństwa. Ale też tu źródło różnicy nie tylko obrazów, lecz ich treści duchowej. Im lepiej artysta potrafi wyczuć, uświadomić i w wyraz ująć to, co nas z nim duchowo łączy, nie zaś to, co nas z nim różni, tem stanie się nam nie tylko zrozumialszym, lecz i droższym.¹⁾ Pośród rzeszy nowych poetów nikt nie zdołał stworzyć takiego szeregu dzieł symbolicznych, pięknych i cennych, jak Stanisław Wyspiański. Do najcelniejszych dzieł jego należy *Wesele*. Całość tego utworu jest skutkiem rozległości pomysłu bardzo skomplikowana, ale nic w niej pomimo tego niema, ani zbyt zawiłego, ani obcego prawdzie. Nie zawsze tak u Wyspiańskiego. Czasem poszczególne symbole pierzchliwie wynykają się naszemu usiłowaniu zrozumienia. Niezawodnie symboliką jest i *Wyzwole-*

¹⁾ „Wir unterscheiden das Symbol vom Zeichen — mówi *Lipps* w dziele *Grundlegung der Ästhetik. Hamburg. Voss. 1903. str. 140 t. I.* — Ein Zeichen ist dasjenige, das mir sagt, dass etwas Anderes, nämlich das Bezeichnete, wirklich sei. So ist der Rauch, Zeichen des Feuers. Symbol nennen wir das Wahrgenommene in dem wir unmittelbar ein Anderes, nämlich ein Streben, ein inneres Tun und eine entsprechende innere Zuständlichkeit oder Weise der inneren Erregtheit, kurz, eine Weise unserer inneren Lebensbetätigung — unmittelbar erleben. Wie man sieht, deckt sich danach der Begriff des ästhetischen Symbols mit dem der ästhetischen Einfühlung.“ Na poprzedniej zaś stronie mówi *Lipps*, że „Nur ein anderes Wort für der Einfühlung scheint das Wort: „Sympathie.“ Stąd, zdaje mi się, zupełnie jasno wynika, że podstawą dobrego symbolu jest umożliwienie wyczucia go u czytelnika. Tam, gdzie artysta ze swem dziełem dba o czytelnika tyle, że pozostaje mistycznością nie tylko dla jego pojęcia, ale i dla uczucia, tam on sam pracuje najżarliwiej na to, że dzieła jego ulegną rychłemu zapomnieniu.

lenie i *Akropolis*. Ale w pierwszym wątpliwą wydaje się niezbędność dla głównej idei niektórych masek, które albo nie zgoła nie mówią, albo mówią w sposób zbyt zagadkowy i niesformułowany; w drugim zbyt tajemniczą jest pierwsza scena i stosunek jej do całości nie da się bez naciągania wyjaśnić.

Kończę swój wywód. Symbol nie da się odłączyć od poezji, owszem on jej nadaje rzeczywistą, wiecznietrwałą wartość. Symbol pozwala poezji rozwinąć skrzydła i lot swój spotęgować aż do krańców i poza krańce prawdopodobieństwa. Moc symbolu potężna; artysta może przezeń zasilać dzieło swe malowniczymi twórami wyobraźni, może poddać twórczej przemocy swej cały świat natury, napełnić istotami nigdy niewidzianymi niebo i ziemię, drobnym z pozoru wypadkom nadawać wagę dramatyczną.

Aby jednak symbole działały na nas w szlachetnym i podniosłym sposobie, muszą one odpowiadać niejakiemu warunkom. Muszą być jasne i proste: zupełną dowolnością jest zdanie, jakoby poezya była tylko przywilejem *nadludzi*. Symbole muszą być zrozumiałe, a zwłaszcza odczuwane przez rzesze, nie zaś przez jednostki. Powtóre, muszą mieć myśl, tkwiącą w łonie obrazu. Czy są i bezmyślne? Są. Skarży się na nie już Ruskin w swem studyum o Prerafaelitach, gdy potępia symbolikę „martwą, banalną i bezmyślną.“ W słowach — zaznacza Oskar Wilde w swem przepyszonym studyum p. t. *Sztuka krytyki* — nie tylko muzyka od lutni słodsza, nie tylko świetne i rozkoszne barwy, podobne do tych, co nas zachwycają na weneckich i hiszpańskich płótnach, nie tylko kształt plastyczny taki dokładny, jak kształt marmuru i bronzu, lecz słowom właściwa namiętność i myśl: — słowom i tylko słowom.“

Symbol, aby był dobry — musi być żywy, t. z. treść jego duchowa musi należeć w istocie do zakresu doświadczeń duszy ludzkiej. Symbol tem jest lepszy, im silniej spaja się jego zawartość wewnętrzna z obrazową powłoką, im łatwiej mu stać się dla nas dostępnym, im żywiej bywa odczuty, im sympatyczniej przenika w głąb naszych uczuć. Rodzima treść duchowa i rodzime obrazowanie posiłkują artystę i zadzierżgają węzeł między nim a rzeszą jego wielbicieli. W symbolach złożonych i malowniczych musi być czytelnikowi dany klucz do zrozumienia i ułożenia w całość symbolów jednostkowych.

Nareszcie warto zaprzeczyć zdaniu, jakoby dzisiejsza poezya nieodzownie i tylko symboliczną być mogła. ¹⁾ Dusza nasza nie

¹ Żuławski w *Prolegomena*, str. 81.

o wiele jest głębszą dziś, niż była za czasów Byrona. A jednak Byron obok *Manfreda*, *Nieba i Ziemi* lub *Kaina* tworzył poematy niesymboliczne, jak *Oblężenie Koryntu*, *Korsarz*, *Lara*, *Marino Falieri*, *Dwaj Foskarowie* i inne.

Taki bujny zatem rozrost symboliki w naszej poezyi ostatniej doby budzi obawę, że symbol straci siłę i wartość, spowszednieje i stanie się banalnym. Ratunek może on znaleźć niezawodnie w zbliżeniu się dzisiejszego artysty do przyrody, w zlanii się duchowem z nią, umiłowaniu jej prawie cudownem. Ona - ta wieczna żywicielka ducha, usunie skostnienia, przywróci giętkość - a rodzimej symbolice zapewni czarodziejski urok, moc i trwałość.

ANTONI MAZANOWSKI.

Nowy traktat handlowy.

Nowy traktat handlowy pomiędzy Niemcami a Rosyą stał się nareszcie faktem dokonanym. Zawarty poprzednio, w r. 1894, traktat obowiązywał przez lat dziesięć. Przed expiracją, przedłużono go prowizorycznie. Ale stan tymczasowy ciąży technice handlowej, ciąży i państwow. Już oddawna, na kilka lat jeszcze przed upływem terminu traktatowego, obydwa państwa rozważały sprawę odnowienia zasad wzajemnych stosunków handlowych.

Położenie trudne było niepomiernie. Zdawało się, iż do wojny traktatowej przyjdzie. Minister skarbu rosyjskiego w odwecie na požądania Niemiec odgradzenia się od przywozu zbóż rosyjskich, ogłosił w r. 1903 taryfę celną, która stosowaną być miała do tych państw, z którymi niema traktatowego pojednania. Była to groźba. Niebo zasępiło się, gęste chmury zasłały wówczas horyzont stosunków wymiennych. Przez tymczasowe przedłużenie dawnego traktatu odsunięto nieco burzę, ale powietrze przeładowane było wybuchowemi materyałami.

Nieoczekiwanie scena się zmienia. Wybucho wojna na dalekim Wschodzie. Rosya skupia swą uwagę na terenie walki orężnej, czuje konieczną potrzebę zagwarantowania się gdzieindziej, szuka kapitałów. Znajduje lokatę pożyczki swej w Berlinie w lipcu roku zeszłego, i również w lipcu tegoż roku zawarto traktat handlowy. Ogłoszono go dziś dopiero, stosownie do umowy państw kontraktujących, po zawarciu traktatu Niemiec z Austro-Węgrami. Obowiązywać będzie od 1 marca roku przyszłego, przez lat dziesięć.

*

*

*

Traktat handlowy,—jako akt obowiązujący wzajemne stosunki dwu państw niezawisłych,—względnie nie jest rzeczą niedawnej przeszłości. Ale nosiły traktaty, nawet handlowe, za czasów dawniej minionych raczej charakter polityczny, niż cechę instytucyi ciągłej, regulującej stałe stosunki handlowe. Traktat, jako tak pojęta instytucya, jest wykwitem nowszej doby. Inaczej być zresztą nie mogło. Naprzód, właściwie traktaty powstać mogły wówczas dopiero, gdy państwa wyraźnie ustaliły granice swoje terytoryalne, a, prócz tego, akty takie powstać mogły wówczas dopiero, gdy w tych już ustalonych ramach rozwinąć się mogło życie gospodarcze państwa, jako odrębnej jednostki. Nie dziw więc, że pierwsze traktaty handlowe nosiły na sobie znamię narzuconych przewagą lub wytargowanych, jednostronnych ustępstw na korzyść jednego z państw. Takim np., klasycznym pod tym względem, jest traktat francusko-turecki z r. 1535, najpierwszy akt tego rodzaju. Franciszek I, dzięki zręczności posła swego La Forêt'a wytargował u Sułtana Sulejmana II ustępstwa bardzo znaczne, tak, iż Turcyja, prawie bez zastrzeżeń zgodziła się na to, iżby cały handel turecki w Europie przeszedł pod flagę francuską. Można by takich traktatów, mających cechę wybitnie polityczną, naliczyć wiele. Prawie wszystkie, aż do drugiej połowy wczoraj minionego stulecia, miały ten charakter. Takim, a nie innym był traktat angielsko-portugalski z r. 1642, dalej pirenejski, zawarty pomiędzy Francją a Hiszpanią w r. 1659. Wszystkie traktaty XVIII stulecia, zawierane w czasie wszechwładnie panującego wówczas merkantylnizmu, nosiły wybitnie cechę dążenia do bezwzględnej protekcyi, opartej na merkantylnych zasadach: każde z państw dążyło do zabezpieczenia sobie przywozu największej ilości pieniędzy, w tem swój upatrując interes gospodarczy, a zwłaszcza polityczny. Takim był tak zw. traktat Methuena zawarty pomiędzy Anglią i Portugalią, który upadł dopiero dzięki zabiegom Huskissona, w imię wolnego handlu w r. 1830, takim był traktat słynny z r. 1713 pomiędzy Hiszpanią a Ameryką, t. zw. „assiento de negros,” który zabezpieczał angielskiemu towarzystwu dostarczanie koloniom amerykańsko-hiszpańskim murzynów niewolników. Mały korsykanin również posiłkował się warunkowaniem stosunków handlowych jako systemem politycznym; aż nadto znanym był jego system kontynentalny.

Ale zasady wolnego handlu, rzucone przez Smitha, żłobiły sobie coraz większe i coraz głębsze koryto. Jeszcze Dupont de Nemours, wybitny fizyokrata, wpłynął na Vergennes'a i zawarł w imieniu Francyi traktat francusko-angielski w r. 1776, ale były

to za ledwo pierwsze nieśmiałe kroki w kierunku ustępstw wzajemnych. Powszechnie rozumiano, zdaje się dokładnie, iż podwaliną spraw nie tylko gospodarczych, ale i społecznych i politycznych, są warunki wzajemnej wymiany bogactw ekonomicznych. Zrozumiały to zwłaszcza i skorzystały mistrzowsko z tego—Niemcy. Bliskim się jest bardzo prawdy twierdząc, że polityka celna Niemiec, a sprawa połączenia państw niemieckich w jedną całość już nie tylko polityczną ale i socyalną—to jedno. Więcej nawet: Sadowa nie była niczem innym, jak tylko skutkiem „Zollvereinu.“ W ciągu lat trzydziestu paru zdołał Zollverein tak zespolić wszystkie państewka niemieckie, iż serca ich z sercem Pruskim w nienawiści dla Austrii w jeden takt bić zaczęły, aż sprowadziły Sadowę.

Ostatnim wyrazem wzajemnych stosunków handlowych były traktaty francusko-angielskie z r. 1860, t. zw. akty Cobdenowskie. Był to wielki akt polityczny. Był on wyrazem nie tylko wolnego handlu, któremu hołdowała Anglia, ale zarazem podwaliną zasad systemu traktatów handlowych, jako instytucji międzypaństwowej, regulującej wzajemne stosunki i wreszcie podwaliną t. zw. zasady największego uprzywilejowania, t. zn. przystosowywania wszystkich praw i przywilejów, któreby kiedykolwiek w czasie trwania traktatu innemu państwu przyrzeczone być miały tym państwom, z którymi się jest już traktatowo związanym.

*

*

*

Przejdźmy do Niemiec. Przypomnienie w paru wyrazach prądów głównych merkantylizmu, a następnie freetradedryzmu, które poprzedziły system ciągłych traktatów, jako instytucji międzypaństwowej stałej, niezbędne było dla uwypuklenia współczesnego tła i dzisiejszego stanu rzeczy. Bo system wolnego handlu, zdaje się, za sprawą żelaznego księcia, istnieć już przestał. Było to w traktacie frankfurckim z r. 1871. Paragraf 11 traktatu uznaje za podstawę wzajemnych stosunków francusko-niemieckich zasadę największego uprzywilejowania. Ale oto, już w maju tegoż roku, nie wahał się ks. Bismarck publicznie wygłosić, choć traktat był na wieczne czasy czyniony, iż „w stosunkach międzynarodowych wielkich państw niemożliwym jest narzucanie sobie pod wpływem

nawet zwycięstw orężnych ograniczeń woli.“ Dobroczyńca! On, ten żelazny władca, występował w inię praw uciśnionych! Tak, bo zamierzał pruskie swoje serce odgrodzić i wejść na nową drogę stosunków, na drogę protekcji. Prusy dokonały Sadowy, dokonały Sedanu, ale, czuł to zwycięzca, nie były jeszcze wewnętrznie, ekonomicznie, dość silne, aby móż się ostać wobec udoskonalonej techniki, zwłaszcza angielskiej. Odgrodzić się należało.

Deszcz złoty miliardów francuskich już był ustał. Wprawdzie zapłodnił rolę, ale puściły się równocześnie i chwasty. Nastała reakcja, pewien zastój,—rozwielenione grynderstwo wpełzło z ukrycia. Trzeba było ratować sytuację. Ale tego nie dosyć jeszcze. Ruch agrarny, który wkrótce w junkierstwo pruskie miał się przedzierzgnąć, rozpoczął się już był wówczas. Rolnictwo, zwłaszcza pruskie, nie dotrzymało kroku — bo zresztą nie mogło — w rozwoju niepomiernym przemysłu. Warunki zewnętrzne stawały się napozór dla agraryuszy coraz groźniejsze. Stany Zjednoczone wystąpiły na arenę konkurencji z otwartą przyłbicą, do walki bezlitośnej. Ameryka stworzyła u siebie wielką produkcję rolną, opierając ją na zasadach wielkiego przemysłu, a dzięki udoskonalonym warunkom techniki komunikacyjnej rzuciła na kontynent olbrzymią swoją produkcję.¹⁾ Chwilowy a szybki — choć niezdrowy, bo grynderski — wzrost przemysłu, oraz idące zatem zbyt-kowne używanie życia, które się rozpanoszyło w sferze przemysłowców, solą w oku stanęło agraryuszom niemieckim. A przytem, był czas kiedy książę Bismarck za każdą cenę szukał oparcia. Oparł się na nich właśnie. Przy ich pomocy postanowił zerwać, z „doktrynerską,“ jak się wyraził, ideą wolnego handlu i wstąpił na nowe tory.

Zdarzyła się ku temu sposobność. W r. 1877 Austria ogłosiła swoją „autonomiczną“ taryfę, podnoszącą znacznie dotychczasowe opłaty. Wystąpił Bismarck na arenie publicznej i w wyrazach dosadnych odmalował krzywdy, które junkierstwo pruskie ponosi. Niemcy — to człowiek, z którego uchodzi krew. A z krwi tej żywi się zachodnia pałac ościennego ze wschodu państwa! W lipcu r. 1879 przyjął sejm rzeszy autonomiczną taryfę, która po raz pierwszy stanowiła cło na przywóz zboża. Pszenica i owies

¹⁾ Niesłuchanie szybki rozrost wywozu płodów rolniczych ze Stanów Zjednoczonych ilustrują cyfry następujące: w r. 1868/9 wywozły Stany Zjedn. 25 mil. buszli zboża, w r. 1873/4 już 109 mil. buszli a w r. 1878,9 cyfra ta dochodzi do 220 mil. buszli.

płacić będą odtąd cło, 1 markę od 100 kg., inne zboża 50 pf. Zaczęła się wojna celna na dwu frontach: Austria i Rosya podnosiły stawki celne na przywóz niemieckich wyrobów, w odwecie Niemcy podnosiły cła na przywożone z Austrii i Rosyi zboża. Doszło do tego, że pobierano cło po 5 marek od 100 kg. pszenicy lub owsa. Atmosfera stała się duszną. Rozgorzała wojna. Tem duszniej było, iż Francya, której na zasadzie traktatu frankfurckiego z mocy prawa najwyższego uprzywilejowania należałyby się korzyści zawieranych przez Niemcy traktatów, korzyści tych w czasie wojny celnej nie widziała zgoła. Nieukontentowanie rosło więc i we Francyi. Była chwila zresztą, żeomal — zapewne i z innych powodów — nowa niewybuchła wojna orężna. A i z zamorza pomruki dochodziły ponure: protekcyjny system celny Mac-Kinley'a groził wyparciem przemysłu niemieckiego ze Stanów Zjednoczonych. Wszyscy uczuwali potrzebę pokoju, ustalenia form wymiennych. Zawarły wreszcie Niemcy traktat naprzód z Austryą, w r. 1861. Obniżono cło od pszenicy do 3,50 marek. Wojna celna z Rosyą trwała jeszcze. Doszła nawet do stanu zapalnego: cłono pszenicę rosyjską 7,50 markami. Ale i tu nareszcie osiągnięto porozumienie. W r. 1894 zawarto traktat, którego podstawą było cło 3,50 marek za 100 kg. pszenicy.

Odtąd zaczyna się nowy okres: era systemu traktatów celnych. Bo systemem nazwać należy uznanie prawa najwyższego uprzywilejowania, jako obowiązującego, oraz z góry oznaczenie czasu trwania traktatu.

*

*

*

Zapanowały wówczas nowe stosunki. Ogólnie biorąc, obniżono w Niemczech cło od produktów rolnych, zaś ze strony rosyjskiej obniżono opłaty od różnych produktów niemieckich, jako to węgla, koksu, stali, żelaza, chemikalij. Rozpatrzenie, choćby zgrubsza, jakie skutki miały nowe stawki celne w różnych gałęziach przemysłu i rolnictwa, rozsądziłoby ramy artykułu. Tu raczej uwypuklić tylko należy ogólne zarysy, aby uwypuklić różnice, które przez nowy traktat zaprowadzone będą.

Gdy z pewnej perspektywy na wyniki stosunków handlowych obu państw spojrzymy, dojdziemy do wniosku, że podniosła Rosya

przez politykę protekcyjną istotnie swą produkcyjność przemysłową. Ale zwiększenie to było nie zawsze od naturalnego impulsu zależnem, było i jest sztucznem. Dowodem przywóz produktów fabrycznych z Niemiec. Ulegał on, aż do chwil przesilenia, ciągłemu rozwojowi. Były więc zyski, ale problematyczne: ludność składała się na rozwój tego cieplarnianego kwiatu. Niemcy zaś zyskiwały coraz to szersze pole zbytu dla maszyn, których ten rozwój przemysłu wymagał. Było to więc dla Rosyi jakby pyrrihusowe zwycięstwo.

Czy i w jakim stopniu otrzymali agraryusze niemieccy wyższe ceny za zboże? Odpowiedź nieskończenie trudna. Niema kwestyi, że wpływ ceł niemieckich odbił się na cenie zboża wewnątrz Niemiec oraz na cenie zboża wewnątrz Rosyi. Wydzielenie jednak wpływu tego z pomiędzy wielu czynników jest niemal niemożliwem. Badanie zjawisk ekonomicznych nie dozwala na usuwanie, jak się to czyni w laboratoryach, pojedynczo wpływów obcych. Izolacja taka jest niemożliwą tam, gdzie cały kompleks życiowy jest przedmiotem badań. Prócz ceł, wpływał na normowanie się cen zboża i kryzys srebrny amerykański, i lata nieurodzajów, i nagromadzone zapasy, i technika handlowa, dawniej kurs rubla i liczne inne jeszcze czynniki. Można by tylko może migawkowo chwycić różnice cen zbóż w chwili zmian taryf celnych. Wówczas, caeteris paribus, wahania cen poniekąd, ale z poważnemi zastrzeżeniami, przypisaćby można różnicy ceł. Tak operując, otrzymane dane, zresztą bardzo nieściśle, i problematyczne, otrzymane mianowicie iż, o ile pomimo cła wywóz istnieje, cena podnieść się może około $\frac{2}{3}$ nałożonego cła. Ale kto różnicę tę płaci? Płaci ją w pewnej, nawet może w znacznej, mierze konsument.¹⁾ Ciekawą jest w tej sprawie praca p. Pawła Mom-

¹⁾ Oficjalne źródła rosyjskie (Wiestn. Fin. z r. 1905. № 6) skwapliwie notują, iż cło zbożowe, niemal w zupełności, płaci konsument. Twierdzenie to wyprowadza się z porównania cen zboża w Berlinie, dokąd zboże przychodzi oclone, oraz w Bremie, w wolnym porcie. Koszt dostawy do obudwu tych rynków z portów rosyjskich jest prawie równy. Zestawienie to dla żyta przedstawia się następująco:

	r. 1880—1884,	1885—1887,	1888—1891,	1894—1902.
wysokość cła w kop. za pud	7.6	22.7	37.9	26.5
Cena żyta za pud kop.:				
w Berlinie — — —	1.25	99	1.27	1.02
w Bremie — — —	1.19	80	91	78
w Berlinie wyższa o kop.	— 6	19	36	24

bert p. t. Die Belastung des Arbeitereinkommes durch die Kornzölle. Autor zestawił budżety 75 rodzin robotniczych z prowincyj nadreńskich i wykazał, że jeżeli cena zboża mieści w sobie całą nadwyżkę, odpowiadającą opłacie celnej (a nie jest to niemożliwym), to opłata ta jest tak wysoka, że często wymaga od rodziny robotniczej 10% płacy zarobkowej. Podniesienie opłaty celnej o 50% wyrywa z rąk robotniczych 1½% płacy zarobkowej. Czy na taką ścisłość zgodzić się można, jest rzeczą może nieco wątpliwą, ale pewną jest rzeczą, że wysoka opłata celna na zboże równa się składce biednych klas na korzyść agraryuszy. Azali to sprawiedliwe? Azali taki stan rzeczy państwo tolerować powinno? Nie zawsze państwu o sprawiedliwość i o dobrobyt szerokich mas chodzi!

Z drugiej zaś strony — to dowodzenia nie potrzebuje, chociaż zaprzeczają tego Niemcy — Rosya, a przez reperkusję i Królestwo Polskie, cierpią z powodu takich ceł zbożowych. Jestto więc składka ogólna na junkierstwo pruskie.

*

*

*

Przez reperkusję, cierpi i Królestwo Polskie. Cierpieć będzie bardziej jeszcze od chwili wprowadzenia w użycie nowego traktatu.

Spółceństwo nasze — przed zawarciem nowego traktatu wypowiedziało jasno i dobitnie dezyderaty swoje w tej materji. Streścmy je i przyjrzyjmy się, czy i o ile uwzględnienie znalazły.

Napozór więc wydawać by się mogło, iż prawie całkowicie cło płaci niemiecki konsument. W istocie jednak w całej rozciągłości tak nie jest: Berlin nie jest rynkiem międzynarodowym na zboże. Autor zbyt pochopnie zrzuca cło na konsumenta, pragnąc się tą myślą zadowolić. Rynek lokalny z rynkiem wszechświatowym porównany być nie może. Nawet cen płaconych w jednej i tej samej miejscowości porównywać nie można w celu wyprowadzania wniosków. Autor, wyżej zacytowanego artykułu, z porównania cen żyta w Gdańsku-porcie (bez cła) oraz w Gdańsku-mieście wyprowadza również wnioski o ponoszeniu całego cła przez konsumenta. Jestto tendencyjne, lub co najmniej wadliwe. Gdańsk, jako port, jest rynkiem wszechświatowym, Gdańsk-miasto jest rynkiem lokalnym.

Warszawski Oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w obywatelskiem swoim odczuciu, iż jest organem powołanym do wyrażania potrzeb ekonomicznych kraju, na trzy lata przed upływem traktatu podjął pracę olbrzymią uczynienia ankiety nad dezyderatami rolnictwa i przemysłu w sprawie odnowienia traktatu. Rezultatem tej ankiety był obszerny memoriał, który w swoim czasie władzom został przesłany. Memoriał ten odzwierciedla wszystkie dziedziny życia wytwórczego, prócz przedsiębierstwa i tkactwa, które znaleźć miały wyraz w memoriale Łódzkiego Oddziału, nie odzwierciedla on również przemysłu budowy maszyn, gdyż sprawa ta w oddzielnym głosie wyraz swój znaleźć miała.

Przedewszystkiem, jakim jest ogólne stanowisko Memoriału? Autorowie jego na podstawie ankiety przyszli do wniosku, iż należy się nadewszystko protekcya pracy. Królestwo Polskie posiada nadmiar rąk roboczych, dla których niema zajęcia, niema pracy wytwórczej. Ztąd emigracya po za granice kraju. Ta emigracya, jako zjawisko powszechne i chroniczne, wymaga koniecznie uregulowania form stałych, a więc zabezpieczenia praw ze strony Niemiec, zabezpieczenia praw przechodzenia przez granice o każdej porze i na czas nieograniczany terminami prac rolnych. W celu takiej ochrony pracy rąk roboczych, niezbędne byłoby zaprowadzenie instytucyi konsulów w granicach monarchii pruskiej dla wychodźców specjalnie. Boć szykanom i utrudnieniom podlega ten drogocenny towar naszego eksportu, ręce robocze, i wiadomo jak się z naszymi robotnikami obchodzą, jak im zatrzymują zapłaty, jak ich częstokroć żywią, jakie im dają mieszkanie, jak każą im płacić składki na ubezpieczenia do kas pruskich, z których nigdy korzystać nie będą.

Ale jeszcze ważniejszą sprawą byłoby wytworzyć u nas w kraju taki stan rzeczy, iżby wszystkie ręce niezajęte, pracę znaleźć mogły. Należy dążyć do takiego stanu produkcji ekonomicznej, któraby wymagała jaknajwiększego nakładu intensywnej i inteligentnej pracy. Bo, trzeba to sobie jasno i dokładnie uświadomić, aby w następstwie nie było rozczarowań, zbyt wielki rozwój produkcji masowej, wielkokapitalistycznej nie jest pożądanym dla Królestwa. Może natrafić na wielkie przeszkody. Wszakże taka produkcya byłaby sztuczną, cieplarnianą, i nie byłaby w stanie po pewnym czasie wytrzymać konkurencyi z okręgami południowymi i centralnymi Państwa Rosyjskiego, mającymi pod względem produkcji daleko dogodniejsze warunki.

Natomiast — słusznie dowodzi memoryał — wytwórczość rolnicza intensywna, przemysł wyspecjalizowany, to są cele do których kraj dążyć powinien. Wszakżeż istotny a dotkliwy brak rodzinnych kapitałów, natomiast znaczny bardzo kontyngens dzielnych i wykwalifikowanych techników — to są warunki, wśród których tworzyć należy przedsiębiorstwa nie wielkie, nie kapitalistyczne, ale mniejsze, gdzie przedsiębiorczość i osobiste uzdolnienia kierownika, stanowią o rozwoju podjętej pracy. A stąd — w sprawie ogólnych dezyderatów — należy domagać się obniżenia ceł na przywożone materyały surowe, służące do dalszej przeróbki. Stąd wreszcie, najważniejszy dezyderat, konieczność protekcji bardzo poważnej dla drobnego przemysłu i handlu. Są to podwaliny dla nas najważniejsze już nie tylko dobrobytu narodowego, ale kultury i bytu całego narodu.

Naturalnie, nie należałoby na uboczu pozostawiać sprawy dalszej ochrony wielkiego przemysłu. Ale ochrona ta nie może się ściągać wyłącznie do oclenia danego wyrobu. Handlowa technika wyrobiła pewne warunki, które niweczą działanie stawek celnych. Są to kartele i syndykaty. Wiadomo, iż fabryki pokrewne syndykują się, podnoszą cenę przez to wewnątrz kraju u siebie, resztę zaś produkcji, po cenie kosztu, wtlaczają do sąsiedniego kraju. Są to jakby premie wywozowe. Traktat handlowy powinien liczyć się z takimi faktami i dawać prawo w takich wypadkach podnosić poziom stawek celnych.

Rozpatrywanie w szczegółach dezyderatów kraju naszego rozsądziłoby rany niniejszego artykułu, w którym raczej o odmawianiu ogólnego tła, niż koniunktur poszczególnych gałęzi przemysłowych chodzi. Zastanówmy się jednak nad niektórymi wybitniejszymi szczegółami, rzucającemi światło wydatne na stosunki ekonomiczne nasze; tem wyraźniej uwypukli się na tym podkładzie nowy traktat handlowy.

Wiadomo — z prac statystycznych p. Aloizego Wierzchlejskiego — iż produkcya rolna zbóż Królestwa Polskiego ledwo na potrzeby miejscowe wystarcza. Kto wie, może nie dorównywa nawet tym potrzebom. Wszak według obliczeń p. Wierzchlejskiego w r. 1898 saldo przywozu zbóż, traw, nasion, kartofli wynosiło 23.251.200 rb., w saldzie zaś wywozu żadnej niepodano cyfry. Nie znaczy to wcale jeszcze, iżby ziemie nasze nas wyżywić nie były w stanie. Zgoła nie. Pewne wzmożenia intensywności gospodarczej, niewątpliwie by tej sprawie zaradziły. Ale z przyczyn niekorzystnych taryf kolejowych tak się ceny zbóż u nas normują, że poprostu intensywność taka nie może mieć

miejsca, bo się nie opłaci. Ceny zwykle normują się podług poziomu cen najniższych z dodaniem frachtu. Otóż, ponieważ produkcya zbóż w Cesarstwie kosztuje niesłychanie mniej od produkcji u nas, gdzie i ziemia jest droższa, i robotnik wybredniejszy, i kultura trudniejsza, i kapitał w innych obraca się warunkach — a frachty są, jak wiadomo, tak ułożone, iż przewóz zbóż i mąki z głębi Cesarstwa kosztuje minimalnie, przeto produkcya zbóż naszych raczej od taryf kolejowych niż od stawek celnych cierpi. Wobec tego stawki celne na zboże, o ile taryfy kolejowe nie ulegną zmianie, na razie przynajmniej, może nieco mniejszej są wagi. Odbijają się one na cenie naszego zboża przez reperkusyę tylko.

Natomiast kapitalnej wagi dla naszego rolnictwa jest sprawa wywozu bydła. Wiadomo, że w traktacie handlowym, który teraz właśnie się kończy, przewidziano możliwość wwozu do Niemiec bydła z Cesarstwa i Królestwa, warunkując tylko względami weterynaryjnymi. Otóż po zawarciu traktatu Niemcy uznały Cesarstwo i Królestwo Polskie za dotknięte zarazą i rogatkę zamknęły. Jestto poprostu szykana, gdyż Niemcy w znacznej ilości bydło importują. Dane statystyczne niemieckie wykazują, że w r. 1900 wprowadzono krów 70.683 za 21 mil. marek i wołów 64.947 za 28 mil. m. Z Rosyi nie wprowadzono bydła wcale.

A jednak ceny bydła w Niemczech są wysokie i rolnictwo nasze poważne z tego korzyści ciągnąćby mogło. Chów mógłby się podnieść olbrzymio. Na podstawie danych statystycznych, ogłoszonych przez Warszawski Komitet Statystyczny, w których wykazano ilość bydła w każdej gubernii, oraz na mocy szacunków łąk i pastwisk, przeprowadzonych przez władze Tow. Kred. Ziemskiego, łatwo wywnioskować, że produkcya ta łatwo, przy odpowiednich konjunkturach, zwiększoną być może. Jeżeli dane sprowadzimy do jednostki normy, przekonamy się, że najwięcej stosunkowo bydła produkuje gub. Siedlecka. Przyjnując produkcyę bydła gub. Siedleckiej za maximum normy produkcji, otrzymany, że produkcya ta może być zwiększoną w gub. Warszawskiej o 46%, Kaliskiej o 36%, Suwalskiej o 32% i t. d. względnie do wartości łąk i pastwisk. Naturalnie, produkcya bydła w gub. Siedleckiej również jest zbyt małą. Wówczas cyfry te powinny być o wiele większe. A za zwiększeniem tej produkcji poszłoby rozwinięcie rolnictwa, a w ślad za tem rozkwit przemysłu i rękodziel.

Weźmy inny przykład ilustrujący, jak ważne interesy Królestwa związane są ze sprawą traktatu. Zwróćmy uwagę na sól kuchenną. Sól stanowi nieodzowny element spożycia nawet najbiedniejszej ludności. Słusznem byłoby więc, iżby się po najtań-

szej dostawała — ludności cenie. Sól jest równocześnie środkiem higieny, jest też elementem spożywczym dla inwentarza, jest wreszcie ważnym i nieodzownym materiałem w przemyśle chemicznym, szczególnie w fabrykacji kwasu solnego, mydła, szkła, farb, w garncarstwie i t. d. Tuż za granicą Królestwa znajdują się arcybogate pokłady soli, w Bochni i Wieliczce, w Galicyi, oraz piękne pokłady w Inowrocławiu. A sprawy tak ułożono, że kiedy wagon soli w Toruniu kosztuje 25 marek, tenże sam wagon w Aleksandrowie kosztuje 250 rubli! Królestwo własnej soli nie posiada. Jedyne tylko solanki Ciechocińskie produkują rocznie około 174 tysięcy pudów soli. Królestwo spożywa rocznie 8 milionów pudów soli. Z tej ilości pół miliona pudów sprowadzamy z Wieliczki płacąc w ładunkach wagonowych po 30 kop. za pud, a w ładunkach mniejszych po 45 kop., resztę zaś, t. j. 7½ mil. pudów sprowadzamy z okręgu Donieckiego i gub. Taurydzkiej, opłacając fracht około 27 kop. za pud. Tym sposobem mamy najdroższą sól płacąc po 33 kop. za pud, gdy na miejscu kosztuje 6 kop., płacąc kolejom rocznie z górą 2 miliony rubli. Nadzieje znalezienia pokładów solnych w Królestwie zawiodły zupełnie. Czyżby wobec tego nie należało obniżyć cła od soli lub w ostatecznym razie przynajmniej obniżyć taryfy kolejowe? Domagano się u nas tej obniżki, choćby przyznania praw przysługujących gub. Archangielskiej, która sprowadzać ma prawo sól morzem płacąc 15 kop. cła od puda.

Przykładów takich rzucających jaskrawe światło na stosunki ekonomiczne, możnaby więcej przytoczyć. Ale już te nawet przykłady charakteryzują dobitnie sprawę i mówią same za siebie. Warunki traktatu handlowego, to dla nas sprawa pierwszorzędnej wagi.

*

*

*

Przyjrzyjmy się główniejszym punktom nowego traktatu.

Nie jest on aktem stanowiącym całość samą w sobie. Jest to tylko konwencya dodatkowa do poprzedniego traktatu. Niemniej jednak dodatkowa ta konwencya samą kanwę poprzednią w znacznej bardzo mierze modyfikuje.

Przez prezesa komitetu ministrów S. Wittego z jednej, a kanclerza rzeszy Bernarda von Bülowa z drugiej strony, podpisana konwencya dodatkowa w artykułach pierwszych zmienia bardzo charakterystycznie traktat poprzedni. Zmienia go na korzyść Niemców i Żydów. „Termin trzechletni, ustanowiony przez ukaz Cesarski Rosyjski z dn. 14 marca 1887, dla sprzedaży nieruchomości przez cudzoziemców, powiększony zostaje dla obywateli niemieckich do lat dziesięciu.“ Niewygodną była dla Niemców, w chwili spadkowania konieczność sprzedaży nieruchomości w obrębie trzechletnim. Zagwarantowano sobie okres dziesięcioletni, czyli najdłuższy jaki traktat, na dziesięć lat zawierany, dać mógł. Równa się to niemal przyzwoleniu bezterminowemu. — W jednym z następnych artykułów czytamy: „Termin ważności wiz konsularnych na pasportach, rozszerza się w Rosyi do 6 miesięcy. Postanowienie to stosuje się zarówno i do wiz na pasportach niemieckich subjektów podróżujących (komiwojażerów), wyznania mojżeszowego.“

Poddani niemieccy zajmujący się przemysłem w Państwie Rosyjskiem winni być opatrzeni w świadectwa przemysłowe nie przenoszące 150 rubli kosztu rocznego. Ich subiekci płacą 50 rb. rocznie. „W wydawaniu świadectw i wysokości pobieranych za nie opłat nie będą robione żadne różnice pomiędzy osobami wyznań chrześcijańskiego i mojżeszowego.“

Tyle co do dyspozycyj ogólnych, dotyczących osób poddanych dwu państw. Są te dyspozycye bardzo charakterystyczne i znamienne.

Prócz nich znajdujemy we wstępnych artykułach inne jeszcze ważne, które przed wejściem w szczegóły traktatu zaznaczyć należy.

Przedewszystkiem, jest uzasadniona nadzieja, że sprawy własności literackiej, które dotychczas na całym Zachodzie uregulowane, nie miały żadnej sankcyi prawnej w obrębie Państwa Rosyjskiego, znajdą pewną stałą podstawę. Dopóki rosyjska literatura żywiła się chętnie literaturą Zachodu, — natomiast mało Zachodowi przyswajaną była, na rękę Rosyi był ten brak reglementacyi w tym względzie. Wiadomo, że własność autorska podług słusznych w tym względzie praw międzynarodowych stanowi własność bezwzględna. Wszelkie więc tłumaczenia i przyswajania bez zezwolenia autora, są na Zachodzie prawem ścigane. Inaczej dotąd było w Państwie Rosyjskiem. Taki stan rzeczy ma uleść zmianie. „Rząd rosyjski cesarski — czytamy w konwencji — oznajmia o swej gotowości wstąpienia, w ciągu terminu trzyletniego

od czasu wprowadzenia w życie obecnej konwencji, w układy z cesarskim rządem niemieckim co do zawarcia porozumienia o obronie praw autorskich do twórców literatury, sztuki i fotografii.“ Do jakich konkretnych rezultatów doprowadzą te rokowania, przesądzać dziś niepodobna. To jednak zaznaczyć należy, iż zagwarantowanie praw autorskich, dla nas szczególnie, będzie miało znaczenie olbrzymie, wobec tego, iż, jak dotąd, utwory literackie pisane w Warszawie, wydawano w Krakowie lub odwrotnie, bez wiedzy częstokroć i zezwolenia autorów.

Wreszcie, — ze sfery spraw ogólnych, — znajdujemy w artykułach wstępnych wyraźnie wypowiedzianą zasadę najwyższego uprzywilejowania. „Wszelka ulga i przywileje, wszelka obniżka ceł przywózowych, zaznaczonych w ogólnej lub traktatowej taryfie, nadane przez jedną ze stron traktatowych trzeciemu mocarstwu bezterminowo, rozciągają się bezwzględnie i bezwarunkowo, bez ograniczeń i bez wynagrodzenia, na produkty ziemi i przemysłu drugiej strony.“

Przejdźmy do niektórych szczegółów.

W dziwnej kolizyi — która musi być wkrótce zapewne wyjaśnioną — znajduje się zasada najwyższego uprzywilejowania, uznana nawzajem za obowiązującą, z tym faktem, iż już po podpisaniu traktatu z Rosyą, zawarły Niemcy traktat z Austryą, której większe przywileje aniżeli Rosyi przyznano w tej sprawie, chociaż według konwencji traktatowej z Rosyą „środki weterynaryjne, przedsiębrane przez rząd niemiecki w stosunku do przywozu rosyjskiego, nie będą wprowadzane surowsze, aniżeli w stosunku do innych państw, będących pod względem epizootyi i instytucyj weterynaryjnych w jednakowych z Rosyą warunkach.“ Jedno z dwojga, albo, powtarzamy, niejasność tej sytuacji wytłomaczoną być musi, albo Niemcy nadal w sprawie tej samowolą kierować się będą. Mglistość zawsze z perfidyą Niemcy na swoją korzyść wyzyskać potrafią. Wyraźnie w jednym tylko punkcie tego przedmiotu się wypowiedziano: przyznano Państwu Rosyjskiemu prawo wywozu na Górny Śląsk 2500 wieprzów tygodniowo (zamiast 70,000 sztuk rocznie jak dotąd). Z tego więc źródła dochodu — z chowu żywego inwentarza — wątpliwe są dla Państwa Rosyjskiego korzyści.

Idźmy dalej. Cła zbożowe. Tu jest już zupełna po stronie junkrów pruskich wiktorya. Cła zbożowe będą następujące: żyto płacić będzie 5 marek (obecnie 3,50), owies 5 m. (obecnie 2,80), pszenica 5,50 m. (obecnie 3,50), jęczmień browarny 4 m. (obecnie 2 m.), jęczmień na paszę 1,20 m. (obecnie 2 m.).

Oficyalne źródła rosyjskie skwapliwie chcą dowieść, iż doniosłość zwiększenia ceł zbożowych jest dla rolnictwa rosyjskiego minimalną. Argumenty są wprawdzie ciekawe, ale nie przekonujące. O ileby przywóz zboża z Rosyi nie uległ zmianie, różnica ceł wyniesie wraz z nadwyżką ceł niektórych innych produktów rolnych, około 14,8 mil. rubli rocznie. Źródła wyżej zaznaczone dowodzą, że przedewszystkiem nadwyżkę ceł ponosi zawsze konsument, a nie producent, dalej, dowodzą, że wywóz nie może się zmniejszyć, bo ludność Niemiec wzrasta szybko, a natomiast ani zmniejszanie się nieużytków, ani zwiększanie intensywności rolnej nie może kroku wzrostowi zapotrzebowania zbóż w Niemczech dotrzymać, wreszcie, straty kompensują się zyskami, które w sferze przemysłowej osiągnięte być mogą.

Rozpatrzmy te argumenty. Przedewszystkiem, w jakiej mierze ponosi cło konsument określić, jak to zauważyliśmy wyżej, w żaden sposób się nie da. Być bardzo może, iż cło nie wielkie istotnie ponosi konsument, ale cło które przenosi pewną normę racjonalną zapewne spada na producenta. Prawdopodobnem więc jest, iż płaconą będzie przez producenta cała nadwyżka celna w tym właśnie razie. A skutkiem nieodzownym będzie obniżka cen zboża w Państwie Rosyjskiem.

Ludność Niemiec w ostatnim ćwierćwieku istotnie zwiększyła się o $24\frac{1}{2}\%$, natomiast ilość nieużytków z 15% zmalała do 10% , przytem wskutek wzrostu dobrobytu spożycie każdej jednostki wzrosło. Przemawiałoby to za tem, iż wywóz zboża rosyjskiego do Niemiec nie może się skurczyć. Ale zapominać nienależy o groźnym konkurencie, Stanach Zjednoczonych, które dzięki taniej produkcji i udoskonalonej technice tak są gotowe do konkurencyjnej walki, iż, jak się okazało w toku rokowań, wysokość stawek celnych gra dla interesów Ameryki minimalną rolę.

Wreszcie ostatni argument: kompensata w innych rubrykach, w rubrykach przemysłowych. Na to odpowiedź jedna: trzeba mieć wiele dobrej woli, żeby porównywać dwa przedmioty nie współmierne.

A teraz jaki będzie skutek społeczny i ekonomiczny zwyżki celnej na zboża? Naturalnie, zniżka znaczna ceny zboża. Ucierpią na tem dotkliwie przedewszystkiem producenci z głębi Cesarstwa t. j. ci, których zboża wywożono za granicę. Ponieważ zaś ceny zboża w Państwie normują się podług najniższej ceny z dodaniem kosztu przewozu, przeto zniżą się ceny zboża i u nas, w Królestwie. Napozór zdawałoby się, iż mniej to dotyczy Królestwa, skoro nie mamy nadmiaru zboża. Dotyczy jednak w istocie rze-

czy bardzo, bo wywoziliśmy zboże nasze droższe i lepsze, więcej poszukiwane zagranicą (z powodu większej zawartości glutenu) a zastępowaliśmy je zbożem rosyjskiem. Może nawet obniżka ceny zboża mniej być dotkliwą dla producenta zboża rosyjskiego niż naszego. Wiadomo, że produkcya zboża w Cesarstwie z różnych ekonomicznych względów jest daleko tańszą od produkcji zbóż w Królestwie. Otóż pewna niżka cen może jeszcze nie przekroczyć w Cesarstwie normy, po za którą produkować się już nie opłaca, gdy tymczasem poziom cen w Królestwie może być bardzo bliskim tej granicy. Równałoby się to niesłychanie ważnym przewrotom ekonomicznym, które, na razie przynajmniej, boleśnie odbićby się musiały.

Zapewne, ze względów społecznych i humanitarnych pożądanem jest, aby chleb był tani. Uprzystępnia go się wówczas wszystkim, a przecież wszyscy do chleba powszedniego mieć prawo powinni. Ale przedewszystkiem technika młynarstwa i piekarstwa wykazuje, iż w porównaniu do kosztu robocizny, kapitału, amortyzacyi maszyn i t. d. cena zboża stosunkowo nie gra najważniejszej roli. Wielka więc niżka ceny zboża nie pociągnie za sobą takiej samej niżki ceny chleba. Prawda i to, że więcej niż połowa obszaru Królestwa zaludniona jest przez drobną własność, która może mniej zainteresowana jest w wysokiej cenie zboża, gdyż w stosunkowo nieznacznej mierze zboże to zapewne spienięża, niemniej jednak pożądanem byłoby aby cena zboża zapewniała racjonalne wynagrodzenie pracy właściciela ziemi — a to, szczególnie w obecnych warunkach wywozu bydła, które zapewne, jak zaznaczyliśmy, uzasadnionym nie ulegnie zmianom — zdaje się być może nie zupełnie pewnem.

Są to obawy naturalnie pesymistyczne. Ale w sprawach ekonomiki nigdy zanadto przezornym być nie można. I wiedząc co nastąpić może, trzeba by oryentować naszą produkcję rolną w kierunku takim, w jakim już oddawna oryentować się była powinna. Wskazanem mianowicie byłoby dla rolnictwa naszego produkowanie intensywniejsze różnych specjalnych zbóż i nasion do siewu. Zboża takie i nasiona w naszych klimatycznych warunkach, plony obfite przy pewnej staranności wydaćby musiały (czego są już dowody), a uniknęlibyśmy sprowadzania tego towaru z zagranicy, zaspakajając jednocześnie znaczny w tej mierze popyt Cesarstwa.

Czy nasze rolnictwo zyszcze na niżeniu cła od jęczmienia na paszę jest rzeczą wątpliwą. Klimat nasz i wysiłki wieloletnie doprowadziły do produkcyi wcale dobrego browarnego jęczmienia, który pomimo obecnego upadku browarów naszych zawsze względ-

nie dobrą cenę osiągnąć może. Zyszcze na tem tylko Cesarstwo, które w północnych strefach posiada znaczną produkcję jęczmienia niezdatnego dla browarów.

Podniesienie cła od chmielu z 14 marek do 70 m. niekorzystnie wpłynie na plantacje chmielu. Zapewne, chmiel nasz w znacznej części szedł zagranicę i następnie po pewnej przeróbce wracał do kraju. Byłoby więc może pożądanę, aby ta przeróbka odbywała się w kraju. Ale nie należy zapominać, że z powodu różnych rozporządzeń z kwestyą wprowadzenia monopolu wódczanego związanych, browary, u nas szczególnie, upadły, wobec czego całej produkcji chmielarskiej zużyć nie są w stanie.

Zapewne w nieco korzystniejszym świetle przedstawi się produkcya leśna. Wprawdzie Niemcy oclili z nadwyżką 500% niektóre przedmioty wyrobione z drzewa, ale natomiast, ogólnie biorąc, obniżono cło na drzewo surowe dosyć znacznie. Przedewszystkiem inny zapanuje system cienia: dotychczas drzewo płaciło cło bez względu na gatunek, obecnie zaś zostało rozgatkowane, przyczem płacić się będzie od wagi lub miary sześciennej. Drzewo niewyrobione miękkie płacić odtąd będzie cła 0,20 m. od 100 kg. lub 1,20 m. za metr sześcienny (wykładnik 1:6) twarde zaś drzewo 1,80 m. (wykładnik 1:9).

W daleko lepszych warunkach znajdzie się produkcya przemysłowa. Na ogół biorąc doznała ona znacznej protekcji, szczególnie produkcya wielka, kapitalistyczna. Rosya nadal trwa w zamiarze rozwiązania choćby sztucznie kapitalistycznego przemysłu. Ustępstwa, a właściwie zgoda uzyskana ze strony Niemiec na podniesienie ceł ze strony rosyjskiej, szczególnie na przywóz maszyn i chemikalij są zapewne jedyną pociechą. Pozostawiono tylko w rozmiarze prawie nietkniętym stawki celne od przywożonych z Niemiec maszyn rolniczych. Jestto jedyna znowu pociecha rolnictwa.

Przemysł chemiczny postawiony zostanie w daleko lepszych niż dotychczas warunkach. I jest to dla nas szczególnie sprawą niesłychanie ważną. Naprzód, warunki dotychczasowego bytowania skłaniały młodzież naszą do tłumnego zapisywania się do szkół wyższych zawodowych, technicznych. Wytworzył się liczny zastęp dzielnych techników, chemików, którzy zajęcia nie mieli. A nadto, wszakże dla nas szczególnie pożądanym jest rozwój przemysłu, który wiele rąk roboczych zatrudnia, a takim właśnie jest przemysł chemiczny.

Został on uwzględniony szczególnie w § 112 nowej taryfy. Dotychczas wszystkie niewymienione w innych paragrafach przed-

mioty chemicznej produkcji, objęte razem w tym rozdziale, opłacały cło jedno. Ponieważ zaś nauka chemii rozwinęła się niezmiernie, przeto działy się przy stosowaniu tego paragrafu liczne anomalie. Obecnie zróżniczkowano wiele przetworów. Tak np. oclono w wysokości 8 rub. od puda związku rtęci (sublimat, kalomel, cynober etc.). Również poprawiono znacznie koniunktury produkcji farb mineralnych i innych gałęzi przemysłu chemicznego.

Ale i tu dobroczynnego wpływu nowego traktatu przecenić nie należy. Wszakże zasadniczymi elementami produkcji chemicznej są kwas siarczany i sól. Dla wyrobu kwasu siarczanego sprowadzać trzeba jeżeli nie siarki z Sycylii (co się zbyt drogo kalkuluje) to siarczki czyli piryty z Hiszpanii i Węgier. Byłoby więc pożądanem obniżenie cła na przywożone piryty. Taryfa tego nie uwzględniła wcale. A jak ważnem byłoby obniżenie cła od soli wyżej wykazaliśmy. W nowej taryfie warunki celne, odnośnie do soli, pozostawiono bez zmiany!

Może najważniejszą dyspozycją w dziedzinie przemysłu są rezolucje traktatu, dotyczące przemysłu cukrowniczego. Wiadomo, że Niemcy wstąpiły do konwencji cukrowej Brukselskiej. Wobec tego cukier wprowadzany z Rosyi do Niemiec ulegał specjalnemu ocleniu. Na podstawie przyznanego prawa najwyższego uprzywilejowania oraz na zasadzie specjalnych dyspozycji traktatu, cukier z Rosyi, wprowadzany do Niemiec na rynki niemieckie wewnętrzne, nie będzie ulegał nadwyżkom cłowym, a cukier, idący przez Niemcy drogą tranzytową, żadnego cła wchodowego płacić nie będzie.

*

*

*

Pertraktacje, zawarcia nowego traktatu handlowego dotyczące, główny nacisk kładły na cła zbożowe, uważając tę sprawę za rzecz kapitalnej wagi. Pod naciskiem różnych okoliczności, otrzymawszy na tem polu satysfakcję, zgodziły się Niemcy na pewne, zresztą względnie może mniej ważne ustępstwa. I jeżeli zważymy, że istotnie inne stawki celne, prócz zbożowych, stosunkowo mniejszym uległy zmianom, zrozumiemy, dlaczego w tej dziedzinie sprawy głównie zaprzętały myśli i zabiegi.

Jak się odbiją cła zbożowe na ogólnej produkcji naszego kraju, w przybliżeniu tylko staraliśmy się określić. A już nie pewnego nie da się powiedzieć o przyszłych koniunkturach przemysłu naszego. W ostatnich chwilach przemysł nasz uległ radykalnym zmianom. Zmieniono warunki pracy. Jeżeli doliczyć zmniejszenie godzin pracy, zwiększenie różnych prestacyj w naturze i t. d. do zwyżki płacy zarobnej, to śmiało twierdzić można, że poziom ceny robocizny podniósł się co najmniej na ogół o 20%. Gdy zawierano nowy traktat handlowy, nie przeczuwano nawet tych zmian. A traktat obowiązywać będzie przez lat dziesięć! Zapewne, są gałęzie przemysłu, w których koszt pracy ludzkiej mniejszą odgrywa w kalkulacji rolę. Takie ostoją się napewno. Ale są gałęzie przemysłu, w których wydatki na robocizny są główną pozycją budżetu. Czy się ostoją? Przesądzać dziś, w czasach dzisiejszych zwłaszcza, byłoby zarówno lekkomyślnie, jak i przedwcześnie.

Uogólnienia jednak, pomimo tych zastrzeżeń, nasuwają się same. Przedewszystkiem nie uwzględniono zgoła postulatów kraju naszego. Ani praca zarobna ludu roboczego, ani praca inteligencji, nie znalazła należytej ochrony. Rolnictwo cierpieć będzie srodze, przemysł wielki znajdzie się może w nieco lepszych warunkach, ale przemysł drobny, wytwórczość drobna nie znalazła poparcia. Wszystkiemu temu zaradzićby mogły gruntowne zmiany taryf kolejowych, faworyzujące gubernie Cesarstwa. Ale, by na zmiany takie się zdobyć trzeba energii i woli dobrej.

A jakie wnioski z tego dla nas? Oto jeden wniosek, może jedyny, ale ważny niepomiernie, którego nam nigdy, pod karą śmierci, zapominać nie wolno: warunki ciężkie, choćby najcięższe, nie upoważniają nigdy do załamania rąk. Owszem, powinny być bodźcem do tem większej, wzmożonej pracy. Bo w pracy, i jeszcze raz w pracy jest narodowa przyszłość.

HENRYK RADZISZEWSKI.

Z najnowszej literatury niemieckiej.

Przypadkowo znalazłem się niedawno, podczas bytności w jednym z większych miast północno-niemieckich, w kawiarni wiedeńskiej. Zapalano właśnie lampy, i potęga światła ściągnęła wzrok mój, który błędził po nawpół zamglonych, szarych zarysach ciężkich, kamiennych budowli ulicznych, ku wnętrzu.

Zdziwienie moje nie miało granic.

Znajdowałem się w dużej sali przepysznie oświetlonej elektrycznym i gazowym światłem. Ściany zdobne we wzory wiedeńskiej secesyi mieniły się w różnobarwnych znakomicie dobranych, jasnych kolorach; dumne fryzy, kapitele i metopy o pozłocie italskiej zdobiły sylwetki klasyczne; złote wianki w stylu „empire“ lśniły z dostojnością cezaryjską na miękkich jedwabiach kotar, a ciemnozielona boazerya odzywała się w tym wyrafinowanym koncercie kolorów dobrodusznym basem wiedeńsko-mieszczańskiej naiwności.

Atmosfera austriacka! Co za kontrast ze światem niemieckiej północy! — A te twarze naokół, (była to godzina dość wczesna i z tego powodu sami prawie „habitués“ znajdowali się w kawiarni), te wąskie barki i usta, te zmęczone trochę, trochę sentymentalne oczy, te długie blade ręce, te wysnułte, eleganckie, prawie anemiczne postacie, w porównaniu z barczystymi, krwistymi, muskularnymi typami północy.....

Mimowoli myśl moja ścieżkami asocjacyi pobiegła ku owej garstce poetów, którzy tworzą we współczesnej literaturze niemieckiej odrębny świat. — Są to przedstawiciele młodej Austrii, poeci wyrafinowanych, rzadkich nastrojów, wielbiciele bladej, arystokratycznej, częstokroć nawet dziwacznej piękności, synowie kultury, która w pełnym gracyi korowodzie najróżnorodniejszych stylów, w nieprzymuszonym eklektyzmie szuka swych upojeń i zachwyków artystycznych.

Są to: Hermann Bahr, Felix Doermann, Artur Schnitzler, Peter Altenberg, J. Wassermann, Stefan Zweig i wreszcie: Hugo von Hofmannsthal.

Czy grupa tych poetów, wobec potężnej fali twórczości niemieckiej, odgrywa jakąkolwiek znamienne rolę w literaturze germańskiej, na to pytanie postaram się odpowiedzieć w dalszym ciągu, mówiąc właśnie o Hofmannsthal'u. Przedewszystkiem jednak muszę poświęcić kilka słów ogólnej treści—młodo-niemieckiej literaturze.

Już Fryderyk Nietzsche, znakomity znawca nerwowych splotów młodo-niemieckiej umysłowości, oburzał się niejednokrotnie przeciwko owej dokładności niemieckiej, która z mikroskopem w rękę szuka rzeczy nieuchwytnych, ociążała dłoń specjalisty wyciąga po cuda ducha, dostępne tylko duchowi i, śledząc z godną politowania skromnością mózg pijawki (Zaratustra IV-ta część „O pijawce“), zapomina o konstelacjach słonecznych i cudach mlecznych dróg. „Geist der Schwere“ nazwał Nietzsche ową dośrodkową ociążałość ducha niemieckiego, a za lekarstwo najskuteczniejsze nań podał „taniec“ i „wzlot.“ Ale nie dość na tem, nie poprzestając na słowie, sam dowiódł czynem, jak trzeba „tańczyć“ i „latać.“ Zaratustra jest tym tańcem ekstazy, tym rytmem chaotycznym, który rodzi gwiazdy, tym wzlotem orlim z poziomów badacza-uczonego do wyżyn poety-proroka. Zaratustra ów okrzyk roztęsknionej duszy germańskiej, przeglądającej się w zwierciadle słowiańskich, atawistycznych uczuć i popędów.

Co dla Nietzschego, może tylko dzięki jego atawizmom polskim, stało się rzeczywistością, objawieniem, to dopiero powoli, zawilemi, krętymi drogami podziemnymi wsiąkało w całokształt duszy niemieckiej. Z wyjątkiem Stanisława Przybyszewskiego, który, będąc Polakiem, zajmuje w literaturze niemieckiej jako pisarz niemiecki miejsce wybitne, tylko Ryszard Delmel potrafił sobie największą ilość tych pierwiastków nowych przyswoić.

Bezpośrednim wpływem Nietzschego na literaturę niemiecką było, niestety, zbudzenie się „ciemnych“ instynktów bestyi ludzkiej, pogrążenie się w błotnych kałużach naturalizmu, płaski impresjonizm i brutalny sensualizm. Że w tych konwulsjach brzydoty, pośród tych „Messes noires“ ohydy, tliły się ognie nowych prawd, nowych jasnovidzeń—tego zaprzeczyć niepodobna; że potęga huraganu szczerości, który powstał, zmiotła jak garść zwiędłych liści szablonny konwencyonalnego klasycyzmu, które n. p. w wyblakłych utworach Geibla, Scheffel'a i w. i. dosięgły najgłębszych przepaści zaniku twórczego, z tego tylko cieszyć się należy. Ale apostołowie nauk

Nietzschego, dążąc ścieżkami tytanicznego buntu, zapominali o rytmicznych słonecznych zachwytach Zaratustry, o dźwięku złotostrunnej lutni Apolina, o jasnych, pogodnych szczytach Olimpu. — Odwieczny błąd!..... Prometeusz i bogowie, tytani i Zeus..... Nietzsche contra Wagner, możnaby z pewnem ograniczeniem dodać.

W paroksyzmie fanatycznego indywidualizmu przyznano każdemu złemu instynktowi natury ludzkiej prawo obywatelstwa, każdą oscylację ku perwersyi lub szaleństwu przyjęto za objaw siły, „tropicznej wegetacyi,“ zaprzeczając istnienia ogólnie ludzkiego łącznika: — wrodzonej każdej istocie ludzkiej tęsknoty za pięknnością i harmonią.

Temi cechami odznacza się ostatnie dwudziestolecie literatury niemieckiej — niemiecki naturalizm, począwszy od pierwszych wpływów Emila Zoli i skończywszy na reformach poety-impresjonisty Arno Holz'a. Z wyjątkiem niewielu poetów, którzy jako twórcy stoją na uboczu, większa część poetów niemieckich nowego okresu walczy pośrednio lub bezpośrednio w imię bezwzględного naturalizmu, hołdując sentencyi czarownic Makbetowskich: „fair is fool and fool is fair.“

Najsilniej uwydatnia tendencje naturalistyczne twórczość Arno Holz'a. Jest on tem w literaturze niemieckiej, czem Liebermann w malarstwie, dlatego muszę choćby pobieżnie scharakteryzować działalność tego poety.

Arno Holz brał udział czynny w rewolucyi literackiej, która około 1885 r. z czerwonym sztandarem naturalizmu porwała się z fanatyczną namiętnością na ideały czasów przeszłych i ich widomych reprezentantów, szczególnie przeciwko Heys'emu kierując pociski.

Poezye Holza p. t. „Buch der Zeit, Lieder eines Modernen“ (1885 r.) składają wymowne świadectwo przynależności jego do grupy „młodych,“ którzy, jak Karl Henkell, Henry Makay, Bracia Hart, Bleibtreu, Conradi w usankcyonowanych przez klasycyzm formach głosili przeciwko temuż klasycyzmowi, któremu bądź co bądź wszystko zawdzięczali, bez żadnych skrupułów swe grzmiące przekleństwa.

Holz pierwszy poznał, że twórczość młodej generacyi nie była bynajmniej tem, za co oficjalnie uchodzić chciała. Sztuka, mająca być przeciwieństwem „idealizmu,“ powinna była bardziej trzymać się przedmiotowości.

Poznawszy potrzebę modyfikacyi techniki poetyckiej, Arno Holz z niewzruszoną niemiecką konsekwencyą podjął się przeprowadzenia tej reformy. — Znamienną cechą jego charakteru, w którym

rozum znacznie silniej jest rozwinięty, niż serce (dla poety bardzo smutna synteza), był sposób, w jaki się wziął do tej reformy, obierając w swem dziele „Die Kunst ihr Wesen und ihre Gesetze“ (r. 1890, 92) drogę teoretyczną.

Dopiero znacznie później (około 1900 r.) powstały na zasadzie tych wywodów jego dzieła poetyckie, które są ciekawymi okazami konsekwentnie przeprowadzonej, pod względem formy i treści naturalistycznej twórczości.

Na miejsce poglądu Zoli: „une oeuvre d'art est un coin de la nature vu à travers un tempérament“ stawia Holz formułę, która jeszcze bardziej oddala się od intuicji. — Coś niezwykle suchego i trywialnego. Ażeby zrozumieć dobrze tę formułę, musimy obrać drogę jego logicznych wywodów.

Holz bierze do ręki tablicę, na której malec jakiś nabazgrał żołnierza. Żołnierz ten, który jest bardzo nieudolną imitacją rzeczywistości, służy mu za punkt wyjścia. — Tak, rzeczywiście! — malec miał zamiar odtworzyć wedle możliwości rzeczywistość, ale rezultat jest w gruncie rzeczy niczem innym tylko gmatwaniną białych kresek na czarnej tablicy.

Rezultat czynności nie odpowiada pod żadnym względem celowi. Pomiędzy rezultatem a idealnym celem znajduje się luka. Na zasadzie powyższych spostrzeżeń praktycznych czyni Holz następujące wnioski logiczne.

Wziąwszy zamiast słowa: „rezultat“ bardziej w danym razie nadające się słowo: „bazgranina“, zamiast słowa „cel“ — „żołnierz“ i oznaczywszy lukę przez X, otrzymany następującą formułę:

$$\text{bazgranina} = \text{żołnierzowi} - X$$

lub zastępując „bazgraninę“ słowem „sztuka“, „żołnierza“ słowem „natura“, otrzymamy

$$\text{sztuka} = \text{naturze} - X,$$

co innemi słowy znaczy:

„Sztuka posiada tendencję stania się naturą o ile środki reprodukcji i umiejętność władania niemi nie stają na przeszkodzie.“

Mamy tutaj przed oczami teorię naturalistów sformułowaną trochę niezręcznie, ale dogmatycznie jasno. Z łatwością każdy znajdzie błąd autora tych teoryj. To co Holz postawił jako pewnik, uogólniając specjalny fakt, powinno było być inaczej sformułowane, gdyż sztuka „tego chłopca“, lub sztuka człowieka jaskiniowego z epoki lodowej nie jest sztuką mistrza-proroka. Gdyby autor był zamiast rysunku chłopca wziął Fausta Goethego lub komedię Boską Danta, rezultat byłby inny, a mianowicie: „sztuka tego

mistrza ma tendencję przeobrażenia świata zewnętrznych zjawisk na wzór przecutych harmonij i zjednoczenia chaotycznych rysów rzeczywistości w całokształt wyśnionego ideału.“

W tem właśnie leży błąd i ubóstwo sztuki „konsekwentnych naturalistów,“ że jedyną jej tendencją jest „stanie się naturą,“ jak gdyby w fotograficznej dokładności znaleźć można było potęgę, która nadaje formom treść i rodzącym się przecuciom nowe kształty stwarza.

Nic dziwnego, że powstałe w ten sposób utwory poetyczne działają częstokroć trywialnie.

Weźmy n. p. następujący wierszyk (patrz „Phantasmus“ Holz'a 1899 r).

1) Za kolejowym nasypem, pomiędzy ciemnymi krzakami,
znika
żarzące się cygare i sukienka świąteczna.
Miesiąc uśmiecha się.
Pomiędzy papierami od butersznytów i skorupami jajek
szukają kwiatu poezyi!

lub idyllę naturalistyczną:

2) Mały domeczek, zielone drzwi
i serca w okiennicach!
Wieczór...
pod cieniem srebrnych topoli
siedzimy z naszymi chłopcami.
„Mamo, Mamo, księżyc się popsul!“
Najmłodszy patrzy też...
„Biela!
„Biela jest małym chrabąszczem!“
„Sa...“

1) Hinter den Bahndamm, zwischen die dunklen kuscheln, | verschwindet | eine brennende Cigarre, ein Pfingstkleid. | Luna: lächelt. | Zwischen weggeworfenen Stullenpapier und Eierschalen | suchen sie die blaue Blume!

2) „Ein kleines Haus mit grüner Tür | und Herzen in den Fensterläden! | Abends, | unter den Silberpappeln, | sitzen wir mit unsern Jungens, | „Mutter, Mutter, der Mond ist kaput!“ | Der kleinste kuckt auch. | „Biela! | bist du ein Maikäfer?“ | „Sa.“

Czasami jednakże udają mu się nawet wdzięczne obrazki, błahostki co prawda, które działają, jak widoki na kartach pocztowych i głębszego wrażenia nie są w stanie wywołać. Oto jeden:

') Księżyc
zagląda dachom w kominy.
Klon
Za starą zakrystyą
lśni.
Całe miasteczko leży wysrebrzone!

Teorya Holza znalazła w artystycznym świecie niemieckim szerokie uznanie, tembardziej, że malarstwo naturalistyczne, przeciwko któremu Stanisław Przybyszewski napróżno ciskał gromy jowiszowe (patrz „Na drogach duszy,“) wcześniej już w podobny sposób tworzyć zaczęło i uitorowało poglądom poety-naturalisty drogę.

Powstał cały zastęp poetów, którzy według ułatwiającej produkcji teoryi Holz'a pisali z zatrważającą szybkością całe tomy, a każdy z tych tomów przepełniony był nędznymi i błahymi elukubracjami jak np. następująca Alfreda Momberta:

Horch!
Horch, es flötet die Nachtigall
im Gebüsch.....

Słuchaj!
Słyszysz,... słowik kwili
w krzakach...

Przytem nadmienić należy, że Alfred Mombert jest jednym z najwybitniejszych współczesnych poetów niemieckich, który częstokroć porywa swemi głębiemi mistycznymi.

Wspólnie z Schlafem zastosował Holz teorię swoją do utworów belletrystycznych i dramatycznych, których styl aż nazbyt słusznie został nazwany „stylem sekundowym“ z tak przeraźliwie nudną dokładnością opisują autorowie każdy najdrobniejszy rys, każdy ruch, wykrzyknik swych bohaterów.

Wpływu Holz'a na Hauptman'a, Dehmel'a, Bierbaum'a, Avenarius'a, Dauthenday'a można z łatwością dowieść, analizując utwo-

') Der Mond | sieht den Dächern in die Schornsteine. | Der Ahorn | hinter der alten Sakristei | leuchtet. | Das ganze Städtchen liegt wie versilbert!

ry tych poetów. Nawet poezye Liliencrona, który przeważnie trzyma się dumnie zdala od wszelkich prądów, wykazują niekiedy pokrewieństwo z „konsekwentnym naturalizmem“ Holz'a.

Dalszą konsekwencyą tego naturalizmu w literaturze niemieckiej były: — w literaturze powieściowej i dramatycznej płaskie prowincjonalizmy i dziwolaży żywcem z natury branych dyalektów, barokowe, nieudolne naśladownictwa stylów minionych, „Biedermeysteril“ w liryce w rodzaju poezyj barokowych Bierbauma lub utworów Holz'a „Pieśni na starej lutni“ (1903) „Z ogrodu prababki, wiązanka wiosennego kwiecica z czasów rococo“ „Dafnis“ portret liryczny z 17-go wieku (1904 r.)

Nawet Dauthenday, którego twórczość początkowa budziła duże nadzieje, poszedł śladem tych pseudostylistycznych elukubracyj w swym ostatnim zbiorze poezyj lirycznych: „Konkury Balzera“ (1904 r.) a Paul Scheerbart w numerze zbiorowym praskiego stowarzyszenia akademickiego, wydanym na cześć 150-cio letniej rocznicy urodzin Goethego popisał się następującym wierszykiem:

I N D I A N E R L I E D.

Murx den Europäer!

Murx ihn!

Murx ihn! Murx ihn!

Murx ihn ab!

Równocześnie dano światu śmieszne widowisko synów parnasu suszących sobie głowy nad wynalezieniem nowych, charakterystycznych kupletów dla tinglu Wolzogena.

„Klingklang-Gloribusch'e“ Bierbaum'a, „Tifliti-plunk“ i Dehmela „Tidli-tidli-tidlidei'e“ Heymela, „Platscheplitsch'e“ Wolzogena — oto ostatni akt tej trywialnej komedyi, która nazywa się w Niemczech „konsekwentnym naturalizmem.“

*

*

*

Reakcyą przeciwko temu ohydę życia pod etykietą „prawdy“ głoszącemu kierunkowi — musiała niebawem nastąpić. Im bardziej bowiem dusza wzdryga się przed poniżeniem, zbezczeszczeniem, poniewierką ideałów, tem potężniej rosną skrzydła jej tęsknoty, a wzrok, karmiony tylko obrazami nędzy, złości i rozpaczy, wy-

rywa się z niepołamaną siłą ku słońcu, ku gwiazdnym firmamentom nocy, ku ciemnym, cichym, tajemniczym uroczyskom! — Zapewne, któż mógłby o tem wątpić, że nędza istnieje, że „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie,“ ale czyż to jest jedyną prawdą bytu, czyż poza rozpaczliwą prozą rzeczywistości niema nic, nic więcej?

Czy tęsknota nieokreślona duszy ludzkiej, jej sny tężowe i przeczucia tajemnicze nie są również rzeczywistością?

Wszak już prorok z Sils Maria wołał w chwilach swych ekstatycznych zachwytów:

Ból — głębi król!
Lecz nad ból — rozkosz głębiej drga:
Zgiń — mówi ból.
Rozkosz za wiecznem życiem łka.
Wieczności chce — bez dna, bez dna!

Też same pytania, które przez ciąg długich wieków budziły do życia ogrody wiszące rajskich piękności, budowały pałace zakłete i zaludniały naturę duchami, podniosły znów swe wiecznie młode, umajone czoła ku światłu.

W ciszy, zdala od zgiełku, sfornowało się stowarzyszenie młodych poetów, których przywódcą stał się nadreńczyk Stefan George, twórca nowej ortografii i nowego stylu poetycznego. Ryszard M. Meyer, docent przy uniwersytecie Berlińskim po raz pierwszy w r. 1897 w miesięczniku „Preussische Jahrbücher“ zwrócił na tych poetów uwagę szerszych kół. W dwa lata później wystąpili i oni sami przed forum z wydawnictwem artystycznym „Blätter für die Kunst.“

Stowarzyszenie tych młodych poetów wypisawszy na swych sztandarach sentencję: „Sztuka dla sztuki“ trzymało się zdala od wiru walki literackiej, w półśnie marzeń o piękności szukało ono nastrojów subtelnych, odbłasków bladych, szmerów tajemniczych i owej nieokreślonej srebrnostrunnej harmonii, którą dźwięczą rzeczy rzadkie, niezwykłe.

Nie była to rzeczywistość bytu, lecz sen o rzeczywistości — nie jasność płomiennych grarów, raczej daleka łuna Montsalvatu, widziana przez mgły wieczorne. W takim samym stosunku znajduje się sztuka ta do potężnej twórczości Ryszarda Wagnera, której wpływ na Stefana George daje się łatwo dowieść.

Ale nie tylko stosunek do tego, do dziś dnia jeszcze fałszywie rozumianego, poety-mistrza łączył stowarzyszenie młodych poetów ze światem zewnętrznym. W utworach Baudelaire'a, Ver-

lain'a, Mallarmé'go, Swinburna, Rosettie'go, Banville'a, jako też Arnolda Böcklina, Maxa Klingerera, w powiewnym prerafaelizmie, w samodzielnych usiłowaniach Dehmela i Liliencrona w „audition colorée“ t. zw. dekadentów i w stylizmie francuskich „parnassiens“ widziny pokrewne dążenia.

Do stowarzyszenia tych młodo-niemieckich poetów przystąpił, opuszczając koło swych przyjaciół wiedeńskich, którzy pierwsi uznali jego talent, dwudziestokilkoletni Hugo von Hofmannsthal.

Herman Bahr, hetman literatury wiedeńskiej, zwrócił pierwszy uwagę na niezwykle talent tego poety, który już wówczas, jako 19-to letni młodzieniec, ogłosił był drukiem kilka poetycznych utworów rzadkiej piękności.

Hofmannsthal wniósł do literatury niemieckiej, którą w stosunku do austriackiej i bawarskiej nazwiemy północno-niemiecką, (i nie bez słuszności, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że owe dwa państwa: Bawarya i Austria, przesiąknięte rzymskimi tradycjami katolicyzmu, różnią się bardzo od przeważnie protestanckiej północy) element południa: lekkość, taniec i gracyę, cechy, których Fryderyk Nietzsche daremnie w niej szukał.

Tutaj wypada mi choć w kilku słowach odpowiedzieć na pytanie poruszone na początku, co do znaczenia dzisiejszej literatury austriackiej w Niemczech: Czy literatura ta odgrywa obecnie znamioną rolę w piśmiennictwie niemieckim? Na pytanie to trzeba będzie naprzód odpowiedzieć przecząco. Jeżeli gdzie w krajach niemieckich, to w Austrii istnieje prawdziwy, nie udany dekadentyzm, ale naturalnie nie w tak silnym stopniu, jak w Grecyi, Włoszech lub Hiszpanii. Usiłowania Hermmana Bahra odrodzenia Austrii niemieckiej stworzyły młodo-austriacką literaturę, której celem był nie przewrót, rewolucya, ale skupienie różnorodnych, rozstrzelonych elementów w imię estetycznych i nacyonalnych haseł.

W północnych Niemczech nie robiono sobie wielkich nadziei co do tej literatury i jej siły twórczej; czytano co prawda z zajęciem Altenberga, Schnitzlera, Wasserman'a, J. J. David'a, Antoniego Lindnera jako „curiosités intéressantes,“ traktowano jednakże i autorów i dzieła z pewnem lekceważeniem. Ożywiona twórczość autorów o charakterze północnym dostarczała zbyt wielorakiego, obfitego i ciężkiego dla ducha niemieckiego pokarmu, aby strawienie go mogło się być dokonać w tak szybkim czasie, pozostawiając jeszcze pozatem apetyt przyswojenia sobie nowych, obcych poniekąd wartości. A jednak niepodobna zaprzeczyć, że młoda Austria posiadała coś, co mogło mieć dla dalszego rozwoju

umysłowości niemieckiej wartość niepowszednią. Tym elementem, obcym duchowi północy, była wspomniana gracya, taniec, lekkość południa, której czar ucieleśniony niegdyś w genialnych utworach Mozarta znalazł oddźwięk w twórczości Goethe'go. Z wyjątkiem Heine'go, którego lekkość jest pochodzenia francuskiego, jedyny tylko Bierbaum usiłował zdobyć ją „par force“, ale usiłowania jego skończyły się..... tańcem niedźwiedzim!

Młoda Austria posiadała lekkość aż w nazbyt sporej mierze, ale dopiero w Hofmannsthal'u element ten znów przybrał mozar-towsko-jasne i getowsko-szlachetne kształty, objawił się światu z siłą, wobec której światła pseudorealistów, naturalistów, materialistów, impresyonistów i t. p. znacznie pobłakły.

Styczeńność Hofmannsthal'a z niemieckimi stylistami, których głową jest Stefan George, była tylko fazą przejściową i kto wie, czy nie na polu stylistycznej właśnie piękności równoczesne ujęcie i zrozumienie północy i południa było w danym razie jedynie możliwem.

Połączenie to stało się faktem dokonany dopiero w ostatnim dziele Hofmannsthal'a, w jego tragedyi „Elektra.“ Poprzednie dzieła noszą przeważnie cechy południa lub też nie odznaczają się tą zupełną harmonią formy i treści. Jeden z wybitnych krytyków niemieckich Kerr, zastosował do Hofmannsthal'a następujące słowa Zoli: „il a une grâce élançée et fine, pareil à un de ces petits rois exsangues, qui finissent une race.“

Było w tej charakterystyce dużo prawdy, szczególnie w stosunku do pierwszych utworów Hofmannsthal'a. Wdzięk jego wiotkich i subtelnych utworów czarował i było w nieskazitelnym stylizmie jego cudnego wiersza tyle królewskości, taka dostojność, taki przepych barw i tonów, że mimowoli trzeba było postawić go odrazu na piedestale niedostępności twórczej, która jest znamioną cechą talentów niepospolitych. Już najpierwsze dramatyczne poematy jego: „Gestern“, „Hochzeit der Sobeide“, „Der Abenteurer und die Sägerin, oder die Geschenke des Lebens“ i liczne wiersze upoważniały do dużych nadziei, ale i duże obawy zarazem budziły.

Bezwątpienia, wszystko co Hofmannsthal nam daje w tych pierwszych utworach, pełne jest rzadkich piękności, obrazów markartowskich o kolorach Feuerbacha, światłości złocistej Tycyana i pogody Tassa getowskiego, ale krew, która pulsuje w jego postaciach dramatycznych, blada jest, jak rosa wieczorna. — To nie są wcale postacie, — to cienie, snowidzenia, których uczucia dosięgają nas, jakby przez matowe szkła. Nigdzie niemasz świeżego

zapachu ziemi. Rzeczywistości napróżno w nich szukać. Błado-
krwisty subtelny świat dawno minionej piękności..... ale piękności
tej brak — żeber! Byłaż to niemoc, czy wyrafinowanie?

Pragnąc dać przykład twórczości Hofmannsthal'a, którą sta-
rałem się dopiero co scharakteryzować, pozwalam sobie zacyto-
wać wyjątek z dramatycznego poematu „der Abenteurer und die
Sängerin.“

1) Lwów mi daj,
Co kwiatów deszcze z paszcz swych wyrzucają,
Delfiny złote postaw mi przed bramą.
Niech win czerwienią wód zieloność poją.
Nie trzech, nie pięciu, cały tłum lokai
W liberyach zwerbuj. U kamiennych schodów
Trzy łodzie pełne muzykantów chcę...
W moich kolorach!...
Kampanilę chcę otoczyć wokół
Róż, narcyzów wieńcem. A w górze, hen,
Na szczycie wieży, płomień niech karmione
Cedrowym drzewem i olejkiem z róż
Obejmą ramion swych świetlaną mocą
Potężne, czarne ciało nocny.
Z kanału zrób mi roztopione żary
I kwiaty syp, aż odurzone stada
Gołębi białych trwożnie zatrzepoczą.
Pochodni tyle staw, aż ryby w głębie
Cichego morza się przed niemi wtłoczą.

Kulminacyjnym punktem pierwszego okresu twórczości Hof-
mannstahala są utwory: „Śmierć Tycjana“ (Tizians Tod) i „Głu-
piec i Śmierć“ (der Thor und der Tod).

1) Schaff mir Löwen, | Die Blumensträusse aus dem Rachen werfen. |
Vergoldete Delphine stell' vor's Thor, | Die roten Wein in grüne Wasser spein! |
Nicht drei, nicht fünf, zehn Diener nimm' mir auf | Und schaff Livréen. An den
Treppen sollen | Drei Gondeln hängen voller Musikanten | In meinen Farben. |
Ich will den Campanile um und um | In Rosen und Narcissen wickeln. Dro-
ben | Auf seiner höchsten Spitze sollen Flammen | Von Sandelholz genährt mit
Rosenöl | Den Leib der Nacht mit Riesenarmen fassen. | Ich mach' aus dem
Canal ein fliessend Feuer, | Streu' soviel Blumen aus, dass alle Tauben |
Betäubt am Boden flattern, soviel Fakeln, | Dass sich die Fische angstvoll in
den Grund | des Meeres bohren.

„Śmierć Tycyana,“ również poemat dramatyczny napisany na śmierć Boeklina, jest jakoby spowiedzią artystyczną Hofmannsthal'a. W obrazie twórczości ukochanego Tycyana daje nam poeta swe własne poglądy na piękno, na sztukę, rozwiązując niejedną zagadkę swej odrębności twórczej.

„Głupiec i Śmierć“ jest utworem getowskim, styl olśniewający, finezya dykcyi niezrównana! Od czasów Goethe'go nie pisano w podobny sposób. Ale nie w biegłości niezwykle subtelnego epigonizmu leży wyłączna piękność tego utworu. Świeci on własnym światłem i rzuca skry współczesnych piękności. Utwór ten jest szczytem współczesnej symbolistycznej liryki niemieckiej, zwyciężką zaprzeczeniem wszelkiej świadomej twórczości „konsekwentnego naturalizmu,“ który na drodze różnych technicznych innowacyj napróżno szukał rozwiązania zadania poezyi.

W „Głupcu i Śmierci“ powaga i piękność podają sobie ręce. Pieśń śmierci brzmi jakby cichy, tęskny akompaniament, a w rytmach powolnych, wyzwolonych z ociężałości ziemnej, przesuwiają się najpiękniejsze potęgi życia: rodzicielstwo, miłość, przyjaźń, rzucając oskarżenia „głupcowi,“ który przeszedł przez życie, nie zaznawszy ich słodyczy.

Ponad wszystkim możnaby było wypisać sentencję: „kto potrafił żyć, potrafi umrzeć!“

I tutaj nie mogę się powstrzymać, ażeby nie zacytować małego ustępu, dającego pojęcie o mistrzostwie Hofmannsthal'a pomimo że wobec piękności oryginału nie śmiem dołączyć polskiego przekładu.

„Die letzten Berge liegen nun im Glanz,
 Im feuchten Schmelz durchsonnter Luft gewandet.
 Es schwebt ein Alabasterwolkenkranz
 Zuhöchst, mit grauen Schatten goldumrandet:
 So malen Meister von den frühen Tagen
 Die Wolken, welche die Madonna tragen.
 Am Abhang liegen blaue Wolkenschatten,
 Der Bergeschatten füllt das weite Tal
 Und dämpft zu grauem Grün den Glanz der Matten;
 Der Gipfel glänzt im vollen, letzten Strahl.
 Wie nah sind meiner Sehnsucht die gerückt,
 Die dort auf weiten Halden einsam wohnen.....

W Paryżu w ciągu bieżącego roku zamierzają w Théâtre Antoine, o ile sobie przypominam, który swego czasu zapoznał Francuzów z utworami Hauptmana, Sudermana i Halbego, wystawić „Elektrę“ Hofmannstahala.

Utwór ten wywołał przed dwoma laty potężną sensację w Berlinie. Wystawiono go równocześnie z „Salome“ Wilde'a, z którą bezwątpienia posiada niejedną cechę wspólną. Elektrą sprawił Hofmannsthal krytykom, którzy już na twórczość jego byli nakleili miarodajne etykiety, ambaras nie miały.

Nigdzie ani śladu owej bezkrwistej, posagowej bladeści, którą odznaczały się poprzednie postacie dramatyczne poety! Sen zamienił się w życie, symbol stał się rzeczywistością, fragmenty dramatyczne—jednością dramatyczną.

Wszystko żyje, drga, dyszy, wije się, napręża, szamoc—walczy!.....

Sofokles dał nam niezrównaną „Elektrę“, łagodząc dłonią wyrozumiałego człowieka, dla którego najstraszniejsze nawet przeпаście duszy ludzkiej są księgą otwartą, ostre rysy zabójstwa Klitemnestry i Egista.

Z pięknnością wewnętrzną tego utworu Elektra Hofmannstahala mierzyć się nie może. Brak jej owej miłości, pełnej wyrozumiałości, która złotem przebaczenia błogosławi każde cierpienie duszy.

Wszystkie rysy łagodzące zostały zaniechane.

Dyabelski taniec na jednej jedynej strunie — zemsty! Ale w tym tańcu szalonym jest coś porywającego, jest szal woli, zapamiętałość żądy,—jest siła, pomimo histerycznych kurczów, pomimo epilepsji i hipnotyzmu. A z jakim mistrzostwem wyzyskane są wszystkie momenty napięcia dramatycznego!

Noc. — Orestes wchodzi do komnaty Klitemnestry. Przed drzwiami, na scenie czeka na podwórzu pałająca niecierpliwością zemsty Elektra. — Wtem... krzyk! — Pierwszy cios trafił ofiarę. Chwila ciszy— owa przeraźliwa chwila, w której zda się cała wieczność się skupiła... I znów krzyk straszny, krzyk zemsty i śmierci.....

Jak orgia zemsty się potęguje, jak Elektra świeci powracającym do domu Egistowi, jak go krzyczącego i szarpiącego się niewidzialna ręka mściciela od okna odrywa, jak w końcu Elektra w ekstazie krwiożerczej zemsty tańczy swój okropny taniec śmierci—tego niepodobna lepiej odtworzyć.

Elektra Hofmannstahala jest tylko zwierzęciem, tak jak Salome Wilde'a. Brak jej cech ludzkich i to przyczynia się właśnie, do wywołania pewnego wstretu w widzu. — Gdyby nie ten wstret, tragedia byłaby dziełem zupełnie dobrem, gdyż poza potęgą akcji

jest w niej piękność formalna Ifigenii Goethe'go, przezroczość Maeterlinck'a, staro-biblijna ekstaza, i rzewność Hofmannsthala.

Ludzkości terażniejszej brak talentów czystych i wielkich, które byłyby w stanie dowieść „urbi et orbi“ potęgi tryumfu piękna, ponad wszelaką brzydotą, któreby znów oswobodziły z więzów Prometeusza, znękaną trywialnością codziennej szarzyzny duszę.

„Elektra“ jest piękną obietnicą na przyszłość, tembardziej, że Hofmannsthal ma dziś zaledwie lat 30.

JAN KACZKOWSKI.

Na scenie i na estradzie.

Po panu Ludwiku Śliwińskim, którego przed trzema laty postawiono u steru dramatu i komedyi w charakterze „reżysera głównego,“ objął w styczniu r. b. rządy p. Bolesław Ładnowski, ze skromnym tytułem „reżysera.“ Przymiotnik „główny,“ pochodzący od „głowy,“ tak został w ciągu tego trzylecia zdyskredytowany, że wstrzymano się od użycia go przy nowej nominacji. Nie jest zresztą ta nominacja nową, bo wszakże p. Ładnowski był właśnie tym, którego zlużował p. Śliwiński, powołany jako opatrnościowy reformator teatru i uzdrowiciel suchotniczyceli jego finansów. Dziś zatem, kiedy te finanse na dobre już dogorywają, p. Ładnowski będzie znów reformował zreformowany przez p. Śliwińskiego teatr, a co jest najcharakterystyczniejszem w tem, widocznie epidemicznem, przypadkowaniu wyrazu „reforma,“ to zabawna okoliczność, że zarówno p. Ładnowski, ustępując, pewnym był powrotu, jak p. Śliwiński, ustąpiwszy, przekonany jest, że powróci. I obaj mogą mieć słuszość; teatr nasz bowiem nie rozwija się, tylko obraca się, a raczej oscyluje koło jednej osi, najdłuższej zatrzymując się w dwóch znakach zodykalnych: Raka i Panny. Oddaliliśmy się przed paru miesiącami od Panny, teraz znajdujemy się na zwrotniku Raka, a oś obrotu jest zawsze jedna i ta sama — aktorstwo.

Dramat i komedia kręcą się koło niej z taką wytrwałością, że wprowadzona obecnie przez p. Ładnowskiego innowacja: głosowanie aktorów nad obsadą sztuk, wygląda jak abdykacja dyrekcji z resztek władzy, broniącej interesów teatru. Rzecz dziwna, gdy niezbyt dawno temu próbowano w reformatorskim paroksyzmie nawiązać układy z literatem o kierownictwo repertuaru, pertraktacje rozbiły się właśnie o kategorię odmowę dyrekcji

powierzenia obsady ról kierownikowi artystycznemu: literat nie zaskarbił sobie tego zaufania, którem cieszą się aktorzy; kancelaryjny wstręt do literatury zwyciężył. Na jak długo?—któż to może określić. To pewna, że na supremacyę literatury w teatrze przyjść musi pora. *Tout arrive* — powiada Francuz, a wszystko dziś w całym świecie potwierdza jego aforyzm. Więc czekajmy!

Tymczasem utworzono w teatrze Rozmaitości coś w rodzaju *comité de lecture* Komedyi francuskiej, wtedy naturalnie, kiedy ten przestarzały organ zniesiono w *Théâtre Français*, jako szkodliwy dla sztuki. Zabawka może być u nas o tyle niewinna, o ile wota artystów będą miały znaczenie głosów czysto doradczych. Chcemy wierzyć, że p. Ładnowski, artysta poważny, szczerze miłujący sztukę i pragnący niewątpliwie oczyścić atmosferę z nagromadzonych przed nim miazmatów prywaty, nie zdecyduje się oddać najważniejszej atrybucji kierownika na pastwę chorobliwych ambicji i fałszywych apetytów; chcemy wierzyć, że i artyści, rzucając do urny swoje głosy, kierować się będą jedynie pragnieniem poparcia kolegi w jego usiłowaniach podźwignięcia z upadku pierwszorzędną niedyś sceny polskiej.

I.

Zanim obecna recydywa reżyserska dostarczy nam obfitszego materiału do dyagnozy krytycznej, przypatrzmy się dorobkowi repertuarowemu z ubiegłych trzech miesięcy. Cztery nowości wystawiono w tym czasie na naszej scenie dramatycznej, a choć jedna z nich tylko miała tytuł „Bagienko,“ możnaby, nie dopuszczając się przesady w uogólnianiu, ogarnąć tą nazwą świat, występujący we wszystkich czterech utworach i nawet wobec ostatniego porzucić rzeczownik zdrobniały. Nad owem „bagnem“ w literaturze załamywano ręce i rozdzierano szaty. Wyznaję szczerze, że mi się ten patos nie udziela. Widzę moralistę, satyryka, poetę, nihilistę stojących nad trzęsawiskiem. Rovetta patrzy na nie pod kątem etycznym; p. Perzyński chłoscze faryzeizm mieszczański; p. Gorceyński ze współzuciem spogląda na idealne kwiaty młodości, zwarzone mroźnem telmieniem życia; Wedekind wykrzywia cesarowo-kabotyńską twarz niszczycielskim śmiechem. Żaden z nich nie wmawia we mnie, że bagnisko jest kryształowem wód zwierciadłem, odbijającym niebo, a każdy z innego punktu w odmienną zagłębia je perspektywę. I te właśnie różne

horyzonty interesują, a przede wszystkim wskazują „bagienko“ czy bagno nie tam wyłącznie, gdzie je część krytyki widzieć chciała — w erotycznym rozwichrzeniu. Około moczarów ciągną się zwykle łąki o grząskim gruncie, nęcące zielenią i barwnym kwieciami. Zdaje się, że wśród bujnej trawy i wonnych kwiatów stapać można pewną nogą, a tu ziemia zapada się pod stopami. Tak zdradnie wygląda świat nierozwiczrzonych, zrównoważonych, a obłudnych natur ludzkich. Po trzęsawisku snują się postacie niewieście; naokoło nich chodzą ludzie, przekonani że zdala są od bagna; tymczasem oni to właśnie, nie czując tego, brną coraz bardziej w mokradłach. Kobiety zaś rozmaicie wyglądają: jedna jak ptak z postrzelonem skrzydłem kryje się w nadbrzeżnych zarosłach; inna ma blade migotanie błędnego ognika; inna jeszcze niby wonny kwiat wybujała na błotach, a jest i taka, która z kosmicznych otchłani wynurzyła się, jako „duch ziemi.“

Literatura i życie zadają tu sobie pytania: co należy do fikcji, co do rzeczywistości? Odwieczna antynomia, która może w tej chwili jaskrawiej, niż kiedykolwiek na jaw wychodzi. Kobieta przebywała w literaturze współczesnej najosobliwsze fazy. Najprzód ukochano w niej, ubóstwiano anioła, wielbiono kapłankę Dobra i Piękną; potem ukamienowano, znieawidzono i wdeptano w błoto, jako naczynie wszelakiego grzechu. Fanatycy praw kobiety bronili w niej wcielenia cnót, lepszej połowy człowieka, wybawicielki ludzkości; po nich cynicy, nie poprzestawszy na wpatrywaniu się w samo oblicze niewieście, zdziwili się, natrafiwszy zuchwałym rzutem oka na piętna „ludzkie, zabardzo ludzkie.“ Kobieta wydała im się ciałem tylko, zwierzęciem, zmysłowością, to jest tem wszystkim, czem są właśnie owi patrzący, których to „odkrycie“ tak rozsrożyło. Dziś znowu inny wiatr zawiął i wszystko tak wygląda, jakgdyby kobieta, wydostawszy się z piekła, gdzie ją poeci pograżyli, rozpoczęła nowe wniebowstąpienie.

A tymczasem życie powtarza za Pascalem: „*L'homme n'est ni ange ni bête.*“ I jeżeli nie chce o tem wiedzieć Wedekind, tworząc swego „Ducha ziemi“ współcześnie z kobietą Elleną Key, to pamiętają w różnym stopniu o aforyzmie Pascala, Rovetta, pp. Perzyński i Gorczyński. Stopniowanie jest tem ciekawsze, że natury kobiet, unoszących się niżej lub wyżej nad bagnami, są częściej niż wszelkie inne skomplikowanym produktem życia, nasiąkniętego literaturą, i literatury wyrosłej z życia. Z takiej zaś mieszaniny najłatwiej wyblyskują krańcowe a sztuczne kontrasty. Zobaczmy tedy, jak się te aliaże przedstawiają na scenie.

W bohaterce „Dwóch sumień“ Rovetty najwięcej jest czystego pierwiastku miłości, choć i jej nie oszczędził autor bagnistych domieszek. Annę Stöber uwiódł niegdyś p. Katon Archangheli i porzucił gdy została matką, wraz z dzieckiem, zamorzonem gdzieś na mamkach. Stało się to przed rozpoczęciem dramatu, którego pierwsze sceny przedstawiają nam pokrzywdzoną, jako metresę malarza, Andrzeja Morelli'ego. Artysta jest szwagrem dawnego kochanka Anny, a między uwiedzeniem jej i świadomem oddaniem się innemu mężczyźnie nie upłynął przeciąg czasu, pozwalający przypuszczać obudzenie się nowego uczucia. Więc skądże się to wzięło? Czy Anna Stöber jest naturą nadpsutą, ze zmysłami, niepoddającemi się żadnej idealniejszej aspiracyi? Tak i nie. Sponiewierana nauczycielka powoduje się w pierwszej chwili zemstą, którą spodziewa się wyrzucić na pierwszym kochanku, zarzuciwszy się na kogoś z jego rodziny, dyktującej społeczeństwu prawa moralne z wygodnych wyżyn „ludzi ze stanowiskiem.“ Posiadanie dopiero zrodziło miłość, a to *dopiero* nietylko że jest minusem uczucia, ale w wynikach swoich staje się zawodnem, bo obudziwszy w kobiecie serce, mężczyznę doprowadziło do przesyty.

W chwili podniesienia zasłony, Andrzej nie kocha już Anny; inna miłość, świeższa, głębsza, zapowiada kres malarskiej sielanki. Artysta i nauczycielka wiedzieli przecież, że się to raz skończyć musi; zdawało się więc Morelli'emu, że szczerze wypowiedzenie prawdy, przyjacielskie podsumowanie rachunków sercowych przyjdzie obojgu z łatwością. I takby było niewątpliwie, mimo protestujące w duszy Anny uczucie, gdyby nie fatalność, która widocznie prześladowuje nieszczęśliwą kochankę. Anna ma znów zostać matką — i to wystarcza Andrzejowi, żeby wyrzekł się spodziewanego z inną szczęścia. Serce mu się krwawi, ale *jego* sumienie nie pozwala mu iść w ślady tego, kto był pierwszym sprawcą niedoli jego kochanki.

A tymczasem ten ktoś ma znów *swoje* sunienie i uzbrojony w „zasady,“ żąda od uczciwego człowieka, ażeby się na jego wzorował uczciwości. Zdaniem Katona Archanghelli'ego, Morelli powinien pamiętać, co winien swemu stanowisku i swojej sferze, jak on niegdyś o tem wszystkim pamiętał, opuszczając kobietę, którą kochał i która daremnie odzywała się do jego uczuć ojcowskich. Jest więc walka „dwóch sumień,“ w którą Rovetta, dla efektu teatralnego, wciągnął i Annę Stöber, stawiając ją wobec widza w świetle dość niepewnem. Już ten widz zajął względem bohaterki odporne stanowisko, dowiedziawszy się, że Anna w cza-

sie stosunkowo krótkim należała do dwóch szwagrów; teraz, kiedy sam fakt występuje plastycznie na scenie, kiedy widzimy ją konkretnie między obu kochankami, kiedy słyszymy jednakowe jej do jednego i drugiego rekryminacje, wśród których wszyscy familijnie „per ty“ się traktują — trudno obronić się od pewnego niesmaku. I jeden tylko byłby ratunek przed tem nieprzyjemnem wrażeniem: gdyby punkt ciężkości sytuacji z większą siłą zawazył na owej walce „dwóch sumień.“

Taka była prawdopodobnie intencya autora, dla niej prawdopodobnie obojętnie traktował swoją heroinę. Rovetta lubi zagadnienia sumieniowe; za jedno z nich, podniesione w „Nieuczciwych,“ otrzymał nawet niegdyś nagrodę od rządu włoskiego, oceniającego dramat, jako tragiczną przestrożę wśród rozsrożonej wtedy epidemii Panamy i Panamina. Czy utwór Rovetty był istotnie tą przestrożą, czy miał owo zapobiegawcze znaczenie — nad tem zastanowiły się już sądy, rozpatrując sprawę *banca romana*; nam wystarczy tu zaznaczenie, że z intencją polityczno-społeczną, czy też bez niej, dramat uderzał w widza jak obuchem, sprawiając mu fizyczne prawie wstrząśnienie gwałtownością scen, w których zagrożona etyka używa tego samego argumentu, co podkopujące ją niepoczytalne instynkty, — pięści. Z tych dzikich zapasów poczucia moralnego z fatalizmami życiowemi, okazuje się, jak na dłoni, że występny czyn, potępiony przez człowieka, który go sądził teoretycznie, wydaje mu się koniecznym, nieuniknionym w chwili, kiedy on sam, popełniwszy nieubłaganemi okolicznościami, spełnić go *musi*. Motyw taki może chrześcijańskiemu moralistcie posłużyć za ilustrację słów: „niech ten, kto czuje się bez grzechu, pierwszy rzuci kamień,“ albo też być dla deterministy dowodem przeciwko wolnej woli i bezwzględności pojęć moralnych; w gruncie rzeczy jest to tragedia „dwóch sumień,“ rozgrywająca się w jednej ludzkiej duszy. Zupełnie inaczej przedstawia się ta dwoistość, kiedy autor, wydobywszy ją z wewnętrznej areny, w której człowiek jest sam widzem i aktorem, obwinięnym i sędzią, rozstrzuwa zwykłą tezę „dwóch miar,“ stosowanych przez obłudę towarzyską, w starciu z poczuciem wyższych prawd moralnych. Walka, zredukowana do powszedniego dyalogu między dwoma protagonistami, traci swój tragiczny charakter: ludzie zamiast żyć — argumentują; akcyja wygląda, jak rozwiązywanie logicznego zadania.

To też nie interesuje się nią publiczność. Nawet połączenie Numy i Pompiliusza, jako wynik zwycięstwa „dobrego sumienia,“ zostawia ją zimną, nie poznaje bowiem widz autora „Doryny,“

spozstrzegacza o trzeźwym, często ostrem na świat spojrzeniu, o ręce pewnej, niekiedy brutalnej, ale stawiającej na nogi ludzi bardzo żywych, bardzo plastycznych. Nie poznali go i artyści, — więc się dziwić nie można, że przedstawianym przez nich postaciom brakowało żywej indywidualności.

Z „bagienka“ arystokratycznego, w którym „osoby dystygowane“ brną wytwornie, po miękkich stąpając kobiercach, zanurzamy się głębiej w mieszczańską kałużę, dokąd nas wprowadza „Lekkomyślna siostra.“ I znów błota wydaje się więcej naokoło wykołonej bohaterki, aniżeli pod jej stopami. Tak wyraźnie chciał p. Perzyński — a z tej jego intencji bije jednocześnie bardzo jaskrawa satyra na moralność „burżojów“ i pada bardzo niepewne oświetlenie na tytułową heroinę. Świadkiem „lekkomyślności“ Maryi Topolskiej był Wiedeń; my tego nie widzieliśmy. Wszystko stało się niegdyś, dawniej, przed podniesieniem teatralnej zasłony i wiemy tylko tyle, że dziewczyna samowolna, niezawistego charakteru, zmuszona została przez wroga dla niej usposobioną familijkę do oddania ręki człowiekowi bardzo uczciwemu, którego jednak kochać nie mogła i że po kilku latach męczarni, uciekwszy od męża i dziecka, dała się porwać wirom lekkiego życia nad „pięknym modrym Dunajem.“ Ile było w tej awanturycznej wyprawie po szczęście wrodzonej deprawacyi, ile rozpaczliwego buntu przeciw nienawistnym więzom, o tem autor milczy dość dyskretnie, a nawet z pewną ironiczną finezyą przedstawia nam Maryę po raz pierwszy w efektownym kontraście między wizerunkiem zbłąkanej kuzynki, wyczernionym przez rodzinę, a rzeczywistością w postaci kobiety nieśmiałej, zalęknionej, jedynie tęsknotą za dzieckiem przypędzonej do Warszawy. Ukazanie się Maryi w progach domu braterstwa poprzedziła walna rada familijna, na której rozpowiadano sobie z rozkoszą najpotworniejsze wieści o pierwszych chwilach pobytu w mieście bezwstydnej grzesznicy. Ktoś ją widział w biały dzień nietrzeźwą z różnymi mężczyznami; kto inny zdybał rozpustnicę, wyjeżdżającą o świcie z nocnej restauracyjnej pohulanki w wesołym towarzystwie. Słowem hańba, z którą trzeba będzie ustawicznie spotykać się oko w oko, może nawet pod własnym dachem. Ta ostatnia groźba spełnia się w naszych oczach: Marya staje przed swymi sędziami, a fizyognomia jej, całe zachowanie się i sposób bycia tak odskakują od namalowanego przedtem portretu, że widząc, wpadając mimowoli w drugą ostateczność, powiada sobie: „to wszystko musi być fałsz — kto wie nawet, czy egzystuje ów bogaty jegomość, który jakoby opiekował się w Wiedniu „lekkomyślną“ siostrą.“

myślną siostrą.“ Wygląda to, jakgdyby autor chciał koniecznie obudzić iskierkę sympaty dla swej bohaterki; tymczasem p. Perzyńskiemu chodzi przedewszystkiem o antypatyę dla jej otoczenia.

Pierwszą ku tej antypaty satyryczną suggestyę łatwo odczuć w rysunku całej rodziny, w odwracaniu na nice, z widoczną lubością, etyki tej familijki. Brat starszy, spokojny filister, bez woli, bez charakteru, tłumi niedogaszzone jeszcze iskierki życzliwości dla siostry pod pantoflem żony, która, romansując z płatnym kochankiem, na schyłku Balzakowskiego *rubikonu* mężatki, najgłośniej krzyczy na niemoralność „lekkomyślnej siostry“; młodszy brat, zdyszany w gonitwie za posagiem i gotów każdej kupcowej sprzedać swą młodość za dobrą cenę, dowcipkuje na temat wiedeńskiego opiekuna; nawet kuzynka-gąsiątko charakteryzuje się na strwożoną cnotę, choć ją pożera ciekawość przyjrzenia się światowi swobody, do którego dostęp otwiera niecnota.

Jakie przyjęcie zgotowali Maryi ci wszyscy „porządni ludzie,“ łatwo się domyślić, zwłaszcza że niepoprawna buntownica odtrąciła wyciągniętą do zgody rękę męża, pod błahym dla rodziny pozorem, że nie kochała go nigdy, i dziś, jak i dawniej, kochać go nie może. Pragnęła tylko zobaczyć dziecko, a jeżeliby, porzucając dotychczasową egzystencyę, miała pozostać w Warszawie, to zamieszka sama i jako pani własnej woli spróbuje uczciwie urządzić sobie życie. Na odpowiedź nie czeka długo. Uragliwym gestem pokazano jej drzwi — niech wraca do wiedeńskiego błota.

Nieopatrzni! Zapomnieli, że nie trzeba nigdy pluć w studnię, z której można się napić bodaj brudnej wody. Nie przypuszczali, że umrze ów wyszydzony opiekun Maryi i olbrzymią zapisze jej fortunę. A jakie horyzonty otwiera ta wiadomość przed zdradnie zaskoczoną i do nieprzytomności olśnioną familią! Starszy brat mógłby „dużo dobrego zrobić dla przemysłu krajowego“; młodszy oczyści się z długów i będzie *un parti sortable*; pani bratowa wydobędzie się z nieprzyjemnych powikłań z fałszowaniem przez kochanka weksłami; nawet cnotliwa kuzynka raz przecie użyłaby życia na Rivierze. Wszystko to za pieniądze obdarowanej, której znowu tak bezwzględnie potępiać nie należy, bo w rezultacie była tylko trochę... lekkomyślną, a nie godzi się skruszonej, żałującej tamować drogi do poprawy. Trzeba więc pisać do niej co tchu — niech przyjeżdża.

Przyjechała, zdziwiona wezwaniem, jeszcze bardziej zdumiona fizyognomią rodziny. Są-ż to ci sami ludzie, którzy ją tak

niedawno z domu wypędzili? Co za błogość na wszystkich obliczach rozlana, jaka słodycz płynię z każdego słowa, jak okrągło rysuje się każdy gest, jak to wszystko opromienione jest słonecznym uśmiechem! I w tej scenie występuje cała bezwzględna zawziętość satyryka, niecofająca się nawet przed karykaturą.

Bo to jest karykatura. Ci ludzie niezawodnie wszystko to myśleli, co mówią, wszystko to zrobili, co się dzieje w naszych oczach, tylko w życiu brzmiało to i wyglądało inaczej. W zapędzie satyry p. Perzyński popełnił błąd, którego dopuszczala się w swoim czasie tak zwana *comédie rosse*; kazał ofiarom swej *observation cruelle* zdradzać się na benefis widza z tem, co zwykle na jaw nie wychodzi, co zawsze zostaje na dnie duszy podobnych okazji, a jeżeli się uzewnętrznia, to jedynie w obłudnie ostrożnych, stroniących od cynizmu formach. Ale autor miał w zanadru jeszcze jeden kontrast: pilno mu było pokazać, jak będzie wyglądać szanowna kompania, kiedy się dowie, że Marya, zamierzywszy szczerze na inne drogi życie swoje skierować, zaczęła od tego, że zrzekła się zapisu protektora. Skamienieli wszyscy, jakgdyby „lekkomyślna siostra“ zjawiła się w postaci Meduzy. A potem maski opadły i wściekłość wykrzywiła te same twarze, które przed chwilą jaśniały zachwytem. Jakto! Tak po szalonemu zawieść obudzone już zaufanie; nie mieć względu, że przecież rodzinie należał się udział w tej pięknej schedzie! I co teraz? Pracować, jak wyrobница, i pracą przynosić wstyd familii? Niechże sobie waryatka szuka dachu gdzieindziej — tu niema miejsca dla awanturnicy, która tak niewdzięcznie znalazła się względem „swoich.“

I Marya Topolska po raz wtóry odtracona idzie sobie bez jednego słowa skargi.

Dokąd pójdzie? Czy wróci do dawnego brudu? I jakie myśli zrodzą się w jej skołatanej głowie, gdy porówna *swoje* błoto z tem *ich* bagnem, z którego się przed chwilą wydostała? Autor pozwala nam się wszyskiego domyślać; wystarcza mu abominacya, jaką obudził w publiczności dla zgrai filistrów. Mniejsza o to, że przesadził; może nawet wie o tem i z intencją szedł śladem nowoczesnych malarzów, tworzących „syntezę dusz,“ bez troski o realistyczny wygląd, o życiową plastykę postaci. Wszakże satyra jest właściwie taką syntezą. Niech więc wykrzywi się czasami karykaturalnym grymasem, byle w niej pulsowały głębsze tętna natury ludzkiej. I bicie ich czuć w sztuce p. Perzyńskiego, który te rytmy chwyta z temperamentem urodzonego komedypisurza. „Lekkomyślna siostra“ jest objawem

obietującego talentu; miejmy nadzieję, że przyszłość przyniesie teatrowi a może literaturze coś więcej, prócz zapowiedzi.

Sztuka młodego autora grana jest dobrze. Odznaczają się w niej pani Ludowa, doskonała, pełna werwy salonowa jędza i p. Wostrowski, niewyczerpany w galerii młodych, cynicznych nicponiów. Pani Przybyłko, jako Marya, przeniknąwszy widocznie intencję autora, szczerością i prostotą wydobyła zamierzony efekt przeciwstawienia, dzięki któremu familia występuje w wyjaskrawionej satyrycznej plastyce, a bohaterka artystycznie rozpływa się w półtonach i półcieniach.

Doszliliśmy po szczeblach, prowadzących ku nizinom moralnym, aż do „Bagienka“, które autor już po imieniu nazywa. Istotnie, dwuznaczności tu żadnych być nie może. Helena jest sobie osóbką z półświatka, ojciec jej, muzykujący pijaczyna, był kuplerem przy „puszczeniu w świat“ swego dziecka, a w wolnych chwilach od muzyki i rajfurstwa fałszował weksle kochanka córki, słowem, *eine kleine aber nette Gesellschaft*. A jednak, jakies punkty świetlne w malowaniu tych figur wydobywają z ich fizjonomii niespodziane rysy. Zwłaszcza Helena miewa błyskawicowe ocknienia, wśród których wesoła dziewczyna zdaje się chwilami zstępować w ciemne swej duszy głębiny i wtedy wydaje się, jakgdyby odbijały się na jej obliczu odbłaski poezji, promieniującej ze studenckiej miłości Stefana Przyszańskiego. Bądźmy jednak spokojni: nie spotkamy się z „Dumą Kaneliową“, ani z jej pokutniczymi suchotami. Helena nie jest Małgorzatą Gauthier; Stefan nic niema wspólnego z Duval'em. A jeżeli wcisnęła się między nich literatura, to prędzej Tołstoj ze swoim „Zmartwychwstaniem“, aniżeli Dumas ze swoją rehabilitacją. I co do tej literatury, nikt się nie łudzi, nikt jej za wyraz życia nie bierze, a najmniej sam p. Gorczyński, poczynając sobie, mimo swoją młodość, jak Dumasowski „człowiek, który wie.“ Autor wie co warta jest Helena i nie stara się o „idealizowanie“ swojej bohaterki, tylko niema do niej sekciarskiej nienawiści, nie deklamuje o „apokaliptycznej bestyi“, grożącej zagładą ludzkości, i umie w sercu miotanem nawałnicą krwi podsłuchać czystsze uderzenia. Autor wie również co trzymać o literackiej namiętności Stefana, ale kolegom jego śmiechem nie chce wtórować i życiu pozostawia rozwianie utopijnych marzeń. Jest w tem dziwna mieszanina trzeźwości, obserwującej jasno, plastycznie, z poezją, zadumaną nad rozwiewnością młodzieńczych iluzyj. Stąd spokojna szczerść, która nie wygląda cynicznie; stąd lekki odcień smutku, w którym niema ani śladu sentymentalizmu, a te pozornie sprzeczne

pierwiastki tak się artystycznie kojarzą, że para oryginalnych kochanków zyskuje nowe, do pewnego stopnia, oświetlenie.

Zeszło się dwoje ludzi, niby dobrowolnie pełniących ku sobie wzajemną skłonnością: jemu się zdaje, że kocha wielką miłością, wytapiającą w ogniu z brudnych rud najczystsze złoto; ona właściwie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się w niej i koło niej dzieje, ale doznaje nowych, niedoświadczanych dotąd wrażeń, które ją czasem bawią, a często lękiem jakimś przejmują i właśnie w przystępach tego lęku miewa jasnovidzenia prawdziwej swojej natury.

— Człowiek, który się ze mną połączy, będzie zgubiony — mówi Helena, wiedząc już o zamiarach małżeńskich Stefana, jakby targnięta jakimś odruchem rozpaczliwej samokrytyki.

I taki okrzyk, z serca wyrzucony, ciśnię się przez usta tej samej dziewczyny, która przed chwilą kusila zmysłowo w przyległym pokoju muskularnego kolegę Stefana i która za chwilę brutalną ręką zedrze narzeczonemu łuskę z oczów, biegnąc niepowstrzymanym pędem w objęcia pierwszego kochanka. W każdym z tych trzech momentów jest Helena szczerą niepoczytalnie a bez deprawacyi; każdy oddzielnie i wszystkie razem składają się na psychologię istoty, która nie jest *ni ange ni bête*. I ta właśnie psychologia, kombinująca umiejętnie materiały wybuchowe do eksplozji bujnego temperamentu, świadczy, że młody autor ciekawo jest tajemnic „człowieka wewnętrznego“ i że rad zastanawia się nad niemi.

Tak widzi Helenę p. Gorczyński; tak oczywiście widzieć jej nie może Stefan Przyszański i musi mieć naturalnie swój własny kąt patrzenia. Wykreślił mu go autor z niemniejszą natury ludzkiej znajomością. Zaślepienie? Bynajmniej; młodzieńcowi nie jest tajną przeszłość tej, którą zamierzył pojąć za żonę. Apostolstwo? Może; choć w najliryczniejszych uniesieniach „odkupiciela przez miłość“ odzywają się chwilami akcenty smutku, goryczy, zwątpienia, prawie niewiary w podjętą „misję.“ Więc odbywa się w naszych oczach bolesne zmaganie dwojga kochanków, nie będących właściwie kochankami, dzięki oplątującemu ich dusze i ciała niaporozumieniu, które sobie wzajem narzucają i wmawiają. Jego platonizm wytrwa, choć się czasem chwieje; jej temperament niepojmując dlaczego ma sobie dobrowolnie pęta nakładać i zerwie je przy pierwszym z dawnym życiem zetknięciu. Już na widok portretu tego, który ją niegdyś w rozkosze miłości wtajemniczył, drgnęła Helena pod ukłóciem wspomnień, kojarzących w sobie dreszcze nienawiści i ekstazy; oryginał potrzebował

tylko spojrzeć, żeby w moc swoją zagarnąć na nowo całą istotę dziewczęcia. Ostatni pożegnalny pocałunek, wyciśnięty na ustach studenta-marzyciela, jest naiwnym w swej namiętności protestem przeciw bezinteresowności narzeczonego; poczem zatrzasnęły się drzwi za ptakiem, wyfruującym z rozkoszą z idealnej klatki. Helena wraca tam, skąd wyszła i gdzie ją oczekuje pierwszy inicjator. I to właśnie charakteryzuje ostatecznym rysem bohaterkę, broni ją od natarczywości literackiego motywu, od słymej *nostalgie de la boue* Augiera. Nie — to nie wygląda jak „tęsknota za błotem,“ kto zaś chce koniecznie objaśniać psychologię z pomocą literatury, niech sobie raczej przypomni „Magdalenę Ferrat“ Zoli i całą tę historię kobiety, noszącej we krwi przez całe lata ogień pierwszych pocałunków i pieszczot. Ta nieubłagana pamięć zmysłów miewa, jak samo życie, swoje tragedye i komedye; a jakże często tkwi na dnie najidealniejszej stałości kochanków!

Czuł to widocznie p. Gorczyński i znalazł poetyczny wyraz dla kończącego sztukę rozdźwięku. Stary wyga, ojciec Heleny, szukający nadaremnie przez całe życie melodyi na swoich skrzypcach, na wiadomość o ucieczce córki, powraca do kieliszka, z którym się był chwilowo rozstał przy Helenie, próbującej żyć samą poezją. Co teraz będzie z melodią, tłoczącą mu się już pod smyczek? Trzeba nastroić skrzypki; kręci więc kabotyn kołki niepewnymi palcami wyżej, wyżej, coraz wyżej, aż struna, nie mogąc wytrzymać napięcia — pęka.

— Nie dała się dostroić — mówi muzykus z żalem, który zdaje się być nutą autora i do pewnego stopnia udziela się widzowi. Nikt nie wątpił ani na chwilę, że struna się przerwie — i to zasługa spostrzegacza; jednak, gdy struna pękła, doznaje się jakiejś nieokreślonej przykrości — i to zasługa poety.

Trzebaż przedstawiać kolejne momenty akcji tego komedyo-dramatu paradoksalnej miłości? Jest ich nie wiele, a wszystkie bardzo proste. Stefan, student wydziału prawnego, uprawia w wolnych chwilach malarstwo, w którym, lubo dyletant, doszedł do pewnej technicznej brawury. Z tych aspiracyj artystycznych korzysta stryj jego, świadomy stosunku synowca z Heleną Woynickówną, ażeby pod pozorem zamówienia portretu swego przyjaciela, Jerzego Wielohradzkiego, pierwszego „opiekuna“ znanej sobie dobrze dziewczyny, rozerwać ten stosunek, grożący skandalem, zwłaszcza od chwili, kiedy niepoprawny idealista zamierzył ożenić się z córką niedoszłego kryminalisty. Obu tym panom powiodło się, jak widzieliśmy, dość łatwo. Obaj ci panowie mają niewątpliwie społeczną rację; a jednak coś od nich odpycha, coś

meufność budzi do najślusniejszych nawet argumentów, pod którymi czuć przemycanie osobistych egoizmów. Stryj, stary birbant, wygląda jakgdyby utożsamiał moralność z dystynkcyą, dobrym tonem, godnością klasową. Wielohradzkiemu bardzo to na rękę, że interesy etyki towarzyskiej godzą się tak dobrze z interesami jego wesołego kawalerstwa; obaj, jako reprezentanci rzeczywistości życiowej, mają w fizyognomii wyraz jakiejś starczej brzydoty, w której, zwłaszcza u Wielohradzkiego, nie brak nawet rysu cynizmu, zaczerpniętego wprost z „bagienka.“

Jakie zaś w cynizmie odcienia wprowadzać umie p. Gorczyński, świadczy figura studenta dekadenta, podtrzymująca z nadzwyczajną fantazyą wskroś całej sztuki motywy humoru. Wyśmienity jest ten humor za swoją pogrzebową zwrotką *memento mori*: zabawna jest ta mowa zaręczynowa, rozpoczynająca się od słów: „żałobni słuchacze.“ Ten filozof, śmiejący się ze wszystkiego, ze wszystkich i z siebie samego wśród studenckich conceptów na cmentarne tematy, napisze może kiedyś „Taniec miłości i śmierci“ i śmiać się będzie z czytelnika, ale nawet wtedy gdy dowcip jego zabarwia się cynicznymi jaskrawościami, czuć że te fajerwerki zapala ogień młodości, który ma w sercu siedlisko i który gdzieindziej, kiedyindziej jasnym może wybuchnąć płomieniem. Ta młodość właśnie, krążąca przez całe trzy akty „Bagienka,“ oddziaływa na widzów, poddających się chętnie jej urokowi.

Odczuli widocznie prąd jej i artyści, bo sztuka p. Gorczyńskiego grana jest wzorowo. Rolę marzyciela słusznie powierzono p. Rolandowi; szczerzy ten artysta telnał w nią wszystkie zasoby swego rzetelnego uczucia i dał im wyraz prawdziwej siły. Heleną jest pani Przybyłko, która po nieudanej kreacji w „Małym domku“ trzyma się starannie na wodzy i w postaci dość skomplikowanej stara się umotywić przedewszystkiem „ocknienia“ stropionej nową atmosferą dziewczyny. Pan Wojdałowicz stworzył wyborny typ bankruta moralnego, traktowany z niepospolitą finezyą. Pan Wostrowski, jako dekadentki karawaniarz, gra z nieocenionym dowcipem, pp. Szobert (student litwin), Prażmowski (stryj Stefan) i Wolski (Jerzy Wielohradzki) dopełniają wykończoną starannie całość.

II.

Jeżeli na Blocksbergu są bagna, to tam zapewne Franciszek Wedekind miał wizyę nowoczesnej nocy Walpurgowej, rozgry-

wającej się dziś na różnych scenach pod nazwą „Ducha ziemi.“ Nie znaczy to bynajmniej, żeby ostatni mohikan *überbrettlów* pochodził z rodziny Faustów: nie wygląda na mędrca, który „pilnie studyował wszystko, nawet teologię“; nie widać też w nim, mimo tajoną do tego pretensyę, ani śladu pokrewieństwa z Mefistofelem, z ową „siłą, która wciąż złęgo pragnie, a zawsze dobre tworzy.“ Ten kabaretowy dyabeł za często pozuje na demoniczność. Ale deski teatralne, zaludnione jego widmami, naprawdę sprawiają wrażenie jakiegoś Brokenu, gdzie opary zatrutych trzęsawisk, zgęszczone w ludzkie kształty, mkną fantastycznym korowodem, jakby w szalonym tańcu drapieżnych instynktów, chuci wynaturzonych, zbrodni „bez nazwy.“

Jedno chyba zbliżenie z „Faustem“ następuje się pod tem wrażeniem: ewokacya „ducha ziemi.“ Zakląwszy z czarodziejskiej księgi straszliwą duszę kosmiczną, staje Faust przerażony wobec wywołanego widziadła; po chwili jednak już się czuje blizkim temu duchowi, którego wzloty cały świat ogarniają. Ale duch ziemi z pogardą mu odpowiada: *Du gleichst dem Geist, den du begreifst, Nicht mir.*

I znika.

„Podobnyś do ducha, jakiego sam pojmujesz—nie do mnie.“

„Duch ziemi“ Wedekinda jest też duchem, jakiego on pojmuje, a pojmuje go ze stanowiska... pogromcy w menażeryi. Kąty widzenia oddaliły nas od Goethego: „duch ziemi“ zmienił płeć—jest teraz kobietą. Boją się go wszyscy, jak złąkł się onego czasu Faust, znalazłszy się twarz w twarz z tajemniczem zjawiskiem: ale boją się na różny sposób. Dumas mówi z grozą o „nowem wcieleniu kobiety w potwore, szukającą odwetu na mężczyźnie przez jego zmysły za tysiące lat niewoli i bezsilności“; Zola oddaje zoologicznej kobiecie-samicy rząd nad życiem ludzkości; Strindberg, fanatyk-kobietozerca, widzi w kobiecie niszcycielkę społeczeństwa, megere, podkopującą świat bezwstydną i tajemniczą siłą swej płci; wreszcie kobieta schyłkowa, ideał dekadentów, koścista *androgyna*, dźwignąwszy się na wyżyny nieledwie abstrakcyjne, chłonie tam, niby sfinks nowożytny, każdego, kto nie rozwiąże stawianej przez jej znieprawioną wyobraźnię zagadki nowych nieznanych pragnień. Tak było dotąd. A teraz znowu zwierzę? Można by Wedekindowi zarzucić, że nie jest dość *moderne*, gdyby autor „Ducha ziemi“ nie śmiał się z modernizmu, jak się śmieje ze wszystkiego, gdyby nie specjalne cechy tego śmiechu. Wszzechwładztwa nad menażeryą nie trzeba brać zbyt poważnie; czerwony frak pogromcy, spodnie łosiowe i buty

ze sztylpami zbliżają menażeryę do cyrku, a w cyrku, przez skojarzenie myśli, przypominają clowna.

Assocjacya bynajmniej nie przypadkowa. Jeżeli bowiem w prologu, który zapowiada okazy menażeryjne z główną przyręcią — węzem o głowie kobiecej, imponująco występuje ten poskromiciel drapieżników kiedy potrząsa batem nietzscheańskim a oracyę swoją punktuje wystrzałami rewolwerowemi, to samo przedstawienie wygląda tak, jakby niem clown kierował. Clown, przypatrujący się nocy Walpurgowej — to w każdym razie coś niezwykłego.

Niezwykły bo też i clown. Smutnym go ktoś nazwał — i z tego określenia próbowano snuć psychologię twórcy i jego dzieła. Próba ryzykowna. Wytrzymał ją wprawdzie papier, ale nie wytrzymuje Wedekind. Szukałem tego smutku, dosłuchiwałem się owego „przykrego w duszy dźwięku zerwanej struny,“ dobadywałem się „pogrzebanego w sercu poety bólu, który nie chce umrzeć,“ chciałem odczuć jego „cierpiącą wesołość.“ Wszystko napróżno. Cóż stąd, że się w literaturze Wedekinda powtarza ustawicznie *leitmotiv*: „to życie jest wstrętnie smutne“; cóż stąd, że patos jego akcentuje chętnie nuty szyderstwa; cóż stąd, że liryzm jego zdaje się drgać wzruszeniem! Z *leitmotivu* nie wysnuwa się melodia; sarkastyczne patetyzowanie czy też patetyczny sarkazm z lubością sam sobie się przysłuchuje; wzruszeń zaś liryzmu bacznie pilnuje kontrolujące uczucie zawodowego literata; a wszystko: smutek, patos, urąganie, liryzm potrzebują publiczności i estrady... potrzebują nadsceny. Same przez się, same dla siebie, jako pierwiastki twórczej nieświadomości — nie istnieją. Może ten i ów kusiłby się znaleźć je w nowellach Wedekinda, gdyby te nowelle nie zostawiały wrażenia baniek mydlanych, do których ktoś dla efektu napuścił dymu tytoniowego. Zrazu przezroczyste, igrające najcudniejszemi barwami, przygasają w swej świetności, zmacone od wnętrza kłębiącym się obłoczkiem; mienia się potem odcieniami drogocennych opalów i — pękają. Kolory opalizowane zabawiły dzieci-czytelników; obłoczкови z dymu przygląda się z zadowolonym uśmiechem jegomość o tęgiej, przysadzistej postawie, z napoleońską, gładko wygoloną twarzą, z kruczemi włosami, spadającemi na szerokie czoło, z miękko zarysowanemi ustami, w których kokietyryjnie sterczy papieros.

Ten jegomość jest niewątpliwie interesujący, choćby tylko dlatego, że trudno określić jakim sposobem interesuje, jakie barwy wśród jego kameleonowych przemian najłatwiej pochwycić się dadzą. Ironią przypomina chwilami Heinego, bez artyzmu twórcy

„Księgi pieśni“; w paradoksach jest blizkim Wildego, ale niema jego wytworności. Lubi żeby go podziwiano jak sfinksa i najszczęśliwszy jest, kiedy sfinkсовy rebus może rozwiązać arlekinadą. Czemże tedy działa na publiczność? Tem, co nowożytny widz albo czytelnik lubi nad wszystko: brutalnością, udającą się; akrobatyzmem duszy, który każe się domyślać skomplikowanej natury; grymasem tajemniczości, suggestywnym przepaściste głębie; cynizmem wreszcie, lekkim a pachnącym jak... koszulka niedyskretnej damy.

Jaki pisarz, taka twórczość. Scharakteryzować ją również nie łatwo. Czasem skarbczyk cennych migotliwych biżuteryj; czasem gabinet osobliwości; niekiedy panopticum z godzinami zarezerwowanemi dla mężczyzn, z intencją zaciekawienia kobiet i z osobnym *chambre of horrors*; najczęściej—menażerya.

I do menażeryi wrócić nam wypadnie, skoro mówić mamy o „Duchu ziemi“; powracając zaś, trafiamy odrazu na karmienie zwierząt. Bo niczem innym nie są pierwsze trzy akty sztuki Wedekinda.

Potworek z ciałem *boa constrictor* a z obliczem Wenery *vulvivaegae* dostaje na pożarcie trzech z kolei mężów. Skąd się wzięła ta Lulu? Komu zawdzięcza życie, kto ją na świat wydał? Nikt o tem nie wie, nawet najpierwszy jej „antrepreneur“, nawiasem mówiąc, pyszna, epizodyczna sylwetka, stary astmatyczny wyjadacz po wszystkich kominkach prostytutcy, który, podobnie jak owa anegdotyczna ciotka, w braku matki rodząca andrusa, uchodził niekiedy z miłosierdzia za ojca bezdomnej dziewczyny. Z życiem, ze światem zetknął ją po raz pierwszy występek: ukradła na ulicy zegarek i tylko subtelnemu znawstwu owego antreprenera, który w ślicznym podlotku odgadł odrazu przyszłą Astartę, zawdzięczała omińnięcie policyjnych progów. Później poszło wszystko jak z płatka. Przemycany ojciec stał się kochanka troskliwym opiekunem, kierującym dalszemi krokami pupilki, a pod tak doświadczoną dyrekcją zwierzątku rosły szpony i zęby *querens quem devorant*. Strawy nie brakło — lecz Lulu łaknęła coraz wytworniejszej. Kobiecie rozkwitłej jak wspaniały kwiat, roztaczającej naokoło czary, którym nikt się nie mógł oprzeć, potrzeba było stanowiska nie tylko w pół, lecz i w całym świecie, potrzeba było męża. Wybór jej padł od samego początku na utalentowanego redaktora, utrzymującego z nią najtrwalszy stosunek; redaktor jednak bronił się, w trwodze o swoją karierę, z rosnącym przerażeniem wobec napastniczo wojującego zepsucia kobiety, które sam rozpętał, pieszcząc się, jak filister, z własną deprawacją,

a które teraz węzowemi ściszało go spłoty. Wtedy to egoizm wyrafinowanego mieszczaucha zrobił go dostarczycielem szyldów małżeńskich dla niewygodnej kochanki. Co się pod osłoną tych szyldów sprzedawało, kupowało i przemyślało, kto padał ofiarą takiego handlu, o to oczywiście nie dbał pomysłowy redaktor, byleby mu Lulu nie przeszkadzała w sielankowych marzeniach o „gniazdku rodzinnym“, o „zaciszu domowego ogniska.“ I udaje się to dopóty, dopóki znajdują się amatorowie „wchodzenia do klatki.“ Więc w pierwszym akcie widzimy Lulu, jako żonę podstarzałego sangwicznego milionera, który, zdybawszy ją w podejrzanym sytuacji z artystą, malującym jej portret, pada śmiertelnie rażony apopleksją. Malarz jest naturalnie następcą zmarłego przy interesującej wdowie, ale dowiedziawszy się w drugim akcie o nieznanym przedtem przeszłości żony, rozjaśnionej mu przez usłużnego redaktora, działającego zawsze pod groźbą awanturniczych zamachów kochanki na jego spokój, z rozpacz podryzyna sobie gardło. Trzeci akt jest dla Lulu momentem tryumfu, z wytrwałym okrucieństwem przygotowanego. Jesteśmy świadkami doskonałej sceny, w której zahypnotyzowany węzowym wzrokiem redaktor, pisze w garderobie teatralnej, gdzie Lulu zmienia stroje do swoich baletniczych występów, list do obecnej w widowni narzeczonej, z oznajmieniem, że nie może być jej mężem, bo w tej chwili znajduje się przy boku kobiety, która posiada nad nim nieograniczoną władzę. Tu koniec menażeryi; pogromca dostał się w paszczę drapieżnicy. Wypadki ostatniego aktu są już rodzajem fantasmagoryi. Czy jednak to, co się dotąd stało ma w przeciwstawieniu do zakończenia cechy rzeczywistości?

Rzecz dziwna! Wedekind, indywidualność groteskowa ale wyraźna w konturach, niema daru tworzenia indywidualnych postaci. Świat jego, bogato zaludniony, pstry, różnorodny, wydaje się bezcielesnym. Środki do wydobywania plastyki są wszystkie: rozmach w charakterystyce, skupienie w dyalogu, w akcyi życiowe rytmy. Ale wygląda to w rezultacie jak obraz kinematograficzny; życie chwytacby tam trzeba chyba między drganiem kinematografu. I tem osobliwiej to wszystko się przedstawia, że nad trzema aktami zdaje się istotnie przewodzić realistyczny bat pogromcy i jego brutalnie dramatyczne postrachy.

W ostatnim akcie cichną te odgłosy. Figury straciły resztę swoich konkretnych kształtów, spłaszczyły się do nikłości cieniów, osobliwszych, dziwacznych, śmiesznie wyolbrzymionych, tłoczących się na widza, który je odtrąca i w tejże samej chwili gdzieś

daleko spostrzega w zdrobniałych zarysach, jakby przez odwrotny koniec perspektywy teatralnej. Całe pandemonium ohydy mówi, porusza się, układa w sytuacje tragiczne, w pozycje komiczne; słyszymy słowa, patrzymy na gesty i wydaje nam się to zmorą. „Niema jednego kąta tego domu, który możnaby nazwać czystym,“ żali się pod swoim małżeńskim dachem ten sam redaktor, który z taką zimną krwią słał swoim poprzednikom podobne „gniazdka rodzinne.“ I Wedekind stara się o dotykalmą tych słów ilustracyę. Niema ani jednego kąta czystego, bo przede wszystkim niema ani jednego pustego. Kochankowie obojej płci chowają się wszędzie, po gabinetach, za kotarami, za firankami, nawet pod stołem, za którym przed chwilą siedział z żoną swego ojca syn redaktora, znieprawiony już przez macochę, spożywając śniadanie przy obsłudze rozwzdychanego z zazdrości lokaja. Siłacz cyrkowy, wsparty z podejrzaną poufałością na gimnaziście, któremu Lulu każe wahać upajające kwiaty przy obnażonej pierśi; histeryczna malarka, ścigająca redaktorową namiętnemi pocałunkami; zakasłany astmatyk, roztaczający nad gośćmi opiekę teatralnego ojca, — wszystko to rozpięrzchło się po różnych kryjówkach w przeczuciu blizkiej katastrofy. I katastrofa spada z piorunującą szybkością. Mąż napół już zdlawiony w abonacyjnym uścisku małżonki, którą sam sobie wychował, skazuje ją na śmierć samobójczą z naiwnością, źle świadczącą o jego bystrości redaktorskiej. Kto patrzył jak kończyli dwaj mężowie Lulu, ten powinien był przewidzieć, że kula z rewolweru, wciśniętego w rękę skazanej, trafi nie w zwierzę, lecz w pogromcę. Tak się też stało.

Czy ten strzał rozlega się na scenie jak odgłos realnego życia? Bynajmniej. Halucynacya pozostaje halucynacyą: mamy przed oczami sabat symbolicznych prawie potworności, harujących w komplecie na jakiejś legendowej Łysej górze, z rozkazu przebranego za szatana... clowna. Nie widać go tam, ale słycać śmiech jego nawet w luku rewolwerowym. Pokazuje nam tragicomedycę: pokazuje bez grozy wobec tragizmu, bez melancholii wobec komizmu, pokazuje z uczuciem *Schadenfreude* nad życiem, które mu się wydaje taką krwawą a fałką nędzną farsą. I o tym nastroju Wedekinda nie można zapominać, oceniając „Ducha ziemi.“ Odbija się on na fizyognomii bohaterki, czuć go w kontrastach sytuacyjnych, widać w budowie sztuki.

Jeden z krytyków, scharakteryzowawszy trafnie Lulu, jako „złą, głupią i piękną,“ mniej już słusznie rości z tego powodu pretensycę do autora, że jej demonizm z takich złożył pierwiast-

ków. Tymczasem przy filozofii życia, przenikającej cały dramat, inaczej być nie mogło. W komizmie tej głupoty, podszytej złością a przystrojonej pięknnością, tkwi właśnie cała tragiczność losów biednej ludzkości, poddającej się pod panowanie takiego „ducha ziemi.“ Śmieszny jest ten mąż, zacząjony na schodkach z rewolwerem, który kieruje w coraz inny kąt pokoju, do coraz innego gacha, ale ileż tragizmu jest właśnie w tej śmieszności, przedstawiającej zdecydowanemu na zbrodnię mścicielowi całą marność komedyi, w której musi za chwilę wystąpić, jako dramatyczny bohater! Konstrukcja dramatu narzuca widzowi despotycznie osobliwszą jakąś poetykę przeskoków od tragedyi do wodewilu; pogromca przeraża ją okropnościami, a clown za boki się trzyma, wyławiając z nich *das ewig Komische*. Tragikomedia — wołają z zapalem jedni, gdy znów inni, fanatyczniejsi wielbiciele tej „przełomowej“ literatury dopatrują się krępujących więzów nawet w takich luźnych formach produkcji scenicznej. Zapytajcie Wedekinda — powiadają — a on odrzeknie, wzruszając ramionami:

— Czego wy chcecie odemnie? Ja sam dla siebie gram „pospieszną komedję“; podążajcie za mną, jeżeli wam się podoba. Widzę pył na nerwach ludzkich i zdmuchuję go. Cóżem ja winien, jeżeli nie wiecie, że te zdmuchnięte atomy świecą mieniącemi się kolorami?

Mniejsza o definicyę, o etykietę, mniejsza o owe barwne atomy, które opadają z powietrza na niziny brudnym kurzem, jeżeli ich nie przeświecła promień poezyi; faktem jest, że „Duch ziemi“ ma powodzenie nie jako „pospieszna komedya“, ani jako pył rozmigotany, tylko poprostu jako melodramat, którym Wedekind szarpie najgrubsze nerwy, zamiast na nie dmuchać. U nas jest w tem powodzeniu inny jeszcze czynnik — gra artystów, może dlatego właśnie tak dobra, że wolno jej oscylować między dwoma krańcami, między melodramatem i komedją, w czem celują aktorzy naszej sceny. Jeżeli ta charakterystyka ogarnia zespół grających w sztuce Wedekinda, to wyosobnić z niej trzeba takich artystów, jak pani Marcello-Palińska, pp. Frenkiel i Śliwicki. Z racyi właśnie tej melodramatyczności, można było obawiać się, że pani Marcello, artystka wczorajszego typu, przeładuje nią postać Lulu i zamało w niej będzie „dzisiejszą.“ Obawa, jak się okazało, była płonną. Pani Marcello jednym rozpędem niepospolitego talentu przebyła przestrzeń, dzielącą *wczoraj* od *dziś* i tak utrafiła w ton kreacyi Wedekinda, że publiczność przyjemnie tą niespodzianką zaskoczona, podziwiała postać żywą, utrzymaną od początku do końca z nadzwyczajną konsekwencyą w na-

stroju tragikomicznym. Zadanie było trudne; wymagało taktu, miary, powściągliwości i subtelnego cieniowania; pani Marcello przewyciężyła wszystkie trudności, jak prawdziwa artystka. Pan Frenkiel jest w swoim żywiole: gra jedną z tych figur, których komizm plastyczny, dotykalny, osłania zabawnie ciemne głębie dusz, niepokojących w świetle dziennem. Dawny impresario występów pięknej Lulu na arenie swobodnego życia, imponuje w grze znakomitego artysty groźnym prawie humorem. W małej roli nieszczęśliwego malarza potrafił pan Śliwicki dużo zmieścić uczucia. Pan Nowicki nie dał swemu redaktorowi podkładu filisterskiego sobkostwa i zatarł tym sposobem interesujący kontrast z modernistycznymi rysami znerwowanego dziennikarza. Nie zapomnijmy o starannem dostrojeniu się do całości pp. Leszczyńskiego i Wostrowskiego, pań Bogusławskiej i Rolandowej.

Przeznaczwszy sztukę Wedekinda do wystawienia, wpadł p. Ładnowski na szczęśliwy pomysł powierzenia reżyserii p. Śliwickiemu. Młoda inicjatywa, młoda inwencja potrzebna jest do obudzenia życia w modernistycznym utworze. Taką inicjatywę czuć było w scenery i w zestroju wszystkich artystów. Pan Śliwicki zarekomendował się, jako zdolny i pomysłowy reżyser.

III.

W teatrze Wielkim spotkały się ostatniemi czasy dwa nazwiska oddawna na tej scenie zapomniane: Herold i... Offenbach. Spotkanie oczywiście przypadkowe, ale niemniej interesujące. Stały obok siebie dwa momenty z historii muzyki teatralnej, spojrzwały sobie oko w oko: tkliwa matka z lekkomyślną córką — opera komiczna z operetką — i jakgdyby dla załagodzenia rodzinnej rozterki stały w najartystyczniejszych swoich kształtach. Offenbach zwłaszcza wygląda jakby już czuł zbliżającą się śmierć, jakgdyby robiąc przed zgonem rachunek z całego życia, ze wszystkich grzechów swej twórczości, powracał wspomnieniami do szczęśliwych lat młodości, do najczystszej krynicy natchnienia, które czerpał z opery komicznej. W tym ostatnim, wstecznym rzucie oka ujrzał zapewne i dyskretnie dramatycznego „Zampę“ i wytworną, śliczną „Pré aux clercs,“ przypomniał sobie prawdopodobnie szlachetny, pięknie wówczas kwitnący typ francuskiej *opéra comique*, może pożałował swoich wycieczek na manowce i dogorywając już, zapragnął w „Opowieściach Hoffmana“

raz jeszcze złożyć hołd minionej młodości. I Herold mógłby, nie wstydząc się, przyjąć ten hołd skruszonego twórcy „Pięknej Heleny.“

„Zampa“ datuje z doby ostatecznego skryształizowania się talentu Herolda. W początkowych utworach, jako akompaniator śpiewaków w operze włoskiej, zdecydowany naśladowca Rossiniego, tworzył swoje ostatnie dwie opery pod wpływem Webera i Beethovena; francuska lekkość nasiąknęła germańską zadumą; niemieckie pochodzenie odezwało się dyskretnie w muzyce Herolda, który był naówczas jedynym może kompozytorem francuskim, chętnie nastrajającym swoją twórczość na ton nieokreślonej melancholii, zrezygnowanego smutku. Z gniazda germańskiego nie wyniósł jednak Herold mglistości. Muzyka jego, ujęta w formy wyraźne, przezroczysta i łatwo zrozumiała, ma obok naiwności — siłę, obok powagi — wdzięk. Frazes szeroki, płynny, melodyjny, działa wewnętrzną treścią i ani w liryzmie, ani w dramatycznym napięciu nie zapożycza efektów od orkiestry, dźwięcznej bez hałasu, jasnej bez oschłości, kombinującej szczęśliwie brzmienia i wiernie współczującej bohaterom zarówno w wielkich perypetiach, jak w łagodnych wzruszeniach.

Trzebaż z powodu wznowienia „Zampy“ przypominać treść libretta, piękności partycy i miniaturową w tem wszystkim parafrazę „Don Juana“? Sądzę, że to zbyt uczte i zdaje mi się, że takie przypomnienie można snuć tylko na gruncie historii sceny lirycznej, do czego ogólna charakterystyka kompozytora w zupełności wystarcza. Powodzenie „Zampy“ w chwili ukazania się tego dzieła na scenie paryskiej Opery Komicznej (1831) było tak nadzwyczajne, siła jej dramatyczna wydała się tak wielką, że domagano się dla niej przestworów Wielkiej Opery. Dość jednak rzucić okiem na partycę, żeby się przekonać, że te wszystkie naiwne proste motywy, obficie tam rozrzucone, czarują w takich właśnie ramach, do jakich je stworzono: że harmonia, instrumentacja, urozmaicone i dowcipne straciłyby wdzięk zajmujących szczegółów w warunkach głośniejszej brzmienności. Z akustyką czasu dzieje się to samo, co z akustyką przestrzeni: nikną w niej różne dzieła. jeżeli do słuchania ich nie stanie się w odpowiednim punkcie historycznego rozwoju muzyki, pod właściwym ewolucyjnym kątem. Nie można panującej dziś poetyki wagnerowskiej przykładać do twórczości Herolda; ale kto umie, oderwawszy się od chwili bieżącej, wsłuchać się w grę dźwięków, płynących do nas na falach przeszłości, ten „Zampę“ oceni, jako śliczną perełkę dawnej opery komicznej, a ułatwi mu oddanie się tym retrospek-

tywnym wrażeniom artysta tej miary co Battistini, który w interpretacji jest typowym przedstawicielem szkoły śpiewaczej, wytworzonej przez repertuar z początku minionego stulecia.

Podobnego usposobienia domagają się w słuchaczu „Opowieści Hoffmana“; stawiają go nawet w trudniejszej pozycji, żądając, żeby przy słuchaniu kompozycji Offenbacha zapomniał przede wszystkim o... Offenbachu. Nie trzeba na przedstawieniu „Opowieści“ myśleć nietylko o Tetralogii, ale nawet o „Orfeuszu w piekle.“ Wypadnie sięgnąć do „Małżeństwa przy latarniach,“ do „Piosnki Fortunata,“ aby odetchnąć zapachem młodości i poezji, której melancholiczną reminiscencją jest ta urocza trzyaktowa fantazya.

Już sam wybór libretta był niejako odstrzychnięciem się od świata karykatury, która, zadając gwałt muzyce zrodzonej z uczucia, pod łatwym pozorem satyry urągała wszelkim uczuciom i wykrzywiła melodyę grymasem cynicznej swawoli. Zdawałoby się że przed wejściem w krainę tajemnicy, skąd się nie wraca, Offenbach uczuł jakąś trwożliwą ciekawość i wysłał tam na zwiady fantazyę, dawszy jej za przewodnika Hoffmana.

Trudno było o lepszego towarzysza. Ów królewiecki wizyjoner, płocki koncepista i warszawski referent uniał podróżować po tej krainie. Istny Rabelais w szerokim śniechu, Sterne w kaprysach zgryźliwego humoru, zagłębiał się Hoffman wyobraźnią Poëgo w mistyczne zaświaty, gdzie zdobył swoje powieści fantastyczne, a z germańskiego materiału francuscy fabrykanci, ze zwykłą u nich zręcznością, wykroili tekst pod muzykę, szczęśliwie skombinowany z trzech najwdzięczniejszych opowiadań. Hoffman, jako główny bohater opery, ma właśnie zwierzyć się w piwiarni wesołym kamratom ze swoich miłostek; ale słuchacz zamiast narracji, jest świadkiem rozwijającej się w akcyi historii trzech kochanek opowiadającego. Pomysł librecistów nastręczał i muzykowi bogate pole do inwencji. Każdy akt rzucony na inne tło, na inny ton nastrojony i w odmiennej utrzymany charakterystyce, domagał się od kompozytora rozmaitego rysunku melodyi i odrębnego kolorytu orkiestrowego. Ostatnim wysiłkiem dużego talentu, Offenbach stanął na wysokości dość trudnego zadania. Muzyka pierwszego aktu z bohaterką lalką, w której kocha się Hoffman, nie domyślając się, że przedmiotem jego miłości jest mechaniczna zabawka, zajmuje lekko archaicznym *Zopfen*, dowcipnie charakteryzującym zarówno śpiew, jak orkiestrowy jego podkład. Uczta u weneckiej kurtyzany, wabiącej Hoffmana w akcie drugim, ma zmysłowe, namiętne akcenty, ale niktby w nich nie poznał Offen-

bacha z kankanowych bachanalij; dekoracya Włoch zrobiła swoje i uszlachetniła artyzmem zasadniczy motyw barkarolli, płynącej jak westchnienie za niepowrotnemi wzruszeniami. W trzecim akcie młoda artystka, umierająca tajemniczą śmiercią, nie mogąc wyrzec się śpiewu, którego jej dla utrzymania przy życiu zabroniono, mimowoli potrąca myśl ku symbolom. Heroina zdaje się być upostaciowaniem sztuki, zanikającej pod fatalnym wpływem jakiegoś demona. Tę sztukę kochał zapewne Offenbach: uczucia jego wypowiedają się w lirycznych uniesieniach śpiewaczki, w miłosnych porывach kochanka; ale odebrał mu oblubienicę zły duch, znieprawiwszy w nim duszę muzyki; może dlatego walka z demonein brzmi tak dramatycznie. Kończą się te uplastycznione scenicznie opowieści powrotem do piwiarni i hulaszczą piosneczką knajpujących. Dla Offenbacha nie tak się, niestety, skończyły. Umarł, nie doczekawszy przedstawienia, nie uporawszy się nawet z instrumentacją, którą, po śmierci kompozytora, do porządku doprowadził Ernest Guiraud. Zyskała na tem niewątpliwie partycyca kunsztowniejszą sukienkę; ale pod ozdobami sukienki rysują się kształty, które są dziełem kompozytora lepszego, niż jego reputacya. Autor „Pięknej Heleny“, „Orfeusza w Piekło“, „Księżniczki Gerolstein“ mógł być bardzo głośnym; twórca „Opowieści Hoffnana“, „Piosnki Fortunata“ i „Małżeństwa przy Latarniach“ był bardzo utalentowany.

Scena teatru Wielkiego pamięta przed laty świetne przedstawienia repertuaru Offenbacha. „Piękną Helenę“ śpiewano u nas w komplecie, który mógł się produkować w każdym pierwszorzędnym teatrze. „Opowieści Hoffnana“ wystawiono na skromniejszą skalę, ale z najlepszymi siłami, jakie obecnie posiadamy. Dość tu wymienić pana Drzewieckiego, jako bohatera tytułowego, pannę Lucównę, wymarzoną przedstawicielkę „lalki“, panią Bogucką, traktującą partyę śpiewaczki z temperamentem artystki i młodą debiutantkę, ślicznym obdarzoną głosem, pannę Tracikiewiczównę w roli kurtyzany; dość przypomnieć wykonawców innych partyj: pp. Dylińskiego, Gorskiego, Tarnawskiego, ażeby dać wyobrażenie o udatnej całości, artystycznie ujętej, dzięki p. Podestiemu, w ramy orkiestrowe i choralne.

IV.

Przykład bywa zaraźliwy. Z wielkiej sceny operowej, operetka wkracza na wielką estradę koncertową: Filharmonia gościnn-

nie otwiera jej podwoje. Nie odrazu do tego przyszło: jest to jeden z kruchych, niebezpiecznych szczeblów, po których artyzm tej instytucji schodzi powoli na niższe już poziomy. Kiedy Filharmonia stała wysoko i zdawała się zdążać ku coraz podnioslejszym ideałom sztuki, stwierdzaliśmy to zawsze z rzetelnem zadowoleniem; gdy się odwraca od idealnych celów i ku dołowi zstępuje, trudno na to zamykać oczy i trzeba ten nieprzyjemny fakt zanotować.

Od pewnego czasu zastanawiały nas objawy tego odwrotu, zrazu odosobnione, potem szeregujące się w jakąś taktykę, i staraliśmy się odgadnąć przyczynę takiego odwrotu, który jedynie jakąś porażką dałby się usprawiedliwić. Otóż jedna tylko siła wyższa mogła zadać Filharmonii taką porażkę: zobojętnienie publiczności — a tej właśnie, przeciętnie biorąc, nie wykazała frekwencya w Filharmonii. Sporadyczne wypadki, wywołane obecnym nastrojem ogółu, zgnębionego stanem niepewności i trwożliwych jakichś wyczekiwań, nie mogą tu wchodzić w rachubę; publiczność popierała i popiera szczerze instytucję, której zawdzięcza dużo wytwornych wrażeń; musi być więc błąd jakiś w kierowniczych poglądach na tę instytucję, który za sobą pociąga artystyczne omyłki. Jestto prawdopodobnie ten sam błąd, jaki popełniają i nasze teatry: opieranie swoich podstaw materialnych na przypuszczeniu, że sala codziennie będzie napełniona, bez względu na europejską w tych rzeczach praktykę. Nigdzie nie istnieje teatr codziennie wyprzedany; nigdzie niema Filharmonii codziennie wypełnionej i z tem trzeba się liczyć, to trzeba przewidywać, zamiast chwytać się „sposobów“, niewyrównywających rachunków a obniżających sztukę.

Źle już jest, kiedy do kierownictwa instytucji artystycznej zaczynają wdzierać się „sposoby.“ Pomijam różne wycieczki Filharmonii na boczne ścieżyny, na których oddalała się od zasadniczego swego zadania; posiadamy tak mało pomocniczych, kształcących urządzeń, że niewinne imitacje berlińskiej Uranii i różne próby prelekcyjno-pedagogiczne mogły jako tako żyć w zgodzie z muzyką. Ale produkuje, uciekające się do efektów reżyserskich, przynęty „ciemni mistycznych,“ cały humbug Izadory Duncan, komentującej nogami Beethovena i Chopina, cały skandal Yvetty Guilbert, stylizującej swoje *chansons grivoises* z wyrafinowaniem starej kabotynki,—to już pochyłość, po której niedaleko było do operetki. I tę przestrzeń przebyła Filharmonia. Wszakże widzieliśmy na estradzie panią Łaską; słuchamy teraz „natłoczeni koło estrady“ panny Kaweckiej; maluczko a znajdzie się „numer gwi-

zdany“ w programie, który niedawno przecie zapraszał na „wieczór operetek.“ Zapewne, że Filharmonia może wystąpić z argumentem o „entuzjazmie publiczności,“ ale tego właśnie argumentu niema prawa użyć instytucya, która dumnie kroczyła szlakiem wielkiej sztuki pod hasłem „umuzycznienia,“ „kształcenia artystycznie“ Warszawy.

„Żałosny koniec“ miał naturalnie swoje „miłe początki.“ Poprowadzono odrazu Filharmonię z takim sumptem, wyszafowano odrazu tak nieopatrznie wszelkie atrakcyje, przykuwające publiczność do wirtuozów, zamiast do muzyki w wielkim stylu, że przyszła chwila, kiedy już Europa nie mogła nam dostarczyć nic nowego. A że atrakcyi trzeba było za jakąbądź cenę, w imię fikcyjnej zasady pełnej co wieczór sali, więc po Europie przyszła kolej na... teatr Nowości.

Próba, mimo początkowe sukcesy, ryzykowna; zaprotestować przeciw niej może lepsza część publiczności, przez samą Filharmonię wychowana. Przed tem ryzykiem, przed takim protestem godzi się ostrzedz instytucję, która zbyt poważnie do niedawna traktowała sztukę, ażeby nie miała do niej trafić poważna przestroga, z całym dla jej zasług uznaniem wypowiedziana.

W. BOGUSŁAWSKI.

Pułaski w Ameryce.

Zawód amerykański Kazimierza Pułaskiego był kilkakrotnie kreślony w języku polskim,¹⁾ lecz nigdy na podstawie badań źródłowych. Za dwa główne źródła, z których czerpali nasi kompilatorzy służyły: „*Resztki rękopisu Macieja Rogowskiego*“ przez K. Gaszyńskiego (Paryż 1847), oraz krótki życiorys Pułaskiego, skreślony po angielsku, przez J. Sparks'a w jego seryi życiorysów amerykańskich („*American Biography*“ Ser. 2-ga, tom IV). — Sygurda Wiśniowskiego odczyt p. t. *Pułaski w Ameryce*, dodał do tego kilka listów Pułaskiego drukowanych w zbiorze Sparks'a p. t. *Correspondence of the American Revolution*, a obejmującym listy generałów do Waszyngtona.²⁾

Źródła te wszakże są bardzo niedostateczne. Życiorys Sparks'a pisany był wprawdzie na podstawie bogatego materiału, zawartego w korespondencji Waszyngtona, lecz samo bogactwo

¹⁾ L. Chodźko streszcza pamiętnik Rogowskiego, L. Siemieński, uzupełnia go wyciągami z życiorysu Pułaskiego przez Sparks'a. Ten sam materiał służył i Kraszewskiemu w jego *Tulaczach*.

²⁾ *Correspondance of the American Revolution being Letters of Eminent Men to G. Washington*, 4 tomy, Boston 1853. Rozumie się jest to tylko bardzo mały wybór z ogromnego zbioru listów, który w Archiwach Waszyngtońskich obejmuje przeszło sto ogromnych tomów autografów.

Mylnie przypisują Wiśniowskiemu poszukiwania archiwalne zarówno Tad. Korzon w stosunku do Kościuszki, jak i autor monografii Pułaskich. Wszystko co podał Wiśniowski o tych dwóch bohaterach, zaczerpnięte było z materiałów drukowanych, które sumiennie wyzyskał.

materyału, obok rozległości prac autora, stały się przyczyną, że życiorys ten wypadł bardzo pobieżnie. Wśród rękopisów po Sparksie pozostałych, a przechowywanych w bibliotece Harvard University (w Charleston pod Bostonem), znaleźliśmy sporo materyałów przez niego nie wyzyskanych.

Autentyczność pamiętnika Rogowskiego ogłoszonego przez K. Gaszyńskiego jest wątpliwą. Po raz pierwszy na to zwrócił uwagę autor pracowitej monografii o Pułaskich, ogłoszonej w VIII t. Złotej Księgi Żychlińskiego. Z podanych tam ustępów listów Kraśińskiego do Gaszyńskiego widocznem jest że „Resztki rękopisu“ są utworem Gaszyńskiego, wzorowanym na Pasku. Niektóre jednak fakta, pomieszczone w pamiętniku Rogowskiego dziwnie zgadzają się z wykrytymi przez nas w archiwach — ztąd przypuszczenie, że Gaszyński przy komponowaniu Pamiętnika Rogowskiego posiłkował się materyałami rękopismieniami, może nawet notatami Rogówskiego.

Źródłem, z którego czerpaliśmy materyał dla szkicu niniejszego, są przeważnie listy Kazimierza Pułaskiego adresowane do Kongresu lub do Waszyngtona, przechowujące się w Bibliotece Ministerjum Spraw Zagranicznych w Waszyngtonie.¹⁾ Obok tego szereg listów jego lub do niego pisanych znajduje się tu i owdzie w bibliotekach lub prywatnych zbiorach w Ameryce. Obfite żniwo dały wymienione wyżej papiery Sparks'a.—Sprawa spadku po Pułaskim, kilkakrotnie wznawiana od r. 1845, wywołała missywę („message“) prezydenta do Senatu wydrukowaną w aktach Kongresu w r. 1887²⁾ a zawierającą nieco listów i innych dokumentów, które znaleźliśmy w archiwach, obok tego jednak parę takich, których już w archiwach nie było. Po za tem liczne zbiory materyałów surowych, drukowane przez Towarzystwa Historyczne, pojedynczych państw związkowych, pamiętniki generałów i inne podobne źródła, które w miarę użycia wymienimy.

Spisy żołnierzy i rachunki Legii znajdują się w Ministerjum Wojny, Sztandar Legii (którego opis we właściwem miejscu poda-

¹⁾ Biblioteka ta zawiera główne archiwa historyczne dotyczące Związku. Papiery dotyczące pojedynczych państw związkowych (stanów) przechowują się w ich stolicach. Listy generałów do Waszyngtona obejmujące około 120 tomów i Korespondencya Kongresu Sądowego, stanowią dwie główne serie, z których czerpaliśmy.

²⁾ 49 th Congress 2 d Session Senate. Ex Doc. № 120.

jemy) przechowuje się w niewielkiej szafce szklanej w muzeum Tow. Historycznego Maryland (w Baltimore), gdzie go oglądaliśmy.

I.

Przybycie do Francji. — Nawiązanie stosunków. — Wyjazd do Ameryki.

Po upadku Konfederacji Barskiej, po niefortunnych próbach działalności w Turcyi i tułaczce po Europie, Kazimierz Pułaski znalazł się we Francji już w październiku 1774 r., a mianowicie w Marsylii.

W niewydanym dzienniku Sapieżyny z Lubomirskich, z którego korzystaliśmy, znajdujemy pod datą 30 listopada następującą notatkę: „Tylko co otrzymałam od biura pocztowego w Strasburgu¹⁾ list Pułaskiego dla Bohusza, który zawieruszył się był aż do chwili bieżącej. Datowany jest 24 października z Marsylii podpisany nazwiskiem Eninga. Jest to ten sam, o którym mi wspominał w liście do mnie adresowanym, a który już przed miesiącem odebrałam. Przedstawia stan swój jako bardzo smutny. Powiada, iż ma jedną tylko koszulę i odzienie tureckie na sobie i zaklina, aby mu przyjść z pomocą. Bardzo mnie martwi stan tego nieszczęśliwego, nie wiem co się z nim stało od owego czasu i w jaki sposób mogę mu być użyteczną.“

Z innej notatki tegoż dziennika widzimy, że stan ten opłakany był wynikiem zdrady pewnego oficera francuskiego Cravate, który roztrwonił powierzone mu w Turcyi pieniądze.

Pani Sapieżyna gorliwie zajęła się pomocą udając się przede wszystkim do de Rossi'ego, majora pułku korsykańskiego, znajdującego się w Marsylii, który natychmiast ofiarował Pułaskiemu niewielką pożyczkę. Z relacyi Rossi'ego dowiadujemy się, że Pułaski miał sześciu towarzyszących mu oficerów, z którymi dzielić musiał wszystko, co los mu posyłał. W tej liczbie znajdował się Zajączek, który natychmiast udał się do Sapieżyny z prośbą o umieszczenie go w służbie francuskiej przy jakiegokolwiek legii.

¹⁾ Stałe mieszkanie Sapieżyny było w Strasburgu; chwilowo bawiła w Paryżu.

Z dalszej korespondencji wyjaśnia się, że Pułaski ma zamiar spędzić zimę w Marsylii, prosi przeto panią Sapieżynę o list polecający do markiza de Rochouart, komendanta tego miasta. Jednocześnie prosi o starania u Arandy, posta hiszpańskiego, który miał proponować Wielhorskiemu przyjęcie Pułaskiego na służbę hiszpańską. Plan ten wszakże rychło upadł: 14 stycznia 1775 r. otrzymała Sapieżyna odpowiedź Wielhorskiego: wszystkie zabiegi jego okazały się daremnymi, nawet i służba hiszpańska zawiodła. „Chciałbym widzieć go w jakimkolwiek mieście włoskiem, dodawał, gdyż oświadczone mi pozytywnie, że nie życzą go sobie w Paryżu.“

Przyczynę takiej nieżyczliwości łatwo zrozumiemy, jeśli przypomnimy sobie okoliczności, wśród których Pułaski kraj opuścił. Niepomyślna próba porwania króla, wykonana przez Strawińskiego, przedstawiona była fałszywie jako zamach królobójczy, z polecenia Pułaskiego wykonany. Nic nie pomogły protestacye Pułaskiego w gazetach ogłoszone; skazany został przez sąd sejmowy 2 września 1773 r. na utratę czci, szlachectwa wraz z potomstwem, imienia i dóbr, na ucięcie głowy i prawej ręki, ćwiartowanie i spalenie ciała oraz rozwianie popiołów.

Wyrok ten sądu, jakkolwiek niesprawiedliwy, wystawiał Pułaskiego w oczach opinii europejskiej, jako królobójcę, a nic dziwnego, że żaden z dworów nie chciał go mieć w służbie swojej; francuski zaś chociaż związany zobowiązaniami moralnemi względem niedawnego spółnika, odznaczający się wszakże szczególną obawą obrażenia obcych mocarstw, nie życzył nawet jego przybycia do Paryża.

Tymczasem major Rossi donosił o rozpaczliwem położeniu Pułaskiego (dług jego urosł do 5000 liwrów). Księżka Kurlandzka, do którego przez pośrednictwo księżny Krystyny udawała się p. Sapieżyna, odpisał w wyrazach pełnych uznania dla Pułaskiego, przeciwko któremu użyte zostały „fałsz i oszczerstwo, aby oddalić z Polski najgodniejszego z jej obywateli.“ Nie mógł wszakże, jak oświadczał, okazać p. Kazimierzowi (którego nazwisko boi się w liście wymienić) swej przyjaźni inaczej, jak tylko donosząc jego rodzinie o obecnem jego położeniu. „Przez księżnę Kurlandzką, żonę swoją, która ma wielki wpływ na matkę owego nieszczęśliwego, mam nadzieję uzyskać, iżby mu posłano pomoc jaknajrychlej.“ Ofiarowane przez pośrednictwo ks. Krystyny 100 dukatów mogły pokryć zaledwie drobną część długów, które razem z zaciągniętymi w Turcyi zaobowiązaniami urosły do 15,000 liwrów.

Na szczęście wiadomości przesłane przez ks. Kurlandzkiego nawiązały stosunki ze starościaną Warecką, która przesyła synowi raz po raz znaczne sumy pieniężne, jak świadczą ślady korespondencji polskiej z owego czasu, które doszły do wiadomości autora monografii Pułaskich. ¹⁾

Z listów tych widzimy, że Pułaski wciąż bawi w Marsylii. Pamiętniki Sapieżyny urywają się na początku r. 1775 i następną bezpośrednio wiadomością o Pułaskim znajdujemy dopiero na drugiej półkuli.

Pomiędzy papierami Silas'a Dean'a, który wysłany został w lipcu 1776 do Francji, jako tajny agent amerykański, znajduje się list Pułaskiego z datą 17 sierpnia 1776 r., w którym ofiaruje usługi swoje sprawie amerykańskiej.

„Panie—pisze Pułaski—od chwili gdy zmuszony byłem opuścić Polskę, szukałem sposobności do zastosowania swoich zdolności wojennych. Przedsięwzięcie moje podczas wojny Turcy z Rosją nie powiodło się i naraziło mnie na nieszczęścia i straty nie dające się naprawić. Zmusza to mnie obecnie do przedsięwzięcia pewnych kroków powodujących opóźnienie w wykazaniu gorliwości swojej ku przyczynieniu się ze swej strony do powodzenia się sprawy amerykańskiej.

„Byłbym już przed rokiem przedsięwziął ową podróż, a osoby zajmujące bardzo wysokie stanowiska, którym zwierzyłem się z zamiarów swoich, doradzali mi to. Nie znając wszakże nikogo dosyć obeznanego ze sprawami tego kraju, zmuszony byłem pomimo najlepszych chęci zostawać nieczynnym. Przypadek zrządził, że spotkałem kawalera de Rabier de la Beaume, znającego dokładnie moje sprawy i moje imię, gdyż znał mnie ze słyszenia w Polsce. On to wskazał mi do kogo miałem się udać. Oto są, Panie, powody, które skłoniły mnie polecić jednemu z moich przyjaciół widzieć się z Panem, a rozmowa jaką Pan będzie miał z nim zdecyduje o mojem postanowieniu. Proszę mieć do oficera tego całe zaufanie, jakiego Pan miał dla mnie samego, upoważniłem go bowiem do traktowania w mojem imieniu. Mam zaszczyt i t. d.“

K. Pułaski. ²⁾

¹⁾ Złota księga. Tom VIII, str. 221.

²⁾ *Dean Papers.* „Collection of the Hist. Soc. of New-York“ 1886 r., str. 323.

Początek właściwy wojny o niepodległość kolonij amerykańskich datuje się od potyczki pod Zexington, która miała miejsce 28 kwietnia 1775 r. Wiadomość o niej mogła więc przyjść do Europy około połowy r. 1775. Jeśli zestawimy to z treścią i datą listu Pułaskiego, przychodzimy do wniosku, że postanowienie wyjazdu do Ameryki nastąpiło zaraz po otrzymaniu wiadomości o rozpoczynającej się tam walce orężnej.

Niema najmniejszej wątpliwości, że główną pobudką, która skłoniła Pułaskiego do tej decyzji, była cześć dla ideałów, o które podjęły walkę kolonie. Całe postępowanie jego i liczne ustępy z listów świadczą o tem. Obok tego wszakże, obok żądzy czynności i sławy, niektóre ustępy z listów późniejszych pozwalają domyślać się nadziei, że wawrzyny zdobyte w tej walce, przyczynią się do cofnięcia niesprawiedliwego wyroku i ułatwią powrót do kraju. Już w liście z 21 lipca 1776 r. prosi on siostrę „żeby o zniesienie dekretu sejmowego starania czynione były.“¹⁾

List do Dean'a pozostał zapewne bez skutku. Dopiero w następnym roku nawiązują się pertraktacje z drugim przedstawicielem tajnym Ameryki, Beniaminem Franklinem, który przybył do Francji w grudniu 1776 r. Pośrednikiem w tej sprawie zostaje znany autor dzieła o *Anarchii w Polsce*, nauczyciel historii polskiej Ludwika XVI, gdy ten był delfinem, Rulhière, któremu zapewne polecił tę sprawę Wielhorski. Fazę tę pertraktacyj odsłaniają nam „Faksymile“ Stevens'a.²⁾

4-go marca 1777 r. pisze Rulhière do nieznaney osoby, prawdopodobnie należącej do ministeryum spraw zagranicznych, zdając jej relacyę z rozmowy, którą miał z Franklinem z polecenia owej osoby, aby ułatwić Pułaskiemu podróż do Ameryki. Widział Franklina w Passy, w jego mieszkaniu. Agent amerykański był bardzo powściągliwy i oświadczył, że za mało zna sprawy polskie, ażeby mógł coś sądzić o proponowanym mu człowieku. „Wytłómaczyłem mu je, dodając to, do czego Pan mnie upoważnił, t. j. że całe postępowanie Pułaskiego i jego niewinność znane są w tym kraju; że zresztą jego odwaga i talenta wojskowe, zasoby jego

¹⁾ Złota księga. Tom VIII, str. 221.

²⁾ B. F. Stevens. *Facsimils of Manuscripts in European Archives relating to America (1773—1883)*. 24 teki zawierające zbiór wszystkich dokumentów dyplomatycznych, dotyczących powstania amerykańskiego, jakie znajdują się w archiwach Europy. Wszystkie dokumenta są wiernie sfaksymilowane na oddzielnych arkuszach.

energii i rozumu znane są w całej Europie.“ Wskutek tej rozmowy Rulhière pisząc do Pułaskiego do Marsylii nadmieniał: ¹⁾

„Nareszcie powziąłem nadzieję być Panu użytecznym w zamiarze jego udania się do Ameryki i obrania tam nowej ojczyzny, godnej Ciebie.“ W dalszym ciągu tłumaczył się z opóźnienia, robił rozmaite zastrzeżenia i prosił go, aby Pułaski wszystko zachował w tajemnicy.—„Po przybyciu do Ameryki czas będzie przybrać ponownie imię, które uczyniłeś tak sławnem. Niech tylko sława, którą tam zdobędziesz zwiastuje Europie o tem, iż przeniósłeś się do tego nowego przybytku wolności. Do owego czasu ośmielałem się żądać największej tajemnicy. Amerykanin ów odmówił tylu osobom rozmaitych narodowości, które ofiarowały mu usługi swoje, że nie chce dawać przykładu, którego najmniejszym następstwem może być narażenie go na dalszą natarczywość.“ Donosi dalej, że Franklin nie obiecuje żadnego stanowiska, lecz bardzo energiczne polecenie do kongresu. Przyrzekł natomiast bezpłatną podróż przy jednej z najbliższych sposobności, której spodziewa się niebawem z jednego z portów Bretanii.

Powód do tajemnicy, tak ściśle zalecanej, wystawiony w liście Rulhière'a, nie był ani jedynym, ani najważniejszym.

Wprawdzie wojna amerykańska była nadzwyczaj „modną“ w owym czasie we Francyi. Zapal dla Ameryki ogarniał dwór i całe towarzystwo stolicy. Tłumy ochotników ofiarowywały swoje usługi obu agentom amerykańskimi. Oficerowie pragnący rangi i odznaczenia, awanturnicy, karyerowicze, ludzie szukający przygód, rzadziej tacy, których czysty zapal lub szlachetna ambicya popychały, jak Lafayette, Kościuszko, Pułaski.

Tym napływem kandydatów tłumaczy się wielką powściągliwość ze strony Franklina w przyrzeczeniach względem Pułaskiego, z drugiej strony rząd francuski nie okazywał też gorliwości w tej sprawie. Bał się rozgłosu. Popierał Amerykanów, ale tajemnie. W całej tej akcji posuwał rząd francuski oględność do najwyższego stopnia, nie chcąc jawnie zrywać z Anglią, dopóki powodzenie powstańców nie skłoniło go do otwartego ich uznania, jako strony walczącej i do zawarcia z nimi sojuszu.

W jakiś miesiąc po wyżej przytoczonym liście zwraca się jeszcze raz Rulhière do nieznanego korespondenta, proponując rozwiązanie sprawy Pułaskiego przy pomocy bankiera Grand'a, który ofiarował się z pożyczką dla Pułaskiego przez swych przyja-

¹⁾ Stevens Vol. Tom VII; № 650.

ciół w Marsylii, za jednym słówkiem owego korespondenta lub Vergennes'a, „jakkolwiek będzie owinięte w bawełnę.“

„Niezależnie od interesu, jaki budzi we mnie ów nieszczęśliwy, na którego korzyść działam, pisze Rulhière, ośmielam się przypuścić, iż byłby Pan nie od tego, aby uwolnić kraj od widoku jego nieszczęścia, czyniąc jednocześnie rzecz użyteczną dla *nich* (t. j. Amerykanów). Tak więc sprawa znajduje się w tem położeniu, że ten skutek potrójny, może być osiągnięty przez jedno słowo.“¹⁾

Możemy domyślać się, że słowo było wyrzeczone i że ów Essange, który zaopatrzył Pułaskiego w niewielką sumę brakującą mu do spłacenia długów, mianowicie 1500 liwrow, był jednym z przyjaciół Granda. Tylko tyle brakowało Pułaskiemu w chwili wyjazdu, gdyż resztę przysłała mu matka.²⁾ Z powyższego listu Rulhièra dowiadujemy się, że Pułaski w owym czasie (kwiecień 1777 r.) był w Strasburgu, co potwierdzają i polskie listy jego do siostry Anny i do Mokronowskiego. Co go skłoniło do tej wycieczki? Może chęć osobistego widzenia się z Sapieżyzną, której stałym pobytom było to miasto, niemniej, jak i z gromadką Polaków otaczających ją tam.

Wreszcie 29 maja otrzymał Pułaski następujący nader pochlebny list polecający od Franklina do Waszyngtona:

„Hr. Pułaski z Polski, oficer słynny w całej Europie z odwagi i postępowania swego podczas obrony wolności kraju przeciwko trzem potęgom Rosyi, Austrii i Prus, będzie miał zaszczyt doręczyć Panu ten list. Dwór tutejszy zachęcał go do tego wyjazdu i popierał go w przekonaniu, że on może być wysoce użytecznym w naszej służbie.

„P. Deane pisał o nim tak wyczerpująco, że nie potrzebuję nad tem się rozwodzić. Dodaję więc tylko własne życzenie, aby mógł znaleźć w wojsku naszym, pod dowództwem Waszej Excelencyi, sposobność do odznaczenia się.“³⁾

Listu Deane'a daremnie szukaliśmy zarówno w rękopisach, jak i w drukowanych jego papierach. Natomiast wśród rękopi-

¹⁾ Stevens. Tom XV, № 1516.

²⁾ W ciągu pobytu w Marsylii odebrał Pułaski od rodziny 2066 dukatów (Monogr. Pułaskich Złota księga, t. VIII, str. 221). O długu d'Essange będzie jeszcze przypominał siostrze z Ameryki.

³⁾ Rękopisy Kongresu Ser. 152, tom 4, fol. 529. Ford Writings of Washington VI, 57 (w przypisku).

sów kongresu znajduje się list Deane'a do Waszyngtona z datą 14 czerwca 1777 r. (Paryż) polecający niejakiego Koskoutski'ego, którego nazywa hrabią — równie jak Pułaskiego ¹⁾ — a który się zwracał do niego jeszcze przed przybyciem Franklina, ²⁾ i który wiele ucierpiał wskutek walk w Polsce (stracił tam rodzinę i majątek, jak nadmieniał Franklin w liście równoległym).

„Hr. Pułaski, dodaje Deane, którego charakter, jako jednego z pierwszych dowódców w Europie, jest ustalony, zapewne będzie u was przed oddawcą niniejszego. Do niego więc odsyłam, gdyż zna go osobiście.“ ³⁾ Podobnyż list polecający od Franklina pod datą 13 czerwca znajduje się w drukowanym zbiorze jego pism. ⁴⁾ Oddawca nazywa się tu Kotkowskim, dodany jest szczegół, że był podpułkownikiem w służbie konfederackiej pod komendą Pułaskiego, że zna język angielski, niemiecki i łacinę.

Kto był owym Kotkowskim? Czy był to istotnie Rogowski, którego nazwisko w ten sposób zostało trawestowane, jak podaje autor *Reszty rękopisu*; ⁵⁾ czy było to prawdziwe imię Polaka, które spotkał może Gaszyński w jakimś wczesnem wydaniu listów Franklina ⁶⁾ i z niego utworzył swego urojonego autora pamiętnika? Nie możemy na to odpowiedzieć. Niema wszakże wątpliwości, że osobistość ta istniała, a będziemy mieli sposobność zetknąć się z nią w dalszem opowiadaniu.

Zaledwie sprawa wyjazdu Pułaskiego została ostatecznie załatwiona, a już (pod datą 4 czerwca) Stormont donosił Weymouth'owi:

¹⁾ Co do tytułu tego, winniśmy tu zrobić uwagę, że jeśli Pułaski może nie protestował przeciwko jego użyciu uważając, że jako szlachcic polski ma prawo do tytułu wśród cudzoziemców, równego przynajmniej z najniższym z tytułów szlachty francuskiej, to sam nigdy się nim nie posługiwał. Mieliśmy w ręku więcej sto listów i dokumentów przez niego podpisanych. Podpis zawsze jednostajny: *C-r. Pulaski Grl.* (t. j. Kazimierz Pułaski, General). Owo *C-r.* wydawcy amerykańscy niekiedy przerabiali na „Count.“

²⁾ Szczegół ten pozwala domyślać się, że ów Kotkowski był oficerem zaufanym wymienionym w liście Pułaskiego do Deane'a.

³⁾ Rękopisy Kongresu 103--79.

⁴⁾ Wydanie Sparksa, t. VIII.

⁵⁾ Nazwisko to spotykamy i w spisie oficerów armii amerykańskiej ułożonym przez Heytman'a (Officers of the Revolution).

⁶⁾ Myśmy takiego nie spotkali. Wydanie zaś Sparks'a (pierwsze zbiorowe wyd. pism Franklina) jest późniejsze od pamiętnika Rogowskiego.

„Franklin zaangażował Pułaskiego, jednego z zabójców króla polskiego („one of the King's of Poland assassins“) oraz pięciu lub sześciu oficerów francuskich, aby wyjechali do Ameryki na statku, który odpłynie z Nantes w końcu bieżącego tygodnia. Ładuje ten statek jeden z kupców nantejskich, Francuz, który ma zamiar osiąść w Filadelfii; ładunek będzie bardzo bogaty, lecz nie będzie zawierał żadnych zapasów wojennych. Donoszą mi, że popłynie wprost do Bostonu.“ Pod dniem 19 czerwca donosi Stormont: „Pułaski ma odpłynąć na statku uzbrojonym kupieckim, prowadzonym przez kapitana Finka.“¹⁾

W lipcu zaś podawał notatkę o oficerach francuskich przyjętych na służbę amerykańską, w których liczbie znajdujemy: „*M. Katskoetski — no rank, but has recomendation.*“²⁾ Widzimy stąd jak dokładnie powiadomiony był rząd angielski o najdrobniejszych szczegółach owych osłoniętych głęboką tajemnicą stosunków francusko-amerykańskich.

Ze śladów korespondencji polskiej owej daty, które odtwiera autor monografii Pułaskich widzimy, że 6 lipca donosił Pułaski rodzinie (skąd?), iż jest „na wsiadaniu do okrętu;“ że 25 lipca pisał już z Bostonu, iż szczęśliwie stanął w tem mieście i za kilka dni wyrusza do obozu. Przejazd to, jak na owe czasy niezwykle szybki, lecz nie niemożliwy.³⁾ Nie mamy nikogo, kto by nas powiadomił o wrażeniach i myślach Pułaskiego podczas podróży morskiej, gdyż opowieść Rogowskiego o „rozbujałych fluktach“ o niezłomnym spokoju p. Kazimierza, o wstępowaniu na San Domingo i pożarciu kozaczka przez krokodyla, należy niezawodnie do romansu. Ani punkt wyjazdu, ani punkt przybycia, ani czas podróży, ani imię kapitana statku, nie zgadzają się z temi, które podają źródła pewniejsze.

II.

Przybycie. — Pierwsze kroki. — Nominacya.

Pierwszym dokumentem którym zmanifestował Pułaski swoją obecność w Ameryce był memoriał wysłany do Kongresu z Bo-

¹⁾ Rękopisy Sparksa w Harward. Wyciągi przez niego robione z Archiwów Europejskich.

²⁾ „Nie ma rangi, lecz ma polecenie.“ Stevens. *Facsimils* Vol. II. № 176.

³⁾ Lafayette odbył jedną ze swych podróży w 23 dni. Franklin przebył odległość od przylądka Delaware do zatoki Quiberońskiej w 30 dni.

stonu pod datą 28 lipca. Zawiera on kilka uwag ogólnych i wskazówek dotyczących obecnej sytuacji kolonij, z których widać, jak dalece niesłuszną była charakterystyka Lafayette'a, nazywającego Pułaskiego „lepszym oficerem, niż wodzem.“ Wykazuje w nich przeciwnie umysł śmiały, szerokie koła zakreślający, a jeśli pomysły tu pośpiesznie naszkicowane nie są praktyczne, wynika to przeważnie z niedokładnej znajomości stosunków miejscowych.

Mamy więc tu przede wszystkim projekt ekspedycji na Madagaskar, o którym mówił już z „komisjonerami.“¹⁾ Sprawa ta wymaga rychłej odpowiedzi na którą oczekuje komendant miejsca,²⁾ gotowy okazać wszelką pomoc. „Mam specjalny list od komendanta, dodaje Pułaski, który okażę po przybyciu.“ Dalej idzie uwaga o tem, że gdyby kapitanowie statków amerykańskich mieli zlecenie werbowania ludzi, mogliby łatwo dostarczyć znaczny kontyngens użytecznych żołnierzy.³⁾

„Wielu oficerów, pisze dalej Pułaski, nie mogąc znaleźć tu zajęcia, wraca do Europy. Dla państw amerykańskich ważnem jest utrzymanie dobrej opinii w Europie; ci zaś, którzy wracają niezadowoleni, dadzą relację jak najgorszą.“⁴⁾ Należy więc obmyśleć jakiś sposób, aby umieścić w służbie wszystkich, którzy przybywają. Mam zaszczyt przedstawić następujący:

„Koszta prostego żołnierza w Ameryce, razem z jego utrzymaniem, wystarczają na utrzymanie szlacheckiej gwardyi. Oddział jej powinien składać się z oficerów, którzy na polu bitwy czynni będą, jako prości żołnierze. Po za potyczkami zaś służba ich powinna być dosyć ograniczona. Nie potrzebują rozwodzić się nad korzyścią, jaką okazać może podobne zgromadzenie czcigodnych ludzi. Wiem to z doświadczenia, a każdy, kto uczuł się poczucia honoru, wie, że jest to jedyna rzecz, która tworzy bohaterów.“

1) Z Franklinem i Deane'em, z czego należy wnosić, że jadąc ze Strasburga do Nantes zatrzymał się Pułaski w Paryżu.

2) Zapewne mowa o Beniowskim.

3) Ta myśl o dostarczeniu żołnierzy z Europy obok poruszonej dalej przez Pułaskiego ogromnej różnicy kosztów wyekwipowania i wynajęcia ludzi w Europie w porównaniu z Ameryką stała się podstawą późniejszych planów Beniowskiego (ob. wymieni. artyk.).

4) I ta uwaga okazała się bardzo słuszną w następstwie. Lafayettowi wypadło nie mało pracować nad poprawieniem we Francyi złej opinii o Ameryce, szerzonej przez zniechęconych oficerów.

Nigdzie może, jak w tym projekcie wytworzenia oddziału „towarzyszy pancernych,“ nie ujawnia się tak charakter Pułaskiego, jako należącego do owej dawnej, „szlacheckiej“ Rzeczypospolitej oraz jego głęboki idealizm.

Dalej radzi utworzyć oddział partyzantów dla obrony granicy kanadyjskiej, zaznaczając niejako dla siebie stanowisko. Wreszcie mówi o tem, żeby jeńcom proponować walczyć po stronie amerykańców, tych zaś którzy nie zechcą, posyłać do osad, gdzie pracując zastąpić mogą tych, którzy poszli na wojnę.

Może zbytunia to z mej strony śmiałość, kończy swój memoriał Pułaski, wchodzić w sprawy, o których zaledwie słabe dotąd mam wyobrażenie; ponieważ jednak powoduje mną zapał dla dobra ogólnego, mam nadzieję, iż nie wezmą mi tego za złe.¹⁾

Jednocześnie wysłał on list do Waszyngtona następującej treści:

„Panie,

„Przybyłem tylko co i pośpieszam wyrazić Panu gorące pragnienie zasłużenia na Jego przyjaźń. P. Franklin poleca mnie w liście swoim, co do mnie zaś, uczynię wszystko co jest w mojej mocy, aby uzyskać szacunek Twój. Udam się do armii, stamtąd zaś do Filadelfii.“

Nie długo więc musiał zabawić Pułaski w Bostonie; 21 sierpnia już był w obozie, jak świadczy data listu Lafayetta, polecającego Pułaskiego Lovellowi, jednemu z członków kongresu.²⁾ Musiał oczywiście udać się drogą lądową, omijając Nowy York, który był już w ręku angiłków.

W chwili gdy Pułaski wysiadł na ląd amerykański, sytuacja polityczna tak się przedstawiała. Główne siły angielskie skupione były w Nowym Yorku, zdobytym przez Clintona na Ameryka-

1) Message from the President etc. str. 7.

2) „Oddawcą mego listu jest hr. Pułaski, pisze Lafayette, który uda się do wydziału waszego, jako obcokrajowy oficer, proszący pozwolenia walczyć o waszą wolność. Chociaż nie znałem go osobiście, lecz ponieważ otrzymałem szczegółową o nim relację, uważam za właściwe udzielić jej Panu. Był on jednym z pierwszorzędných członków konfederacji w Polsce, najwybitniejszym z jej dowódców... Zdobył sobie wielką sławę odwagą i inteligencją w wojnie oraz szlachetnem i pełnem zapału postępowaniem po rozbiórze nieszczęśliwej Polski“ (Ten że *Message* str. 9). Z listu Lafayetta do żony dowiadujemy się, że Pułaski przywiózł mu list od niej: „Pomyśl, moje drogie serce, pisze Lafayette 1 października 1777 r., że tylko raz miałem wieść od ciebie przez hr. Pułaskiego (Lafayette, *Mémoires correspondance* etc. Bruxelles 1837, str. 44).

nach ku końcowi ubiegłego roku. Waszyngton, po kilku przegranych bitwach i potyczkach odrzucony został z armią swoją za Delawar, ale śmiałym atakiem nocnym na Trenton, a później na Princeton, zmusił Anglików do ściągnięcia swoich stanowisk ku najbliższemu sąsiedztwu Nowego Yorku. Z północnej strony również oddziały amerykańskie nie dopuszczały Anglików posunąć się po rzece Hudson w głąb kraju.

Rzeka ta razem z leżącym na północ od niej jeziorem Champlain stanowiła główną strategiczną linię wojny. Posiadanie jej przez Anglików rozbijałoby związek między koloniami Nowej Anglii a południowcami, ustanawiając natomiast połączenie między wierną Anglii Kanadą a owdadniętym przez nich Nowym Yorkiem. Północnego krańca tej drogi wodnej broniła armia północna przeciw generałowi brytańskiemu Bourgeyne'owi nacierającemu z znacznymi siłami od granic Kanady. Chwilowo, wskutek niedołężnego dowództwa Schuylera, armia amerykańska cofała się przed Anglikami. Ewakuacja Tyconderogi, którą fortyfikował był Kosciuszko, była pierwszą wieścią, jaka doszła Pułaskiego, gdy wylądował w Bostonie. Lecz właśnie około tego czasu, gdy Pułaski przybył do armii Waszyngtona, Gates (19 sierpnia) obejmował powtórnie komendę nad armią północną i rozpoczął kroki zaczepne, które zakończone zostały kapitulacją Bourgoyne'a 17 października.

Armia Waszyngtona zostawała w tym czasie w położeniu wyczekującym. Kongres otrzymał był wiadomość, że znaczne siły angielskie wyruszyły morzem z N. Yorku, lecz nie było wiadomem o ich przeznaczeniu. Ponieważ dosyć czasu już upłynęło, a flota nie ukazywała się u ujścia Delawaru, sądził więc Waszyngton, że skierowana została ku Bostonowi. Kongres wszakże, spodziewając się najazdu na Filadelfię, wstrzymywał ruch armii, która przeto przez dłuższy czas (od 9 sierpnia) stała obozem u rzeczki Neshaminy, w miejscu gdzie przecinała t. zw. „starą yorkską drogę,¹⁾ w jakich dwudziestu milach angielskich na północ od Filadelfii. Pozyccę tę obrał Waszyngton, aby osłaniając owe miasto, siedzibę kongresu, od strony Nowego Yorku, być jednocześnie gotowym przerzucić wojsko, czy to na południe ku ujściu Delawaru, czy na północny wschód ku Bostonowi, stosownie do tego, gdzie się ukaże cel wyprawy nieprzyjacielskiej.

¹⁾ W 1½ mili od dzisiejszej wsi Hartsville (Buck Co). Szczegóły o tem obozowaniu podaje W. S. Baker: *The Camp at Schuylkill Falls* w „Pensylvania Mgz. XVI“ (1892).

Było to prawie to samo miejsce, gdzie poraz pierwszy widział armię amerykańską na parę tygodni wcześniej przybywający do niej La Fayette, a jego wrażenia zastąpią nam te, jakich doznać musiał na jej widok Pułaski. „Okolo jedynastu tysięcy ludzi, nieszczególnie uzbrojonych, gorzej jeszcze ubranych, przedstawiało widok szczególny. Wśród tej pstroczyny, często nawet nagości, najlepszą odzież stanowiły szerokie bluzy myśliwskie, z szarego płótna, które w użyciu są w Karolinie. Co zaś do ich taktyki, dosyć jest powiedzieć, że gdy pułk stojący na miejscu chciał zawrócić na prawo, lewa strona, zamiast prostego zwrotu na miejscu, zaczynała nieskończone cofanie. Wojsko miało zawsze dwa szeregi; mniejsi stanowili pierwszy szereg. Po za tem nie zwracano wcale uwagi na różnicę wzrostu.“¹⁾

Jednocześnie prawie z przybyciem Pułaskiego przyszły (22 sierpnia) dwie wiadomości, które wywołały ogromne ożywienie w obozie. Jedną z nich była wieść o pierwszym zwycięstwie nad Bourgoyne'm (pod Bennington) drugą ukazanie się floty angielskiej w zatoce Chesapeake. Nie było żadnej już wątpliwości, że nieprzyjaciel zamierza owoładnąć Filadelfią. Nazajutrz armia wyruszyła więc na jego spotkanie. Przenocowano obok dzisiejszego miasteczka Nicetown, a 24 w niedzielę lepsza część armii (ta która miała jakie takie odzienie) paradowała z rozwianymi sztandarami i z biciem bębnow z zielonemi gałązkami przy kapeluszach po głównych ulicach Filadelfii: Front street i Chestnut street do Common czyli placu ratuszowego; ztamtąd zaś wyruszyła do Darby, odprowadzana przez tłumy rozentuzyzmowanych tym widokiem whigów, (t. j. zwolenników niepodległości), kierując się ku Wilmington u ujścia Delaware.

Marsz ten urządził Waszyngton umyślnie w celu podniesienia ducha mieszkańców i pokazania, że nie brak jest obrońców miasta, które pełniło niejako rolę stolicy wspólnej połączonych do walki kolonij.

Pułaski musiał wyprzedzić ów wymarsz armii, gdyż list Waszyngtona, polecający go kongresowi, ma datę 21 sierpnia, podobnie, jak i list La Fayettea.²⁾ Mianowanie oficerów zależało od kon-

¹⁾ La Fayette, *Mémoires* etc. str. 16.

²⁾ List ten zredagowany w terminach bardzo powściągliwych:

Główna kwatera,

Bucks Co.

sierpnia 21, 1777.

„Panowie,

„Mam zaszczyt załączyć kopię listu Dr. Franklina polecającego hr. Pułaskiego, który doręczy Panom niniejszy list. Nienadługo przedtem miałem list

gresu; musiał więc Pułaski przebyć tę niemiłą dla niego formalność, którą jak widzimy z tam przytoczonego niżej listu jego uważał za niepotrzebną ceremonię, zanim mógł wziąć udział w armii jako prawny jej członek.

24 sierpnia złożył Pułaski memoriał do Kongresu ofiarując mu służbę swoją:

Filadelfia, 24 sierpnia 1777.

„Panowie,

„Komisjonerzy wasi pisali na moją korzyść. Będę się starał postępować tak, aby usprawiedliwić ich polecenia, o ile zdolności moje i zaufanie we mnie położone zezwolą na to. Pragnę otrzymać jedną kompanię ochotników konnych, z rangą, któraby mnie upoważniła do komenderowania całą dywizją, gdy na to zasłużę.¹⁾

„Pierwsze lata mego życia wojskowego przebyłem w ciężkich próbach. Chciałbym uzyskać stanowisko, na którym byłbym zależnym jedynie od Głównego Dowódcy armii. Jeśli to niemożliwe, pragnąłbym łącznie z markizem Lafayette dzielić jego trudy i wykonywać rozkazy Głównego Dowódcy, jako podkomendny markiza. Główna rzecz, o którą proszę, jestto być w pobliżu nieprzyjaciela, abym mógł jak najrychlej znaleźć sposobność do zdobycia imienia dobrego oficera. Jeśli zamierzony jest najazd w część kraju, którą posiada nieprzyjaciel,²⁾ nie byłbym prawdopodobnie pozbawiony do tego zdolności, również jak i dla obrony wysuniętego naprzód stanowiska. Sądzę że takie musi być ufortyfikowane w pobliżu Ticonderogi. Gdyby mi powierzono wybór miejsca i jego obronę, spełniłbym to polecenie z największą ścisłością. Nie będę rozwlekał tego memoriału wykładem rozmaitych planów, jakie mi się nasuwają; lecz jeśli to, o co proszę, może spotkać jakieś przeszkody, proszę o prawo przedstawienia

od p. Deane'a ułożony w terminach dla charakteru i zdolności wojskowych tego pana. Jakie zastosowanie z nich się uczyni, o tem najlepiej potraficie zdecydować sami. List ten bierze odemnie, jako proste polecenie wydane na jego żądanie.“

Mam zaszczyt i t. d.

G. Waszyngton.

¹⁾ Żądanie to wcale nie wyda się wygórowanem jeśli weźmiemy pod uwagę, że młodzieniec zupełnie niedoświadczony, jakim był Lafayette, otrzymał odrazu stopień generała majora.

²⁾ Mowa tu o utraconych na Północy pozycjach.

innych propozycji, które zostaną lepiej przyjęte. W Polsce pod moim dowództwem miałem w rozmaitych bitwach 18000 ludzi. Ataki i oblężenia, które wykonywałem, dają mi prawo do zaliczenia siebie w poczet ludzi posiadających doświadczenie wojskowe. Amerykanie nie powinni gardzić takimi ludźmi. W tem przekonaniu przybyłem tu z Europy, aby mieć zaszczyt być przyjętym w poczet zacnych obywateli, broniących swego kraju i swej wolności.“

K. Pułaski.

Bystry zmysł strategiczny wskazywał Pułaskiemu, że na północy rozstrzygnąć się mają główne walki bieżącej kampanii a niebezpieczeństwo sytuacji zagrożonej pociągało go tam, gdzie mógł rozwinąć partyzantkę, w której tak był zasłynął. Może też i wiadomość o tem, że tam znajdzie duszę bratnią w osobie Kościuszki, skłaniała go do obrania Ticonderogi, jako pola działalności.

Tegoż dnia, jak wiemy, odbywał się w południe uroczysty marsz wojska przez Filadelfię, a Pułaski, który prawdopodobnie teraz dopiero dowiedział się o jego przeznaczeniu, zbyt czynnego był usposobienia, aby czekać spokojnie na decyzję kongresu, kiedy armia szła na spotkanie nieprzyjaciela. Nazajutrz więc złożył prezesowi Kongresu szkic oddziału ochotniczego, który chciał zorganizować, oraz list następującej treści:

Filadelfia, 25 sierpnia 1777.

„Nie sądziłem, aby obowiązkiem moim było zostawać tu dłużej, tembardziej iż słyszę, że Jego Exc. Generał Waszyngton wyszedł na spotkanie nieprzyjaciela. Udaję się więc do armii. Nie będę wprowadzić mógł wiele uczynić; lecz pokażę przynajmniej dobre chęci swoje. Polecam się więc Waszej Excelencyi i pozostawiam mu swój memoriał. Po wszystkie niezbędne artykuły pošlę do Francyi, Kongres zaś zechce przeznaczyć na nie pieniądze. Oczekuję na rychłą i stanowczą odpowiedź. Pragnąłbym, o ile to możliwe, poprzednio otrzymać nominację, wskutek której nie zostawałbym pod niczyjem dowództwem, prócz Generała Waszyngtona. W takim wypadku będę uważał za obowiązek swój dołożyć wszelkich starań, aby być użytecznym. Tyle o sprawach moich. Oświadczam przy niniejszem moją chęć uzyskania względów pańskich i szacunek, z którym pozostaję etc.

K. Pułaski.

Z załączonego zarysu widzimy, iż oddział projektowany miał się składać z 200 lekkiej jazdy (z tych 180 żołnierzy, 12 kapralów, 1 korneta, 2 poruczników, 2 kapitanów, starszego i młodszego, 1 adjutanta, 2 trębaczy, 1 chorążego, lekarza, siodlarza i ludzi do obsługi powozów) uzbrojonych w karabiny, pałasze, pistolety i hełmy.

Z tonu listu przytoczonego wnosić należy, że Pułaski tegoż dnia opuścił Filadelfię i dogonił w drodze armię, która stanęła w Wilmington już 25 wieczorem.

Sądzić więc wypada, że propozycja, którą Waszyngton uczynił Kongresowi, mianowania Pułaskiego głównym dowódcą kawalerii amerykańskiej, nastąpiła po osobistym z nim porozumieniu. List ten Waszyngtona adresowany do prezesa Kongresu Hancock'a, ma datę 28 sierpnia a wysłany z Głównej kwatery w Wilmington.

„Usiłując obmyśleć, na skutek żądania hr. Pułaskiego, sposób użycia go w naszej służbie, pisze główny dowódca, nie znajduję nic przedstawiającego mniej niedogodności i mniej wyjątków¹⁾ jak nadanie mu dowództwa nad kawalerją. Ta część wojska zostaje wciąż bez głównego dowództwa, nie uważałem bowiem za właściwe, przy obecnym braku generałów brygady w armii, odbierać jednego z piechoty, aby mu dać tę komendę. Istota bowiem służby kawaleryjskiej u nas jest tego rodzaju, że zwykle występuje niewielkimi oddziałami, a generał jest w niej mniej potrzebny, niż na czele brygady piechoty. W nieobecności generała Smallwooda, który otrzymał rozkaz stanąć na czele marylandzkiej milicyi, będziemy mieli dwie brygady bez generałów.

„Chociaż jednak konnica mniejby ucierpiała na braku generała, niż piechota, człowiek, posiadający rzeczywiste zdolności, doświadczenie i wiedzę w tym rodzaju służby, może być bardzo użyteczny. Hrabia, sądząc z poleceń jakie ma, posiadał nie małe stanowisko wojskowe we własnym kraju; ponieważ zaś oddawna zwracano w Polsce przeważną uwagę na konnicę, należy przypuścić, że nie jest pozbawiony znajomości tej służby. Pozostawiam Kongresowi ocenę tego, jak dalece właściwem byłoby nadanie mu

1) „So few inconveniences and exceptions“ — aby zrozumieć te wyrazy, pamiętać należy, że każda nominacya oficera na stanowisko, niezgodne z porządkiem służbowym, wywoływała objawy niezadowolenia i protestu ze strony tych, którzy przez to zostawali pominięci. Objawy te były tem energiczniejsze, jeśli mianowanym zostawał na jakieś wysokie stanowisko oficer cudzoziemski. W korespondencyi wojny o niepodległość znaleźliśmy wiele przykładów takich protestów.

stanowiska, o którym nadmienilem. Sam Kongres dostrzeże wszystkie zarzuty, jakie mogą być uczynione przeciw tej decyzji, bez tego, iżbym je tu wyliczał, i postąpi odpowiednio.

„Hr. Pułaski, jak nam donoszą, bronił podobnie, jak i my, wolności i niepodległości kraju swego i poświęcił majątek temu przedsięwzięciu. Zasluguje więc z tego tytułu na nasz szacunek, co powinno wpłynąć na jego korzyść, o ile dobro służby nie stanie na przeszkodzie; lecz nigdy nie powinniśmy pomijać tego względu.“

Mam zaszczyt i t. d.

J. Waszyngton. ¹⁾

Perspektywa głównego dowództwa nad kawaleryą musiała się wydać Pułaskiemu zbyt świetną w porównaniu ze skromnym oddziałem, który projektował zorganizować, aby się miał wahać w wyborze. Zdawało mu się zapewne, że w ten sposób osiągnie i ową niezależność komendy, która uczyni go podwładnym samemu tylko Waszyngtonowi, o co tak się starał, i da mu w rozporządzenie siłę zbrojną dostateczną, aby móżdż na własną rękę dokonać coś znaczącego. W rzeczywistości żadnej z tych korzyści nie osiągał, a w dodatku wytwarzał sobie sytuację tak przykrą, wskutek zazdrości najstarszego z pułkowników kawaleryi Moylan'a, który z tego tytułu uważał zapewne ową komendę jako jemu się należąca, że już w krótkim czasie zmuszony został usunąć się od dowództwa nad konnicą i wrócić do dawnego projektu niezależnego partyzanckiego oddziału.

Lovell, należący do komisji wojskowej Kongresu, w raporcie swoim donosił:

„Komitet, któremu poruczono memoriał Pułaskiego, gdzie żąda takiego stanowiska i komendy w armii tych Państw Zjednoczonych, w której byłby podległym tylko głównemu dowódcy lub też jemu i markizowi Lafayette — donosi, że zdaniem jego, zadość uczynienie tym żądaniem byłoby równie sprzeczne z przeważnym uczuciem w poszczególnych państwach, jak i z konstytucją armii, więc wysoce niepolityczne.“ ²⁾

Porządek podkomendności w armii amerykańskiej polegał na tem, że każdy oficer musiał być posłuszny wszystkim mającym

¹⁾ Listy Waszyngtona w rękopisach, ser. 152, tom 5, fol. 1. List ten znajduje się w drukowanych pismach Waszyngtona u Sparksa i Forda.

²⁾ Message etc. str. 12.

wyższą od niego rangę oraz tym z oficerów w jednakowej randze, którzy mieli wcześniejszą nominację, niezależnie od rodzaju broni. Liczba kawalerii, a tem bardziej stan jej, nie upoważniały istotnie do nadania jakiegoś wyjątkowego stanowiska jej dowódcy.

W lipcu 1778 r., t. j. już po kilkumiesięcznej pracy organizacyjnej Pułaskiego nad nią, kawaleria składała się z 4 pułków tak zwanych lekkich dragonów. Pułk Moylana liczył oficerów sztabowych 5, pozostałych 15 podoficerów i żołnierzy 187; pułk Blanda: oficerów 20, podoficerów i żołnierzy 165; pułk Sheldona z taką samą liczbą i pułk Baylora liczący 21 oficerów i 129 żołnierzy.¹⁾ Cała więc kawaleria nie przekraczała liczby 700 koni. I taki oddział wszakże mógłby mieć pewne znaczenie, gdyby zostawał cały pod jedną komendą. W rzeczywistości wszakże, ponieważ brygady piechoty potrzebowały niewielkich oddziałów konnych na rekonesanse, pikiety, ordynanse i t. d., to większa jej część zostawała rozbita, tak, że dowódca zostawał często prawie bez żołnierzy.

Wszystkie te ujemne strony komendy nad konnicą, które każą nam żałować, że Pułaski nie poszedł za pierwszą pobudką i nie utworzył odrazu niezależnego partyzanckiego korpusu, ujawniły się oczywiście dopiero po jej objęciu.

Nominacja Pułaskiego na to stanowisko w randze generała brygady dekretem została przez kongres 15 września, a wiadomość o tem doszła do obozu w tydzień później. Tymczasem, niecierpliwego spotkania z nieprzyjacielem, Pułaski przyłączył się do armii bez żadnej rangi lub komendy, w roli ochotnika. W tej roli wypadło mu wziąć udział w pierwszej walnej bitwie stoczonyj ku obronie Filadelfii.

(d. c. u.)

WŁADYSŁAW M. KOZŁOWSKI.

¹⁾ Parliam. *Register of Officers under Washington, July 1778.* „Pennsylv. Magz.“ XVIII (1894) str. 71.

PIŚMIENNICTWO.

S. POSNER. *Japonia. Państwo i prawo*. Podług źródeł europejskich. Warszawa, 1905.

Autor pracę swoją rozpoczął od wyjaśnienia. Wśród pracy od lat kilku nad dziejami kodyfikacji prawa w XIX stuleciu, losy zawiodły go do muzeum brytańskiego, posiadającego najpełniejszy zbiór kodeksów europejskich, azjatyckich i amerykańskich. Tam miał po raz pierwszy w życiu dzieła kodyfikacyjne japońskie i tam też zapoznał się z historią prawa japońskiego, o ile ona dostępną być może dla Europejczyka, który nie był w Japonii i języka krajowego nie jest świadom. Na podstawie źródeł europejskich autor zapragnął oświecić inteligentnego czytelnika, w jaki sposób kraj „wschodzącego słońca“ budował na modłę miary europejskiej państwo swoje, jak zwolna i rozważnie, po wielokroć sprawdzając rezultaty i w ciągu dziesięcioleci nie schodząc z rusztowania, próbował siłę i pożytek każdego kamienia, który służyć miał dla wykończenia gmachu prawa swojego.

W pierwszym rozdziale dał nam autor nieco historii, zaznaczając z początku, że przed laty 30-tu przeżyła Japonia przesilenie rewolucyjne, które zwróciło drogę jej rozwoju w zupełnie przeciwnym dawnemu kierunku. Japonia chińska i buddyjska przejęła naraz formy cywilizacji europejskiej, a dokonała tego nie stopniowo, lecz odrazu, nie tylko w zakresie zewnętrznych form życia, ale w zakresie nauki, wojska. Umyślnie w Tokio zorganizowano uniwersytet na sposób europejski, zaczęto tworzyć nowe prawa i przystosowane do nowych zmienionych warunków instytucje prawne. Poddano dyskusji sprawę „przystosowania.“ Do dawnej recepty prawa rzymskiego i prawa napoleońskiego przybyło trzecie ogniwo. Literatura, w zakresie rzeczy japońskich, wzrosła w ostatnim dzie-

siątku lat niezmiernie. Anglicy, Francuzi, Niemcy i Holendrzy przyczynili się znakomicie do jej wytworzenia, choć Japończycy wzięli w niej także poważny udział. W ostatnich latach zjawily się same prace rosyjskich autorów, a prócz tego znajdują się w Tokio dwa towarzystwa naukowe, jedno angielskie, drugie niemieckie, które ogłaszają w pracach swoich przyczynki do poznania Japonii.

Neograniczona pierwotnie władza cesarza japońskiego stawała się z biegiem czasu coraz słabszą, aż wreszcie w XII wieku nie była w stanie utrzymać w korbach wielkich, starych rodów, które ovladnęły oddzielnymi prowincjami. Cesarz próbował dwukrotnie ująć rządy w swoje ręce i złamać niezależność wassalów z rodów wojskowych (Samurajów), ale nadaremnie. Usiłowania powyższe wywołały jedynie długie i niszczące kraj walki i zamieszania. Dopiero w końcu XVI w. zawiąły lepsze dla Japonii czasy. Przywrócono znowu organizację feodalną. Władzę naczelną wykonywał shogun, który z jednej strony był naczelnym wodzem, a z drugiej strony rządził krajem bez żadnych ograniczeń w imieniu cesarza. Cesarz był tylko nominalnie jedynym i najwyższym piastunem władzy państwowej, ale z jego polecenia i w jego imieniu sprawował władzę shogun. Cesarz był świętym i nieodpowiedzialnym, ale nie posiadał żadnej władzy wojskowej i dla bezpieczeństwa cesarza wojsko shoguna znajdowało się w pobliżu Kioto. Każdy książę był suwerenem w swojej dzielnicy, ale był obowiązany do bezwzględnego posłuszeństwa względem shoguna. Ustrój powyższy, przypominający stosunki feodalne europejskie, przetrwał 200 lat. W końcu jednak tej długiej epoki shogun stał się wrogiem wszelkiego postępu moralnego i materialnego, oraz uzurpatorem praw mikada. W stosunkach wewnętrznych kraju panowała zupełna anarchia, a lud obciążano coraz większymi podatkami. Skutkiem tego w różnych prowincjach miały miejsce otwarte powstania. W jednym z takich powstań w Ossaya, w r. 1837, zniszczono w ciągu dwu dni 5 mostów, 18427 domów i 400 składów.

Rok 1853 był punktem zwrotnym w historii Japonii. Zaskoczony przez kategoryczne żądanie admirała amerykańskiego, shogunat Togukawa znalazł się wobec alternatywy fatalnej i wahał się w jakim duchu dać odpowiedź. Shogun zdecydował się w 1854 r. na zawarcie umowy z komodorem amerykańskim bez zezwolenia mikada, ale w całym kraju wołano o poszanowanie dla woli cesarza, domagając się przy tej sposobności wygnania cudzoziemców. Okres czasu od 1860 do 1868 r. nazywa się ciemnym okresem dziejów japońskich. Cały porządek prawny uległ wtedy wstrząśnieniu. Od roku 1861 demonstrowała dwukrotnie flota angielska, francuska,

holenderska i amerykańska w zatoce Simonoseki. W obu tych wypadkach przekonali się Japończycy, jak silną jest Europa i w całym kraju zaczęły się zapalać ogniska entuzjazmu na rzecz jednej idei — przeobrażenia Japonii w jedno państwo jednolite, takie bowiem tylko potrafi się oprzeć najazdowi cudzoziemców i przeszczepić idee europejskie na grunt japoński, a usunąć dawne stanowe ograniczenia i feodalne nadużycia. Od r. 1870 rozpoczął się szereg reform, zaprowadzających nowy porządek rzeczy. Między 1870 a 1880 rokiem włościanie zostali oswobodzeni i nadano im prawo alienowania swojej własności. W roku 1875 cesarz zwołał senat, a gdy lud okazał się niezadowolonym, zwołał prezydentów obwodów regencyjnych, jako przedstawicieli ludu. Żądanie jednak „otwarcia parlamentu“ stawało się w kraju coraz głośniejszem i cesarz zwołał pierwszy parlament w r. 1891. Ogłoszenie konstytucyi poprzedziła promulgacya Deklaracyi praw człowieka i obywatela. Po raz pierwszy w państwie azjatyckiem ogłoszono, że obywatele mogą się osiedlać wszędzie w celu wykonywania wszelkich rzemiosł, że nie wolno ich pozbawiać wolności i należy sądzić podług przepisów prawa. Konstytucyja gwarantuje prócz tego bezpieczeństwo czyli nienaruszalność mieszkania, tajemnicę pocztową, wolność prasy, prawo zgromadzeń i dowolne wykonywanie praktyk religijnych.

Japonia jest monarchią. Cesarz reprezentuje państwo nazewnątrz. Nie jest on już władcą absolutnym, lecz konstytucyjnym, sprawującym władzę w myśl konstytucyi. Ma udział we władzy prawodawczej i wydaje zarządzenia bez udziału parlamentu. Prócz tego cesarz jest arcykapłanem świątyni narodowej. Nadmienić jednakże wypada, że w Japonii nie ma właściwie religii państwowej. Istnieje tylko kult świętych przodków, zarówno cesarskich, jak i zasłużonych poddanych cesarza. Według przekonania Japończyków, nie znajduje się on w żadnej sprzeczności ani z buddyzmem, ani z chrześcijaństwem. Stare przysłowie japońskie głosi, że korona nigdy nie może być wolną; skutkiem tego w razie śmierci cesarza tron przechodzi na jego następcę. Cesarz corocznie zwołuje deputowanych, a projekty rządowe podlegają trzykrotnemu czytaniu. Prawo wyborcze jest ograniczone i bezpośrednie. Ażeby być wyborcą, trzeba mieć 25 lat życia i płacić bezpośrednio podatek państwowy, conajmniej 15 jennów. Aby korzystać z prawa wyborczego biernego, trzeba mieć 30 lat wieku. Żołnierze armii i marynarki nie wykonywują prawa wyborczego, a urzędnicy administracyjni nie mogą być wybrani. Mandat poselski trwa przez lat cztery. Deputowani za słowa wyrzeczone w parlamencie nie są odpowiedzialni. Otrzymują oni dyety, których im się rzekać nie wolno.

Na czele zarządu państwa stoi rada ministrów. Rozpatruje ona wszelkie projekty prawodawcze i budżetowe, traktaty międzynarodowe, rozporządzenia, dotyczące administracji krajowej, petycje poddanych, przekazywane przez cesarza parlamentowi, wreszcie nominacje, awanse i dymisyse urzędników. Każdy minister ma prawo udzielać rady cesarzowi i za radę swą jest odpowiedzialny. Rozporządzenie cesarskie musi być kontrasygnowane przez odpowiedniego ministra. Pracuje dziewięć ministerów, a dziesiąte ministerium dworu jest wyjęte z pod ogólnej normy. Organizacja ministerium skarbu jest bardzo skomplikowana, a ministerium oświaty może się poszczycić niezmiernymi rezultatami swej działalności. Od r. 1876 istnieją w Japonii zgromadzenia gminne, jako zgromadzenia ojców rodzin, które określają budżet gminny. Okręgi posiadają również reprezentację, pochodzącą z wyborów. Sejm okręgowy zawiaduje przedewszystkiem finansami okręgu. Prawo wyborcze zależy od opłacania podatku gruntowego (5 jenów). Wreszcie w r. 1875 wprowadzono do Japonii organizację sądownictwa, opartą na zasadach zachodnio-europejskich.

Z obszernego rozdziału, jaki autor prawa japońskiemu poświęcił, dowiadujemy się, że pierwszy kodeks miała Japonia w r. 701, ogłoszony następnie w powtórnej edycji w r. 718. Pierwszy kodeks zaczerpnięty jest ze zwyczajów chińskich. Zna on krwawą zemstę czyli odwet, sądy Boże i cały system okrutnych kar. Osoby, należące do klas wyższych, skazane na śmierć, same otwierały sobie brzuch za pomocą własnego pałasza. Jednocześnie z tym kodeksem, przeważnie karnym, ogłoszony został drugi, obejmujący prawa cywilne i administracyjne. I ten także opierał się przeważnie na zwyczaju chińskim. Rodzina uorganizowana jest na podstawie miłości i posłuszeństwa dzieci względem rodziców. Małżeństwo wszakże zawiera się drogą kupna i władza małżeńska jest absolutną. Ziemie uprawne, a zwłaszcza pola ryżowe, od najdawniejszych czasów były uważane za własność publiczną. Dzielone początkowo między rodziny, stosownie do ilości głów w każdej, co pięć lat poddawane były rewizji i dział pierwotny ulegał zwiększeniu albo zmniejszeniu, stosownie do rozrostu lub uszczuplenia rodziny. W teorii każdy dział stanowił przedmiot użytkowania dożywotniego, w praktyce jednak życiowej użytkowanie dożywotnie stawało się po większej części stałem, jeżeli nie dziedzicznym. W szczególności dotyczyło to karczunku ziem, zdobytych dla kultury krajowej. Utrwalił się też zwyczaj, że każdy, kto przeprowadził przez pole ryżowe kanał irygacyjny, otrzymywał od rządu koncesję na uprawę pola na ciąg swego życia i następnych dwóch pokoleń.

Koncesye te uznane zostały w r. 1743 jako dziedziczne. Własność nieruchoma nie mogła być odprzedawana bez zezwolenia rządu. Zakaz ten miał na celu zabezpieczenie rolników przed nędzą, któraby ich pozbawiała pola pracy. Dłużnik niewypłacalny stawał się niewolnikiem wierzyciela i pozostawał w tym stanie dopóty, dopóki pracą swoją nie odrobił długu.

Ustrój feudalny zaprowadzony został w Japonii w XI stuleciu i przetrwał lat 800, dając życie kilku charakterystycznym pomnikom prawodawczym. Jeden z nich dotyczy klasy samurajów. Zresztą każdy dynasta feudalny ogłaszał prawa dla swego terytorium w różnych czasach. Nie wiele się przechowało tych pomników prawodawczych o charakterze lokalnym. Nie wiele też istnieje ich w przekładzie na języki europejskie. Kodeks karny obowiązujący ogłoszony został w lipcu 1880 r. Spoczywa on na zasadach europejskich, a przeważnie na Code pénal francuskim, choć zawiera wiele przepisów, zapożyczonych z dawnego prawa krajowego. Zasady kodeksu są bardzo łagodne, choć jest zbyt formalistyczny. Wraz z kodeksem karnym opracowano i procedurę karną. Opiera się ona na zasadzie jawności. Łagodne obchodzenie się z oskarżonym w okresie postępowania śledczego jest nakazane, a nadużywanie władzy sędziego zostało zagrożone surowymi karami.

Aż do najnowszych czasów Japonia nie posiadała specjalnego prawa handlowego. Tylko w zakresie praktyki bankowej i dokumentów handlowych, utworzyły się w ludnym i bogatym mieście handlowem Osaka pewne zwyczaje w klasie kupieckiej, które rozszerzyły swój wpływ na inne miejscowości, zyskując tym sposobem moc prawa zwyczajowego. Dopiero w r. 1875 wybrana została komisya, której polecono zebranie wszystkich zwyczajów prawnych. Inna komisya, powołana do życia w r. 1883, zebrała tą samą drogą zwyczaje handlowe. Zebrano też jurysprudeneyę sądową, rozporządzenia administracyjne i opinię różnych sędziów w kwestyi zwyczajów prawnych. W r. 1854 prof. Rösler w projekcie skopionym z prawa handlowego niemieckiego nie uwzględnił zupełnie zwyczajów prawnych japońskich. Komisja prawników japońskich przerobiła ten projekt w 1890 r. i przeróbkę ogłoszono jako prawo obowiązujące. Opinia przyjęła jednak niechętnie nowe prawo i dopiero w r. 1898 opracowano w Tokio nowy kodeks handlowy, który został ostatecznie przyjęty. I w tym ostatnim kodeksie znać pewne wpływy niemieckie, choć zostały uwzględnione niektóre materye, co do których prawo niemieckie zachowuje milczenie.

Co się tyczy prawa cywilnego japońskiego, to około 1872 r. cieszył się w Japonii kodeks Napoleona wielkiem powodzeniem.

Prawo francuskie było uważane w sądach wszystkich instancyj za rozum pisany (*ratio scripta*), za prawo przyrodzone, które stosowano w sądach, w braku wskazań prawa miejscowego. W r. 1873 Boissonate, profesor francuski, przyjechał do Tokio i tam przez lat piętnaście pracował nad kodyfikacją prawa cywilnego japońskiego. Nie pominął on także prawa karnego i wykazywał wady kodeksu karnego francuskiego. Projekt Boissonata został jednak zarzucony w kodeksie cywilnym japońskim, z wyjątkiem działu, dotyczącego hipoteki i przywilejów. Odwrócono się od wzorów francuskich a natomiast całą uwagę ześrodkowano na drugim projekcie kodeksu cywilnego niemieckiego. Z prawa francuskiego i angielskiego zapożyczono tylko niewiele szczegółów drugorzędnych. Systematyka i duch kodeksu są wogóle niemieckie.

Prawo japońskie, obok najskrajniejszego postępu w zakresie instytucyj cywilnych, przechowuje z nabożnym pietyzmem niektóre tradycje z zakresu prawa familijnego i spadkowego, tradycje, które przez niektórych zwane są niebezpiecznymi i szkodliwymi przeżytkami. Owym przeżytkiem jest przedewszystkiem kult przodków. Jest on potrójnym: 1) kult przodków cesarskich, o charakterze narodowym, 2) kult przodków klanu i 3) kult przodków rodzinnych, znajdujący swój wyraz w trzech, różnego rodzaju ceremoniach. W związku z kultem przodków rozwinęły się rozmaite formy małżeństwa. Również prawo spadkowe nosi na sobie ślady zasady naczelnej kultu przodków. Kodeks cywilny japoński nie zawiera specjalnej kodyfikacji przepisów prawa międzynarodowego prywatnego. Natomiast w 1898 r. ogłoszono prawo, dotyczące zastosowania ustaw prawnych w ogólności, które zawiera taka kodyfikacja.

Kwestya, która przez długie lata nie przestawała zajmować rządu japońskiego, było zniesienie jurysdykcji konsularnej. Istniała ona nawet przed restauracją z r. 1868, po tej zaś dacie stała się chroniczną i nękała nieustannie opinię publiczną. Po długich negocjacyach dyplomatycznych zebrała się w r. 1882 w Tokio komisya złożona z przedstawicieli wszystkich mocarstw, aby określić warunki, na zasadzie których będzie można poddać rewizji traktaty istniejące. Rząd japoński wystąpił z żądaniem zniesienia sądów konsularnych, a wzamian za to Japonia zobowiązywała się otworzyć kraj dla handlu międzynarodowego i nadać cudzoziemcom, w zakresie praw handlowych i przemysłowych, prawa poddanych japońskich. Zajęcia komisji nie dały żadnych rezultatów i w 1886 r. zebrała się nowa konferencya, która trwała do 1887 r. Wprawdzie i ta konferencya nie dała żadnych rezultatów, jednakże ustanowiono pewno zasady, na których można było oprzeć przyszłą rewizję traktatów.

Widząc że konferencye nie doprowadzą do pełnego rezultatu, rząd japoński postanowił prowadzić układy z każdym z państw europejskich oddzielnie. W r. też 1899 umowa z Niemcami zniosła sądy konsularne niemieckie w Saksonii, zastrzegając jednak aby w sądzie kasacyjnym japońskim zasiadało kilku prawników europejskich. Umowa ta znalazła jaknajgorsze przyjęcie w Japonii. W r. 1894 stanął w Londynie układ Anglo-japoński, mocą którego zniesiono wszelką jurysdykcję konsularną, wszelkie przywileje i nietykalność poddanych angielskich w stosunku do władz japońskich. Za przykładem Anglii poszły i inne mocarstwa, aż wreszcie w r. 1899 mógł cesarz japoński w proklamacyi do narodu swego obwieścić, że udało mu się zdobyć uznanie świata dla praw zwierzchniczych Japonii.

W zakończeniu oświadcza autor co następuje: Od lat trzydziestu przeżywa Japonia okres rozkwitu ekonomicznego. Wojna chińska, pomyślnie ukończona, dodała życiu ekonomicznemu bodziec najsilniejszy. W r. 1899 weszły w życie nowe traktaty handlowe, zamknięte dzielnice cudzoziemców zostały zniesione i cały kraj został dla swobodnej komunikacyi cudzoziemców przystępnym. Japonia przestała być światem dla siebie, w sobie zamkniętym i stała się częścią wszechświatowego organizmu społecznego. W Japonii rzeczywiste życie polityczne tworzą dotychczas samurajowie. Oni idą na czele postępu nowoczesnego społecznego i gospodarczego. Mieszczanstwo japońskie jeszcze dotychczas mało rozwinięte. W rodzinie rządzi jak dawniej pater familias, a jednostka po za rodziną niewiele znaczy. Zamiast religii, pozostał jak dawniej kult przodków i na nim spoczywa moralność japońska. Chrześcianizm nie czyni w ostatnich czasach w Japonii postępu.

Autor w pracy swej wyzyskał sumiennie wszystkie studia zagranicznych prawników, poświęcone historii prawa japońskiego. Książka p. Posnera jest niewątpliwie interesująca i na czasie. Szkoda jedynie, że autor prawo cywilne traktował szczegółowiej jak państwowe, choć mu na źródłach w tym kierunku nie zbywało.

A. R.

Dr. KONSTANTY WOJCIECHOWSKI. *Werter w Polsce*. Lwów 1904. Księgarnia polska B. Polonickiego, str. 175.

Studia nad wpływem zagranicznych literatur na polską, rzadko się pojawiają na naszej niwie krytycznej. Podczas gdy we Francyi lub w Anglii, nie mówiąc już o Niemczech, ilość tego rodzaju pu-

blikacji wzrasta z dnia na dzień, stan badań naszej literatury porównawczej przedstawia się dość smutnie. Nie wiem, czy na sto książek jedna bodaj rozpatruje prądy literatury europejskiej w ich oddziaływaniu na nasze piśmiennictwo. Z prawdziwą tedy przyjemnością zdajemy w tem miejscu sprawę z powyżej wymienionej książki, która — powiedzmy odrazu — napisana gruntownie i sumiennie, z całym aparatem naukowym, wyczerpuje niemal zupełnie kwestyę werterowską w naszej literaturze. Wątpię, czy będzie można dorzucić coś zasadniczego do budowy, wzniesionej przez p. Wojciechowskiego. Może ten lub ów szczegół ulegnie zmianie; całość pozostanie taką, jaką nam skreślił autor wymienionej w nagłówku rozprawy. Na te zatem szczegóły, które — mojem zdaniem — wymagają pewnego sprostowania, zwróć uwagę czytelnika, dając przytem przegląd treści.

Autor podzielił swoją pracę na siedm rozdziałów, z których pierwszy zajmuje się Werterem samym, jego zależnością od „Nowej Heloizy,“ oraz wpływem na literatury europejskie. Trafnie odróżnia p. Wojciechowski trzy składniki tego arcydzieła t. j. istotę duchową bohatera, objawy zewnętrzne i motywy „werterowskie,“ fabułę i technikę powieściopisarską. Wogóle jednak, w tym pierwszym rozdziale za mało mówi autor od siebie, bądź wyręczając się Bielschowskim albo Erichem Schmidtem, bądź polemizując z szeregiem innych krytyków. Powstaje niejasny obraz tego, co nam mówi sam autor rozprawy o Werterze. Przytem tekst roi się od cytat, które dla czytelnika, nawet obeznanego dobrze z językiem niemieckim, są tylko uciążliwym balastem, a cóż dopiero mówić o wielkiej części tych, dla których ten język mało jest dostępny, jak np. w Kongresówce.

Zapewne, chcąc pisać naukowo, trzeba zawsze wiernie cytować oryginał, dałoby się jednak pogodzić jedno z drugim, gdyby w tekście figurowało tłumaczenie, a w przypisku lub na końcu książki w dodatkach właściwe brzmienie oryginału. Zwiększyłaby się może objętość studyum o kilka stron, ale zwiększyłaby się jego poczytność, a przynajmniej usunęłoby się ową trudność nieraz w uchwyceniu zasadniczej myśli autora, która kryje się bojaźliwie w kilku słowach między dwiema cytatami i pstrokacizną różnych języków na jednej stronie. Za wzór mogą nam służyć pod tym względem francuskie dzieła.

Czy Werter jest urodzonym pesymistą i bez względu na to, czy posiadałby Szarlotę, życie jego rozprysłoby się o tysiąc innych przykrości? Tak twierdzi Bielschowski i na jego autorytet powołuje się nasz krytyk. Co do mnie, nie widzę tego w utworze Goethego i wyznaję w pokorze, że mimo dowodzeń Bielschowskiego nie mogę

się dopatrzeć objawów prawdziwego pesymizmu u Wertera przed poznaniem Lotty. Krytycy niemieccy w pogoni za oryginalnością, przy wyczerpaniu się danego przedmiotu, znajdują nieraz w dziele rzeczy, które nie śniły się nawet autorowi. Twórca „Wertera“ widocznie znał tę skłonność swoich współziomków lub przewidywał zawczasu, co jego dzieła czeka ze strony chciwych komentatorów, skoro rzucił tę głęboko sarkastyczną uwagę ówczesnym literatom: w wykładaniu jesteście żwawi i dzielni, jeżeli nie objaśnicie (myśli), to podsuniecie (inną)¹⁾. Werter staje się pesymistą pod wpływem nieodwzajemnionej miłości i utwierdza się w tem coraz bardziej wskutek różnych zajść w życiu; na to zgoda, — ale nim nie jest od samego początku. Ani pogląd na przyrodę, ani pogląd na ludzi, jaki ma Werter na początku, nie licowałby z wrodzonym pesymizmem; to też jego zapatrywania należy raczej uznawać za optymistyczne, w których przebija się oddźwięk Russowej teorii o pierwotnej dobroci. Sam p. Wojciechowski musi przyznać, że pod koniec życia, w obliczu śmierci, Werter staje się nagle optymistą (str. 10); nie stałby się nim, gdyby jego pogląd dawniej nie był również optymistyczny. Bohater, stojąc nad grobem, wraca do swoich dawnych przekonań, odzyskuje swoją wiarę, której go pozbawiła nieszczęsna namiętność.

Drugie pytanie. Czy Werter jest zmysłowy? Krytyk, starając się obronić za wszelką cenę bohatera przed zarzutem, jaki go spotkał od Turczyńskiego, że jest „niemal zmysłowy,“ dochodzi, po subtelnej roztrząsaniu, do konkluzji nieco przesadnej. „Jego miłość jest najczystsza, najidealniejszą, czci on ukochaną swoją, ubóstwia, marzy o niej w dzień i w noc“... (str. 8). Czemże więc będzie wobec tego miłość Gustawa? Przecież zachodzi chyba znaczna różnica między Gustawem a Werterem. Bohater Mickiewicza jest rzeczywiście bez cienia zmysłowości, u Wertera natomiast, jak trafnie określił p. Bełcikowski, namiętność opauowała duszę i ciało. Krytyk nasz, nie mogąc temu zaprzeczyć całkowicie, tłumaczy nam bardzo misternie, że „zmysły budzą się w Werterze nagle, bez jego woli i nie przechodzą w żądze.“ Co upoważnia p. Wojciechowskiego do takiego wniosku? Chyba nie samo zapewnienie bohatera, że „kocham Lottę najczystsze uczuciem braterskim.“ Wszak Saint-Preux — który zdaniem krytyka, jest nie tylko zmysłowym, ale i lubieżnym — od lubieżności, toczącej jak rak ówczesne społeczeństwo francuskie, nie był zupełnie wolny; i twórca Nowej Heloizy, chociaż on to głó-

¹⁾ Im Auslegen seid frisch und munter — Legt ihr nich aus, so legt was unter.

wnie miota pioruny przeciw niej w swych pismach — Saint-Preux, powtarzam, jeszcze uroczyściej się zaklinał, że jego ukochana jest dlań świętą osobą, a na czem się skończyło, wiemy wszyscy. Czemuż wreszcie jest namiętne pragnienie pocałunku, albo końcowa scena porwania Lotty w swoje ramiona, jeżeli nie wyrazem zmysłowego pożądania? Jeżeli stosunek Wertera do ukochanej nie przekroczył granic przyzwoitości, jak w „Nowej Heloizie,” przypisać to należy bohaterce, u której silna wola i męski prawie charakter opiera się słodkim pokusom miłości, podczas gdy Julia zachęca kochanka, jest niemal wyzywającą stroną.

O pierwszych echach Wertera w Polsce nie wiele się da powiedzieć. P. Wojciechowski robi ciekawe spostrzeżenie, że kiedy inne literatury wyszły (!) od przekładu „Cierpień,” my rozpoczęliśmy od protestu przeciw dziełu... i, że zanim publiczność polska obznanomila się z Werterem, już starano się ją przed nim przestrziedz, wykazując zawczasu zgubne skutki lektury“ (str. 33—35). Było to w roku 1816 i 1818, ale już w następnych latach mamy kilka powieści, w których objawia się silny wpływ Wertera, oczywiście tylko w technice, w motywach werterowskich i w szczegółach dekoracyjnych. Są to „Nierozsądne Śluby“ Feliksa Bernatowicza (w roku 1820), „Emmelina i Arnolf“ Łucyi z Gedrojców Rautenstrauchowej (r. 1821) oraz „Julia i Adolf“ Kropińskiego (r. 1824), który to utwór krążył podobno, wedle zapewnień autora znany nawet Bernatowiczowi, już od roku 1810, w odpisach rękopiśmiennych. P. Wojciechowski prostuje dotychczasowe mniemanie krytyki, że te powieści powstały pod wyłącznym wpływem „Nowej Heloizy,” wykazując, że oddziaływanie Wertera jest nieraz silniejsze. Czy jednak od tych utworów dopiero rozpoczyna się wpływ Wertera w naszej powieści? myślę że nie; o ile sobie przypominam, widnieje on już, choć nieznacznie, w „Malwinie“, (w scenie pożegnania, oraz w kilku refleksjach wyrażonych przez osoby tam działające); nie mając pod ręką egzemplarza¹⁾, nie mogę poprzeć twierdzenia cytatami.

Z pośród wymienionych romansów uważać należy za najudatniejszy utwór Bernatowicza: przed Dziadami mowa miłości znalazła w „Nierozsądnych Ślubach“ z wszystkich utworów polskich XIX wieku najsilniejszy i najpiękniejszy wyraz: uniesienia radosnego, bólu, smutku głębokiego, nikt do owych czasów w sposób równy Bernatowiczowi nie oddał (str. 56). Krytyk zwraca również uwagę na

¹⁾ Raczej nie mogąc go nigdzie dostać w Amsterdamie, dokąd mię przypadek w tym czasie zagnał na blisko dwa tygodnie.

„widoczne analogie w stylu i w sytuacjach“ z poematem miłosnym Mickiewicza. Nie ulega, zdaje się, teraz wątpliwości, że poeta wileński w swoich pierwszych utworach był nie tyle, jak dotychczas się mniemało i wielu jeszcze mniemać będzie, pod wpływem obcych literatur, ile raczej rodzimej. Pierwszy impuls dała mu ojczysta poezja Niemcewicza, a nie zagraniczna ballada¹⁾. Czy Mickiewicz znał „Nierozsądne Śluby“? P. Wojciechowski nie udowadnia tego, ale przyjmuje, że chyba czytał jeden z najlepszych romansów swego czasu. Można się zgodzić z tem twierdzeniem, gdyż jest poparte wykazaniem kilku analogij i podobieństw niektórych sytuacji w obydwóch utworach.

W „Emmelinie i Arnolfe“ dopatruje się krytyk wpływu Richardsona. Zapewne, ten lub ów szczegół mógł być zapożyczony jeżeli nie od samego Richardsona, to od którego z jego licznych naśladowców francuskich; powątpiewać jednak należy czy „Arnolt“ ma wiele rysów Lovelace'a (str. 67). Te, które przytacza krytyk, przypominają raczej przechwałki „Fircyka w zalotach.“ — Oprócz trzech powyżej wymienionych powieści, mamy jeszcze dwie inne: „Żale Elwiry“ Kasperowskiego, które są protestem przeciwko gwałtownej miłości, jako sile niszczącej, oraz „Przyjaźń i miłość“ nieznanego bliżej autora, który się podpisał inicjałami E. Ł. Tu mamy — jak krytyk satyrycznie mówi — Wertera ulaskawionego, bohater bowiem doznawszy zawodu w miłości, żeni się z inną i stanowi od-tąd wzór „cnót domowych.“ — We wszystkich tych utworach ani śladu werterowskiego pesymizmu, natomiast występuje żywe poczucie natury; to też konkluzya, do której dochodzi p. Wojciechowski, wydaje mi się nader trafną i godną podkreślenia, że nie poeci nasi dopiero (rozumie się romantyczni) „pokazali nam boży świat w całej jego piękności, ale ci zapomniani autorowie romansów, ci którzy prostowali ścieżki pańskie... Oni też to także czynili pierwsze usiłowania

¹⁾ Ciekawe właśnie światło rzuca na tą sprawę, drukująca się obecnie w Pamiętniku literackim 1903/4 rozprawa p. W. Bruchmańskiego. Na str. 76 czytamy: Nasza analiza wykazała, że, chcąc zrozumieć rozwój poety wielkiego, trzeba naprzód, zanim się go wyprowadzi na wielkie pole literatury światowej, poznać aspiracje duchowe czasu, dążności estetyczne środowiska i predykcje literackie otoczenia najbliższego, w którym mu żyć przypadło... stwierdzono dalej, że pierwsze potrącenie Mickiewicza do tworzenia ballad wypłynęło nie z zagranicznych źródeł, ale było dziełem rodzimego rymotwórcy. Współczesna zatem literatura polska, jak się pokazuje ze studyum Bruchmańskiego, oraz z obecnego, pozostawiła głębsze ślady w umyśle naszego poety, niż się sądzi.

stylowe, oni olśnieni językiem Julii i Wertera wyłamali się z konwencyonalizmu deklamacji klasycznej i starali się przemawiać tak jakby przemawiał człowiek owładnięty uczuciem!¹⁾ (str. 86). Przez rozważanie utworów literackich z tego punktu widzenia, zyskujemy klucz do zrozumienia warunków, wśród których pojawia się arcydzieło, na pozór będące czemś zgoła odrębnem i nowem, a w rzeczywistości związane całym szeregiem drobnych nici z utworami poprzedniego lub współczesnego okresu. Objawia się przez to pewna stała łączność między jedną epoką a drugą, a na wykazaniu tego polega, jak sądzę, prawdziwie umiejętne traktowanie historii literatury porównawczej¹⁾.

Oceniając pierwszy i jedyny dotychczas u nas przekład Wertera, dokonany przez Brodzińskiego, zwraca p. Wojciechowski uwagę na liczne błędy i niedokładności tego tłumaczenia; jedne zwroty oddał tłumacz za słabo, drugie źle zrozumiał, inne wreszcie wyraził niepoprawną polszczyzną. Można by dodać jeszcze, że opuścił także niektóre myśli i zdania oryginału, czego, zdaje się, krytyk nie zauważył. Ale z drugiej strony godziłoby się zastanowić, czy wszystkie te błędy pochodzą od Brodzińskiego? Weźmy dwa dla przykładu. Autor „Wiesława“ nie zrozumiał niemieckiego tekstu tłumacząc: „Auch halt ich mein Herzchen, wie ein krankes Kind,“ przez zwrot: „Z mojem sercem tak się obchodzą, jak z chorem dzieckiem.“ Czy p. Wojciechowski wierzy na seryo, że Brodziński nie umiał nawet odróżnić pierwszej osoby liczby pojedynczej czasownika od trzeciej, liczby mnogiej? Chyba jasną jest rzeczą, że to błąd drukarski. Stosując do niniejszej książki, której recenzję piszę właśnie, podobną metodę, miałbym prawo na podstawie przypisku (str. 89) gdzie krytyk przytacza list Wertera z 22 listopada 93, zawyrokować, że autor pierwszej monografii o Werterze w Polsce niedbale czytał nawet jedynę dzieło, o którego wpływie napisał całą książkę, bo nie wie, że bohater umiera w r. 72 i że ten list datowany jest z dnia 24 listopada 72 r. Czy taki sąd nie byłby zupełnie mylny, o tem niech rozstrzygnie sam krytyk, który chyba nie ma bezwzględnej pewności, że po słowie „Sünde,“ autor a nie zecer opuścił pytajnik? (str. 89).

Z kolei rozważając wpływ niemieckiego romansu na Mickiewicza, zaznacza krytyk stanowczo i w przeciwstawieństwie do Kallenba-

¹⁾ Świetnie sformułował te prawa prof. Kawczyński i w licznych dziełach wykazał ich zastosowanie. Porów. rozprawę o „Dziadach,“ oraz o „Parthenopeusie“ lub „Amorze i Pysze.“ Wyd. Ak. Um. w Krakowie. Oddział filolog. r. 1894, 1901, 1902.

cha, że „nie zdołamy wykazać, iż przytoczone analogie są reminiscencyami z Wertera, bo poeta nasz znalazł się w podobnej sytuacji, jak Goethe, przeżywał podobne chwile“ (str. 106, 107). Niestety tylko w teorii hołduje p. Wojciechowski tym pięknym zasadom, w praktyce zaś krytyk stara się do wykazanych już podobieństw dorzucić ze swej strony pewną garstkę nowych i konstatuje z wewnętrzny zapewne zadowoleniem, że na ten rodzaj zawisłości nie zwrócono dotychczas uwagi (str. 113). Nie przeczę, że niektóre z nich są trafnie zauważone, ale też nie brak takich, które muszą wywołać ironiczny uśmiech na ustach trzeźwego czytelnika. Pozwolę sobie przytoczyć z nich dwa, aby dać dobitny przykład, do czego prowadzi mania wietrzenia wszędzie wzorów: „*Pomysłu przeprowadzenia uczucia przez trzy fazy: miłości, rozpaczy, przestrogi istotnie w Werterze nie spotykamy, dodajmy jednak, że tkwi on w „Die Leiden“ jeśli nie z intencji Goethego — to jako refleksya, która budzi się w czytelniku, po przeczytaniu romansu. Miłość i rozpacz widzimy tam, przestrogi dopatrywał (!) niejeden z krytyków Wertera (str. 119). Gdybym i ja chciał się dopatrywać wszędzie obcych wpływów, powiedziałbym, że p. Wojciechowski pisze swoją rozprawę pod bezpośrednim wpływem „Głównych prądów w liter. europ.“ Brandesa, który posługuje się identyczną dyalektyką; aby wykazać np. manię wielkości Renégo, powiada: „Wprawdzie nie występuje ona wyraźnie w utworze (co jest tym razem zupełnie fałszywem, jak to gdzieindziej wykazałem), ale snuła się w fantazyi całego świata czytelników po przeczytaniu utworu.“* Gdybym taki zarzut ukuł przeciwko książce p. Wojciechowskiego, musiałby mi sam autor dla konsekwencji przyznać rację, wątpię jednak, czybym przekonał bezstronnego czytelnika i czyby kto na seryo chciał się liczyć z podobnym twierdzeniem.

Nie widzę również specjalnego wpływu werterowskiej teorii samobójstwa, boć już Saint-Preux głosi, że kiedy nieszczęście przechodzi siły człowieka, można się uwolnić z ciężaru życia; a już wprost humorystyczne wrażenie musi obudzić następująca uwaga, zaznaczona mimochodem dla wskazania wpływu, jaki wywarła Rautenstrauchowa na Mickiewicza. „Scena widzenia się z Emeliną. kilka słów ledwo pada ze stron obu i Emelina *jak błyskawica zniknęła w ulicy onej.*“ Porównaj Dziady (str. 69):

Bądź zdrów—i w długiej ulicy
Niknie naksztalt błyskawicy.

Jakiż wniosek ma czytelnik wyciągnąć z tej, niby od niechcienia rzuconej myśli? Czy ma podziwiać niezwykły dar krytyka któ-

rego uwadze w wyszukiwaniu podobieństw nie nie uchodzi, czy uwierzyć, że Mickiewicz naprawdę po obraz szybkości musiał sięgać do romansu Lucyji z Gedrojców. Jeżeli to ostatnie, to zgoda; w jednym i w drugim utworze jest błyskawica — a podobieństwo między nimi jest takie, że to są... dwie błyskawice.

W dotychczasowych utworach odbił się jedynie Werter-kochanek, lecz Werter-filozof, Werter-pesymista przeszedł bez cicha. Pierwszy zwrot w tym kierunku stanowi dramat Witwickiego „Edmund,” uważany słusznie przez krytyków za parodię romantyczności. Liczne refleksje głębokiego pesymizmu świadczą o przejściu się filozofią werterowską (str. 135).

Jedynym śladem w literaturze emigracyjnej wpływu Wertera ma być według krytyka, pierwszy akt Kordyana. Myślę, że pesymizm, niekonsekwentny zresztą, nurtujący umysł „piętnastoletniego Werterka” przypisać należy raczej lekturze Byrona i Chateaubrianda, niż niemieckiemu utworowi. Podobieństwa, przytoczone przez p. Wojciechowskiego, są bardzo dalekie, a różnica zasadnicza między obydwoma bohaterami, którą zresztą podkreślił sam krytyk, t. j. że „Kordyan mimo głębokiego (?) pesymizmu pożąda jeszcze i szuka” ta różnica potwierdza w zupełności nasze przypuszczenie, że podobniejszy jest do Renégo, który również nie ustaje w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczący go ból i pesymizm. Bohater Słowackiego zwraca się do Boga ze skargą, że nie zdolny jest do pracy, bo nie ma wiary, René prosi Wszechmocnego, aby odmienił w nim starego człowieka, a będzie zdolny do czynu.

Pozostaje jeszcze cały szereg utworów, w których uwidoczniła się, w jednych więcej, w innych mniej, wpływ Wertera, możnaby jeszcze to i owo dorzucić lub zakwestyonować, lecz, by nie rozciągnąć i tak już nazbyt długiej recenzji, ograniczam się do kilku uwag. Godną wzmianki jest powieść Kraszewskiego „Poeta i świat,” gdzie w skreśleniu poetycznej młodości bohatera i bohaterki powieściopisarz poszedł mojem zdaniem, w ślady Chateaubrianda raczej i stosunek Renégo do siostry przeniósł na Gustawa i Maryę.

Z pośród wszystkich utworów, które powstały pod wpływem Wertera lub naśladowały go w pewnych cechach, jedynie w „Leśławie” Zmorskiego „wszechból,” jako okrzyk duszy przerażonej odkryciem, że zniszczenie jest koniecznością, że walka przeciw wszystkim jest dogmatem, znalazł pełny, niczem nie przyćmiony wyraz (str. 156). Syntezą zatem książki o wpływie Wertera na nasze piśmiennictwo jest słuszna konkluzja: Pełnego wyrazu „Welt-schmerzu” nie ma u nas wcale. Natura polska odepełniła od siebie filozofię pesymizmu i płynące z niej: gorycz i ból (str. 174).

Cóż tedy powiedzieć należy na zakończenie o tej książce, której poświęciliśmy tak dokładny rozbiór?

Oto, że się ją odkłada z pewnym żalem, iż takich więcej nie mamy w naszej krytyce. Są pewne niedokładności, czasem nawet fałszywe wnioski; są szczegóły tu i owdzie mylne, lecz któraż praca naukowa zadowolniła wszystkich? Pozwalając sobie od czasu do czasu na ironię wobec krytyka, bynajmniej, — co podnoszę z naciśkiem, — nie miałem zamiaru obniżyć wartości dzieła, które, jak się rzekło na wstępie, jest starannie, gruntownie i sumiennie napisane. Chciałem zwrócić uwagę, że są pewne skazy, które nie ujmując znaczenia książki, rażą przez swoją jaskrawość; a mam nadzieję, że je krytyk zechce wziąć pod rozwagę, gdyby się okazała kiedy potrzeba powtórnego wydania tej pracy. Był zaś już czas najpilniejszy, aby tego rodzaju książka u nas się pojawiła. Jak sama kwestya werterowska opóźnia się w naszej literaturze o pół wieku, tak i w wykazaniu wpływu tego prądu pozostaliśmy w tyle o jakie lat czterdzieści. Nie przychodzi praca za późno, bo wpływ Goethego nawet na literaturę zagraniczną jeszcze nie wyczerpany, tem mniej u nas. Również krytyka nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa o twórcy Fausta, rozumie się co do wpływu na poszczególne literatury. Jako dowód niechaj starczy jeden fakt, że w tym samym czasie kiedy u nas wyszła książka p. Wojciechowskiego, piśmiennictwo francuskie, tak zasobne już w prace o Goethem, wzbogaciło się o jeszcze jedno wielkie i gruntownie napisane dzieło, traktujące o wpływie tego poety na literaturę francuską ¹⁾

H. REINHOLD.

¹⁾ Ferdinand Baldenspeger: Goethe en France. Paris 1904. Hachette in 8, p. 393.

Kronika miesięczna.

Gospodarka miejska w Król. Polskiem.—Bezrobocia a lud wiejski.—Walka z nędzą w Warszawie.—Wobec niebezpieczeństwa ospy i cholery.—Opieka nad dziećmi więźniów.—Zabezpieczenie od pożarów.—Handel żywym towarem.—Zmiany w prasie.—Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Tadeusz Barącz.—Ś. p. Henryk Kieszkowski.

Niedawno złożony został w ministerjum spraw wewnętrznych opracowany przez doskonałego znawcę stosunków miejskich, adwokata Suligowskiego, memoriał, dotyczący gospodarki miejskiej w Król. Polskiem.

Nad memoriałem tym zastanawia się w obszernym artykule gazeta petersburska „Ruś“ i tak o nim mówi:

Autor, podkreślając zupełną zależność zarządów miejskich w Król. Polskiem, zwraca uwagę na snutne skutki tego systemu.

Ani opieka nad ubogimi, ani usunięcie żebractwa, ani organizacya instytucyj dobroczynnych, higienicznych i lekarskich, ani udział w ochronie zdrowia ludności, ani wreszcie oświata mas nie wchodzi w zakres działalności magistratów, które, jako organy administracyjne, stoją zdala od tego rodzaju spraw i zarządzeń.

W żadnem mieście, nawet w Warszawie, niema muzeum (z wyjątkiem niewielkiego przemysłowego). Niema w kraju żadnej biblioteki miejskiej, ani jednego teatru miejskiego (z wyjątkiem Kalisza), pomimo, że zbiorowiska miejskie rosną ciągle. Niema zbudowanych kosztem miasta domów na pomieszczenie szkół początkowych, przytułków, instytucyj dobroczynnych. Niema nigdzie łaźni i kąpieli miejskich. W zakresie działalności dobroczynnej zarządy miast prawie nie biorą żadnego udziału; poprzestają tylko na wydawaniu zapomóg niewielkich niektórym zakładom dobroczynnym.

Miasta w Król. Polskiem wcale się nie troszczą o organizację szkół początkowych i wogóle o oświatę dziatwy ubogiej, poprzestając na udzielaniu zasiłków pieniężnych na utrzymanie bardzo niedostatecznej ilości szkół.

Skutkiem tego, iż magistraty są zupełnie uzależnione, różne sprawy miejskie ciągną się nie tylko lata całe, ale dziesiątki lat. Prawie przed 80-iu laty była poruszona w Warszawie sprawa stworzenia bulwarów na brzegach Wisły i dotąd nie udało się tego projektu w czyn wprowadzić. Również długo się ciągnie i liczne fazy przechodzi budowa rzeźni centralnej.

Łódź pozostaje dotąd w najniepomyślniejszych warunkach higienicznych. Fabrykanci miejscowi w r. 1895 własnym kosztem opracowali projekt kanalizacji i urządzenia filtrów. Zaprośili do tej pracy specjalistów i wydali kilkadziesiąt tysięcy rubli. Projekt złożono w magistracie łódzkim w 1896 r., przyczem fabrykanci oświadczyli gotowość opracowania planu podatków z wszystkich domów i fabryk na utrzymanie tych urządzeń. Upłynęło 8 lat, projekt gdzieś uwiązł i o kanalizacji niema już więcej mowy. Takie duże miasta, jak Lublin i Kalisz, są w okropnych warunkach higienicznych. Grunty, na których one stoją, przesycone są odpadkami gnijących ciał organicznych. Woda do picia wszędzie zanieczyszczona, a choroby zakaźne nieustannie panują z niewielką przerwą chyba tylko podczas mrozów. Dość jest porównać sąsiednie miasta poza granicą pruską z naszymi, ażeby wynieść przygnębiające wrażenie. Tam domy murowane, bruki, chodniki, wogóle porządek i czystość, tutaj — ubóstwo, domki przeważnie drewniane i brak należytej gospodarki.

Taki system musiał się odbić szkodliwie na potrzebach i interesach miast Król. Polskiego. Takie miasta jak Warszawa, Łódź i inne ogniska przemysłowe, pod wpływem różnych czynników ekonomicznych rozszerzają się, ale ich wzrost nie idzie w parze z rozwojem kultury i dobrobytu ludności. Z wyjątkiem Warszawy w urządzeniach zewnętrznych innych miast polskich nie widzimy pożądanego postępu. Co zaś do potrzeb kulturalnych ludności miejskiej, to pozostają one dotąd niezaspokojone nawet w Warszawie. Postępy cywilizacji na blizkim zachodzie wywierają jednak pewien wpływ na miasta tutejsze. Wyższe warstwy ludności miejskiej bogacą się, zdobywają większą siłę i kulturę, ale masy ubogiej ludności, jeżeli się nie cofają, to w każdym razie nie czynią postępu ani pod względem fizycznym, ani moralnym, ani materialnym.

Skutkiem takich warunków rozwija się analfabetyzm. Oto procent analfabetów w miastach, w stosunku do ogółu ludności:— Warszawa 46. 53, Łódź 60. 79, Piotrków 54. 98, Będzin 69, Pabianice 62^o/_o.

Autor memoriału podkreśla tę okoliczność i zaznacza, że na tle takich stosunków smutnych i nienormalnych, łatwiej rozwijają się w ostrej formie wszelkie nieporozumienia i starcia społeczne. Jakoż byliśmy i jesteśmy w Warszawie takich nieporozumień świadkami.

Wreszcie charakteryzując stan rzeczy, autor kończy temi słowy :

„Na całej przestrzeni od Oceanu Atlantyckiego do Spokojnego, od leżących nad morzem miast francuzkich do Władywostoku —miasta Europy i Syberyi posiadają samorząd w tej lub innej formie. Tylko w Królestwie Polskiem na wielkiej przestrzeni od Kalisza do Terespoła potrzeby ludności miejskiej pozostawione są na łasce losu, skutkiem odsunięcia społeczeństwa od udziału w ich gospodarce. Takie położenie nienormalne musi wywołać rozdrażnienie. Społeczeństwo polskie widzi swoją krzywdę. Niezadowolenie szerzy się i potęguje, gdy złe staje się coraz bardziej dotykalne, gdy coraz widoczniejsze jest pogwałcenie potrzeb ludności.“

W konkluzyi autor uważa za warunek nieodzowny *samorząd miejski*, oparty na zasadach wyborczych, do którego powinni być powołani ludzie zżyci i obeznani z warunkami miejscowemi, znający dobrze potrzeby ludności.

*

*

*

Do ruchu, który ogarnął miasta, przyłączył się w ostatnich czasach ruch wiejski, wywołany niezdrową agitacją. Z rozmaitych stron kraju nadeszły już i nadchodzą głucho wieści o trzebieniu lasów, o postulatach, stawianych dworom, o bezrobociu parobków etc. Określić bliżej charakter tego ruchu — w chwili, kiedy to piszemy— nie jest rzeczą możliwą, gdyż żadnych, bliższych danych o tem nie posiadamy. To co wiemy, należy istotnie do kategorii wiadomości, które rozchodzą się bez jakiegokolwiek kontroli, rosną i olbrzymieją w opowiadaniach prywatnych, jednych przejmując grozą i wywołują wśród nich panikę, innych napełniają niewiarą w prawdziwość krążących pogłosek.

W każdym razie na dnie tego wszystkiego jest jedna smutna i bolesna prawda, jeden fakt, który zarysowuje się bardzo wyraźnie—to *ciemnota* naszego ludu, a stąd pochopność jego do ulegania wszelkiego rodzaju namowom i podszeptom.

Ta ciemnota powoduje, że lud nasz daje się tak łatwo obala- mucać śmiesznym pogłoskom o nowym podziale i nadaniu gruntów, że wydaje mu się możliwym zniesienie większej prywatnej własności ziemskiej na rzecz posiadaczy drobnych, że wreszcie mniema się uprawnocnionym do niszczenia lasów, zabierania inwentarza i t. d.

Nie wątpimy ani na chwilę, że ruch, na takich pojęciach oparty, nie rozleje się po kraju szerzej, że do stłumienia go wystarczy rozumna działalność duchowieństwa wiejskiego, które dotychczas nie utraciło jeszcze swoich wpływów na masy, że kazalnica kościelna będzie tu mogła skutecznie przeciwdziałać niesu- miennej agitacji, pochodzącej z zewnątrz.

Ale—bądź co bądź—ruch ten powinien wysunąć na czoło potrzeb chwili sprawę oświaty ludowej.

Dłużej—żadną już miarą z akcją w tym kierunku zwłóczyć nie można. Szkoła ludowa, dostępna dla wszystkich i ciesząca się zaufaniem ludności, jest nam nieodzownie potrzebna. Taka szkoła w ciągu lat kilkunastu może podźwignąć nasz lud z dzisiejszego stanu upadku i zdemoralizowania. Dopóki zaś jej nie otrzymamy, dopóki lud będzie odgradzony od nas murem ciemnoty, dopóki będziemy mieli na stu rekrutów - 82 nie umiejących czytać ani pisać — dopóty nie może być mowy o wzajemnem porozumieniu warstw ludowych i warstw inteligentnych, dopóty agitacja, może zawsze obrócić ciemne masy przeciw klasom oświeconym i rozbudzając najbardziej zwierzęce instynkty w ludzie, uczynić z niego siłę, nieświadomą swych celów, a niszczącą dobytek materialny i kulturalny całego społeczeństwa.

Sądźmy, że i władze rządowe nie inaczej dziś na tę sprawę u nas patrzą i że rychło uczynią wszystko co niezbędne do tego, aby *oświata* stała się *oświatą prawdziwą*, aby szkoła wiejska nie tylko uczyła mechanicznego składania zgłosek ale rozwijała umysł, serce i duszę ludu, w gruncie rzeczy pracowitego, cichego i poczciwego, a grzeszącego tylko swoją zupełną *niewiedzą*.

*

*

*

Nędza w Warszawie, w Łodzi i w innych ogniskach przemysłu naszego i handlu nietylko się nie zmniejszyła, ale w ciągu ostatnich kilku tygodni znacznie wzrosła.

Z jednej strony bezrobocia i bardzo długo trwające układy fabrykantów z robotnikami zwiększyły zastęp ludzi, pozbawionych pracy, z drugiej zbliżająca się wiosna i przednówek uczyniły życie trudniejszym znacznie dla tych nawet, którzy jakie takie środki posiadają.

Z tych względów sprawa akcyi ratunkowej dla głodnych i pozbawionych pracy, nie przestała być sprawą aktualną i z porządku dziennego nie zeszła. Przeciwnie—zajęto się nią gorliwiej i serdeczniej, niż dotychczas.

Przedewszystkiem zwiększyła się ofiarność publiczna. Jednocześnie zaś odezwały się głosy, nawołujące do przedsięwzięcia robót publicznych, które stałyby się źródłem zarobku dla licznej rzeszy biedaków.

„Nie o jałmużnę, ale o pracę powinniśmy się starać”—pisał ks. Skimborowicz w rozesłanej wszystkim pismom odezwie.

W jaki sposób?

Na to odpowiedział znów na łanach *Gońca* adv. przys. Z. Makowiecki.

— Musimy, pisze on, niezwłocznie poczynić starania o rozpoczęcie w całym kraju *robót publicznych*, bo one tylko mogą dać zarobek większej ilości osób, tak nagle pozbawionych pracy. Przedewszystkiem zaś należy rozpocząć je w wielkich miastach, jak Warszawa i Łódź, oraz w ogniskach przemysłowych.

Niepodobna wdawać się tu w bliższe praktyczne rozważenie tej myśli, wymagającej dużego doświadczenia gospodarczego i wspólnych narad ludzi fachowych. Ale już o wielu rzeczach mówiono. Tak więc wskazywano roboty ziemne; tu bowiem nic nie wydaje się na materyał, więc cały niemal wydatek idzie na zapłatę dla pracujących.

Każde bezwzględnie miasto w Królestwie potrzebuje różnych ulepszeń, należy tylko zająć się niemi szczerze, a podwójną zyskamy korzyść, odpędzimy z progu domostw naszych biedę i troskę i wyporządkujemy miasta nasze, dotąd posiadające smutną sławę ze względu na swe niechlujstwo i zaniedbanie.

Warszawa, gdyby pomyślała o swych 33 milionach i zeżebrała je umiejętnie zużywać właśnie w czasie tak dla nas krytycznym, Łódź, gdyby postanowiła uporządkować choćby dojazdy do dworców i lasek podmiejski, gdyby w każdym mieście gubernialnem i większem powiatowem stanął chociaż jeden szpital, gdyby

pomyślano o ulepszeniu dróg, o uregulowaniu rzek, o budowie gmachów szkolnych — widmo nędzy dałoby się zażegnać i kraj posunąłby się niemało pod względem kulturalnym.

Podjęcie robót publicznych wymaga oczywiście kapitałów, planu i dobrej woli. Ale sprawa jest tak pilna i paląca, że wolno apelować do społeczeństwa, aby ją energicznie wzięło pod rozwagę. Powinny się wszędzie znaleźć grona obywateli świątłych, czujnych i praktycznych, którzyby obmyślili środki rozpoczęcia robót publicznych właśnie w takim zakresie i kierunku, jaki byłby zgodny z potrzebami klas pracujących i wymaganiami kulturalnymi kraju.

Wszystko to bardzo pięknie. Wyobraźmy sobie nawet, że zgodnie z projektem p. Makowieckiego tworzą się grona „obywatele świątłych, czujnych i praktycznych“ i rozważają sprawę robót publicznych. Postanawiają budować mosty, regulować rzeki, naprawiać drogi, zakładać szpitale i t. d. Plany te są bardzo praktyczne, bardzo doniosłe i bardzo na czasie, ale jak wcielić je w życie?

Trzeba opracowywać projekty, trzeba je przedstawiać do zatwierdzenia, trzeba w odrzuconych czynić żądane zmiany i czekać nieraz lat kilka na możliwość przystąpienia do roboty.

Świeżo mieliśmy tego przykład z budową *trzeciego mostu*. Nie obywatele „czujni i świątli,“ ale same władze miejskie doszły do wniosku, że budowa tego mostu jest pilną i budowę tę chciały przyspieszyć, o ile się da. Tymczasem cały rok ubiegły minął na oczekiwaniu zatwierdzenia planów budowy i dopiero przed kilku tygodniami sprawa ta została nareszcie załatwioną.

A przecież *most* to także *roboty publiczne*. Do kategorii tych samych robót należą: budowa rzeźni centralnej, nowych hal targowych, gmachów na pomieszczenie szkół miejskich, tramwajów elektrycznych i t. d., a jednak wszystko to są dopiero projekty, do urzeczywistnienia których wiele brakuje.

Co więcej — miasto rozporządza na ten cel od dość dawna pieniędzmi, ma 33 milionową pożyczkę, która leży bez obrotu, a mimo to nie może projektowanych robót rozpocząć.

O robotach tych mówi się u nas już od samych początków przesilenia, jak o czemś, co ma nas zbawić i wyrwać z uścisków nędzy tysiące rodzin. Tymczasem — słońce nie wschodzi, a rosa czy wyjada.

Czy więc, rzucając hasło robót publicznych w tej chwili, a nie mając możliwości do bezwłocznego ich rozpoczęcia, nie usypiamy tylko opinii publicznej?

Roboty publiczne są nam potrzebne, są one środkiem doskonałym i znanym, stosowanym przez wszystkie rządy na świecie

w chwilach krytycznych, ale w naszych specjalnie warunkach nie dają one rękojmi przyjscia z szybko pomocą potrzebującym, bo dopóki nie mamy instytucji samorządnych, które są wykładnikami woli społecznej, dopóty wola ta może tylko *projektować*, a *czynić i działać* nie może, jak to wyjaśnia zamieszczony powyżej memoriał adw. Suligowskiego.

W chwili zaś obecnej potrzebna jest pomoc szybka, doraźna, z dziś na jutro, niepodobna bowiem powiedzieć głodnemu „czekaj cierpliwie jeszcze rok, a jak zaczniemy budować nową szosę, to zarobisz z pewnością.“

Rozważając więc sprawy robót publicznych, jednocześnie musimy wyteńczyć wszystkie siły, aby znaleźć inne, bliższe źródła zarobków, a zanim to nastąpi, pobudzać do ofiarności całe społeczeństwo.

W tym ostatnim względzie zasługuje na uwagę projekt, z jakim wystąpił w *Kur. Warszawskim* p. Jan Kownacki.

Na zasadzie długoletniego doświadczenia — pisze on — napewno twierdzić mogę, że jeżeli się w razie nagłej potrzeby społecznej wzywa do składek i pragnie się cel założony osiągnąć, to trzeba wzywać do tego nie jednostki, lecz ogół i oznaczyć z góry normę składek, tak, aby każdy z góry wiedział, ile od niego przypada, a wtedy składki — byle nie były ponad możność — obficie i ogólnie popłyną.

„Coś jest pociągającego w dawaniu składek na cel ogólny w taki sposób, aby norma ich z góry oznaczona została, bo każdy wtedy wie, ile ma złożyć, aby nie dać w stosunku do potrzeby i do innych — za wiele lub za mało. Nikt się wtedy od takiej składki nie uchyli. Większość uważa je za spełnienie obowiązku obywatelskiego, a pozostali nie chcą się okazać gorszymi.

Ogół nasz ma w głębi serca szlachetne popędy i z pewnością obowiązek swój spełni, byle tylko każdy wiedział, ile od niego przypada.“

Szukając następnie dróg do praktycznego wprowadzenia tej zasady w życie, p. Kownacki dochodzi do wniosku, że należałoby ustanowić jako normę składek na głodnych — 1% od sumy, płaconej tytułem komornego. Z tych małych kwot, o ile byłyby one ogólnie przez wszystkich mieszkańców Warszawy wpłacone, powstałaby bardzo poważna suma.

W końcu zaznaczyć należy, że Komitet pomocy dla głodnych rozpoczął starania o urządzenie specjalnej loteryi. Ponieważ o projekcie tej loteryi pisaliśmy już w zeszycie styczniowym, tu więc nie mamy już nic do nadmienienia w tej sprawie.

Taki jest ogólny obraz usiłowań, podjętych w celu walki z nędzą. Usiłowania te jednak przeważnie ześrodkowują się w Warszawie. O akcji ratunkowej na prowincyi (poza Łodzią, naturalnie) słyhać niewiele.

*

*

*

Pozostające w ścisłym związku z ogólną nędzą stosunki zdrowotne miast i wsi zajęły w ostatnich czasach żywiej opinię publiczną.

Lekarze odezwali się w tym przedmiocie złowróźnie, nawiązując do rychłej i sumiennej profilaktyki.

— Zbliża się wiosna — pisze kronikarz *Medycyny*, dr. Zygm. Srebrny — a z nią razem z przybytków nędzy i ciemnoty wychyla się ponure widmo *ospy*, za kilka tygodni usłyszymy o pierwszych zdobywcach tego wroga kultury i postępu, którego najazd coroczny zawczasu troską przejąć nas winien.

Jeżeli nie zrobiliśmy dotychczas, aby ciemny i zabobonny lud wbrew jego woli od ospy uchronić, to nie pozwólmy jej przynajmniej obfitego kosić plonu, nie czekajmy aż epidemia szerokie kręgi zatoczy. Rok ubiegły, w którym dopiero niemal pod koniec lata zaczęto borykać się z panującą ospą, był chyba dość wymownym dowodem ciężkich zapasów naszych z groźnym wrogiem. Więc, gdy w warunkach normalnych zajmujemy bodaj pierwsze miejsce wśród miast europejskich pod względem braku łóżek szpitalnych, to starajmy się przynajmniej o zrzucenie z siebie tej ohydy w ciężkich chwilach epidemii. Niech te codzienne skargi ludności ubogiej, brutalnie odpychanej od wrót szpitalnych, nie rozbrzmiewają przynajmniej w porze, kiedy jeden chory, siejąc zarazę naokół siebie, naraża dziesiątki zdrowych.

Jednocześnie w wschodu grozi nam nieprzyjaciel potężniejszy od ospy i bardziej jeszcze, niż ona spragniony skupienia swych ofiar w brudnych, dusznych, ciasnych mieszkaniach proletaryatu. Jeżeli w roku ubiegłym niebezpieczeństwo *cholery* szczęśliwie nas ominęło, to w bieżącym szansa ta jest o wiele mniejsza, zarówno z powodu ciągłego panowania epidemii na Kaukazie i po europejskiej stronie Uralu, jak i wskutek ogromnego skupienia wojsk na nieznaczej stosunkowo przestrzeni, co, jak uczy doświadczenie,

w dawniejszych wojnach nabyte, niezmiernie sprzyja szerzeniu się chorób zaraźliwych.

Jeżeli unikniemy nawet cholery, to nie do uniknienia latem będzie biegunka krwawa, z którą również liczyć się należy. A wszakże i z dżumą rachunki nie skończone. Tli ona ciągle na granicy Europy z Azją, a czy z łagodnego żarzewia nie buchnie łuna ognista—nikt nie zaręczy.

A więc ospa i biegunka krwawa *niechybnie*, a cholera i dżuma *prawdopodobnie*—oto grożące nam w tym roku upiory, z którymi do walki musimy być zawczasu gotowi. Ponieważ zaś skuteczność walki wyraża się przedewszystkiem dostateczną liczbą łóżek szpitalnych, więc pierwsze *memento* skierować należy pod adresem Warszawskiej rady miejskiej dobroczynności publicznej.

Obok jednak tego organu urzędowego—kończy dr. Srebrny—w szeregach walczących powinni stanąć lekarze, zwłaszcza wobec niezatwierdzenia przez władzę proponowanego Komitetu obywatelskiego. Rzecz jasna, że środki do walki, jakimi rozporządzają lekarze, są nader skromne, bo redukują się zaledwie do rad życziwych, ale—z drugiej strony—żaden odłam społeczeństwa nie ma tyle, co lekarze, sposobności stykania się z najróżnorodniejszymi sferami i szerzenia wśród nich rad zdrowych. W chwili zaś obecnej zadanie to staje się szersze i poważniejsze.

Tak mówi lekarz. Słowa te powinny nam zawczasu uprzytomnić niebezpieczeństwo, zbliżające się ku nam. Trzeba przewidywać i zapobiegać, a przedewszystkiem trzeba walczyć z nędzą, która jest najsilniejszym sprzymierzeńcem wielkich epidemij. Ona to hoduje chorobotwórcze bakterye, które mnożąc się w ciemnych izbach biedaków, docierają tam nawet, gdzie jest dobrobyt, hygieny i oświata.

*

*

*

Przed dwoma tygodniami rozpoczęło w Warszawie działalność nowe Towarzystwo humanitarne, którego zadanie stanowi *opieka nad dziećmi więźniów*. Dzieci od niemowlęctwa do 16 roku życia mogą być pupilami Towarzystwa, otrzymują z jego ramienia opiekę, pobierają naukę elementarną i przygotowują się do praktycznego życia.

Tak pojęta działalność Towarzystwa powinna wydać dobre i liczne owoce.

Więzienia nasze są przepelnione, białe chorągwie nie powiewają na nich nigdy, ciemnota i nędza są rodzicielkami całego szeregu przestępstw i zbrodni, za które prawo musi karać. Ludność naszych przedmieść, zwłaszcza takich, jak Wola lub Ochota, często miewa do czynienia z paragrafami kodeksu. A prawo jest bezwzględne. Zabiera ojca od rodziny, zabiera matkę drobnym dzieciom. W tym ostatnim wypadku dzieci oddane są na łaskę losu. Jeżeli zaopiekuje się nimi ktoś dobry i uczciwy, to są ocalone, jeżeli zaś tułają się po ulicy w otoczeniu, które zatruwa młode ich dusze, to paczą się w samym zaraniu istnienia i rosną na przyszłych przestępców. Zapobiedz temu może tylko staranne zabezpieczenie ich od wpływów źle działających, a więc przede wszystkim wyrwanie ze środowiska, które z dzieckiem więźnia postępuje okrutnie. Dziecku takiemu wypominają na każdym kroku fakt, że ojciec jego siedzi w „kryminale“, że matka jego jest „złodziejką“ i t. d. Dziecko—wszystko jedno, czy rozumie to już, czy jeszcze nie rozumie — reaguje na te wyzwiska albo głuchym, nieświadomym żalem, albo — nienawiścią, która zatacza coraz szersze kręgi i w końcu obraca się przeciw *całemu społeczeństwu*. Dziecko takie przed czasem czuje się już wyłączone z gromady ludzkiej za winy swoich rodziców, nie można się więc dziwić, że prędzej czy później wstępuje w ich ślady. Nie przyjęte bowiem do społeczeństwa, nie poczuwa się do obowiązku, wyrósłszy z lat dziecinnych, dla tego społeczeństwa pracować i dbać o jego pożytek. Przeciwnie zaś—jeżeli społeczeństwo przygarnie je do siebie, otoczy rozumną, a w miarę możliwości nawet i czułą opieką, jeżeli rozwinie duszę małego ulicznika, nauczy go kochać Boga i świat, zaszczerpi w jego sercu pewne mocne i niewzruszone prawdy — to wszystko to będzie stanowiło zbroję, o którą odbije się niejedna pokusa późniejsza. Dziecko przestępcy pozna wówczas, że po za światem jego rodziców istnieje świat inny, lepszy, gdzie praca i cnota mają wartość, gdzie uczciwością i prawością zdobywa się miłość i szacunek ludzki.

Otóż w tym kierunku działając, nowe Towarzystwo może się stać instytucją wielkiej wagi społecznej.

Nie wątpliny też, że znajdzie ono szerokie moralne i materialne poparcie w całym kraju, i że rychło powstaną jego filie w miastach prowincjonalnych, dzieci bowiem więźniów są nietylko w Warszawie, ale — wszędzie.

*

*

*

Zarząd wzajemnych ubezpieczeń rządowych w Król. Polskiem zwrócił się do ministerjum spraw wewnętrznych z przedstawieniem o potrzebie wydawania ludności włościańskiej *zapomóg bezzwrotnych* na pokrycie dachówką chałup wiejskich w miejscowościach gęsto zabudowanych, uznając środek ten za konieczny do zmniejszenia i ograniczenia klęsk ogniowych.

Ministerjum, jak świeżo doniosły o tem dzienniki, w zasadzie przychyliło się do tego przedstawienia, wypowiedziało się jednak przeciw *zapomogom bezzwrotnym*, proponując natomiast wydawanie interesowanym pożyczek długoterminowych, bezprocentowych na zasadach następujących:

Długoterminowe pożyczki bezprocentowe mają być wydawane na pokrycie dachówką budowli, których wartość ogólna w ręku jednego właściciela nie przewyższa sumy 3000 rb. Otrzymywać je mogą Towarzystwa wiejskie i miejskie, oraz osoby poszczególne, które jednak powinny przedstawiać dwóch odpowiedzialnych poręczycieli z pośród właścicieli domów. Pożyczka służy wszystkim posiadaczom budynków, zarówno nowo-budowanych, jako też dawniej wzniesionych, nie może przewyższać 75% całkowitej wartości dachu, a spłacać ją należy ratami przynajmniej raz do roku, w terminach, oznaczonych przez Zarząd.

Zarządowi pozostawiono prawo układania się z fabrykantami dachówek, od których materiały może być wzięty na rachunek pożyczki, lub też, wypłacać sumę pieniężną bezpośrednio samemu właścicielowi w gotowiznie, po ukończeniu dachu nad budynkiem i sporządzeniu rachunku przez wzajemne ubezpieczenie rządowe.

Ponieważ ubezpieczenie rządowe obejmuje wszystkie budynki w Król. Polskiem, gdyby więc zastąpiono na nich słomę, gont i wogóle pokrycia łatwo palne — *dachówką*, to szkody, zrażdżane przez ogień niewątpliwie znacznie zmniejszyłyby się. Z tego względu, aczkolwiek żałować należy, że wniosek Zarządu o *zapomogach bezzwrotnych* nie został przez ministerjum aprobowany, to jednak i pożyczki długoterminowe — bezprocentowe uznać należy za rzecz wielkiej wagi i pożytku.

Inowacya ta niewątpliwie odda ludności włościańskiej korzyści niemałe, o ile tylko włościanie zrozumieją swój własny interes i nie będą wahali się z zaciąganiem pożyczki lub — nie zechcą wstrzymywać się z tem do czasu budowania „nowej chałupy“, gdyż na starej „nie warto“ zmieniać pokrycia...

*

*

*

Handel żywym towarem należy do najczarniejszych plam na sunieniu ludzkości współczesnej. Rozumieją to społeczeństwa, rozumieją narody, państwa i rządy, a przecież mimo to wszystko handel ciałem kobiecym istnieje. Młode dziewczęta wywożone są z rozmaitych krajów do Ameryki, lupanary miast zamorskich rozbrzmiewają ponurą skargą biednych, zbezczeszczonej kobiet, gwałt dzieje się w obliczu prawa, drwiąc sobie z uczuć ludzkości. Sprytni agenci zastawiają swoje sieci po wsiach i miastach, korzystają z nędzy i z ciemnoty, i z łupem, zdobyłym zawsze w czas umieją umknąć, zacierając za sobą wszelkie ślady.

Od pewnego czasu jednak na tę smutną i bolesną sprawę zwrócono w Europie baczniejszą uwagę. Inicytywa prywatna powołała do bytu *Towarzystwo ochrony kobiet*, które rozwinęły owocną działalność we wszystkich prawie większych miastach, nie wyłączając Warszawy, rządy zaś zdobyły się na *akt międzynarodowy*, omawiający sprawy walki z handlem żywym towarem i sprawę wzajemnego pomagania sobie w tej walce.

Akt ten, podpisany w Paryżu dn. 18 stycznia r. b. zawarli: monarcha rosyjski, cesarz niemiecki, król belgijski, król duński, hiszpański, prezydent francuski, król angielski, król włoski, królowa holenderska, król portugalski, król szwedzki i norweski, wreszcie związek szwajcarski.

Umowa zawiera punkty następujące:

1-o Każde państwo, należące do umowy, obowiązuje się stworzyć lub wybrać instytucję z nadanemi prawami, której polecone będzie zbieranie wszelkich danych o werbowaniu kobiet i dziewcząt w celach rozpusty. Instytucya ta będzie miała prawo porozumiewania się bezpośredniego z pokrewnemi instytucjami innych krajów, należących do umowy.

2-o Każde państwo obowiązane jest ustanowić dozór dla wykrywania przewodników kobiet, zwerbowanych w celach występnych, szczególnie na dworcach kolejowych, w portach i na wszelkich liniach komunikacyjnych. W tym celu osobom urzędowym i innym będą udzielane odpowiednie wskazówki dla zebrania w granicach prawnych wszelkich danych, które mogą wykryć ślady handlu żywym towarem. O przybyciu współników lub ofiar takiego handlu będą zawiadomione odpowiednie władze, agenci dyplomatyczni albo konsularni, wreszcie wszelkie inne władze.

3-o W razie potrzeby rządy obowiązują się przyjmować zawiadomienia od kobiet i dziewcząt pochodzenia zagranicznego (sprowadzonych z drogi uczciwej) celem sprawdzenia ich osobistości i wyjaśnienia, kto je nakłonił do porzucenia ojezyczny.

Rządy w miarę możności obowiązują się ofiary handlu powierzając instytucjom społecznym i prywatnym, albo też osobom, zasługującym na zaufanie. Tak samo w granicach prawnych, o ile można, rządy obowiązują się wysyłać do kraju rodzinnego te kobiety lub dziewczęta, które same będą prosiły o to, albo te, o których odesłanie proszą osoby, mające nad nimi władzę. Odsyłać można dopiero po określeniu osobistości i narodowości, wreszcie miejsca i czasu, kiedy ofiary przybyły zagranicę. Każde państwo obowiązuje się pomagać w przewożeniu kobiet przez swe terytorya. Korespondencya, dotycząca przewozu będzie prowadzona możliwie bezpośrednio.

4-o W razie gdyby kobieta lub dziewczyna nie mogła sama pokryć kosztów przejazdu do kraju rodzinnego, a nadto, gdyby nie miała ani męża, ani krewnych, którzyby mogli pokryć te koszty, wydatki te bierze na siebie państwo, w którym znajduje się kobieta, aż do najbliższej granicy lub do portu; resztę ponosi państwo, z którego pochodzi ofiara.

5-o Postanowienia, zawarte w punktach 3 i 4 nie wpływają na osobne umowy poszczególne, istniejące pomiędzy państwami.

6-o Państwa, należące do umowy, obowiązują się w granicach prawnych ustanowić możliwy dozór nad kantorami lub agenturami stręczenia służby dla kobiet lub dziewcząt z zagranicy. Państwa, które nie podpisały umowy niniejszej, mogą do niej przystąpić.

Punkty 7, 8 i 9 dotyczą strony formalnej umowy.

Okazuje się z powyższego, że umowa międzynarodowa z dn. 18 stycznia może być wielkim krokiem naprzód w walce z występny handlem kobietami, gdyż umożliwia ona wszelkim instytucjom, a nawet osobom prywatnym szybkie, wzajemne porozumiewanie się w obrębie państw, na akcie podpisanych. To ważne ułatwienie może się w skutkach swoich okazać bardzo dobroczynnem, jeżeli tylko społeczeństwa do walki staną z całą świadomością pilnej potrzeby ostatecznego wyleczenia tej rany hańbiącej, która jątrzy się ciągle. Potrzeba do tego świadomego i łącznego działania wszystkich ludzi dobrej woli, którzy mają rozwiniętą wrażliwość moralną i nie utonęli w karygodnej obojętności na wszystko, co ich bezpośrednio nie dotyczy. A takich ludzi u nas jest przecież zastęp spory. Oni więc powinni skupić się około istniejącego Tow. ochrony kobiet i wspólnie z niem rozwinąć szeroką działalność ratunkową w kraju, który, niestety, dostarcza dużo „towaru“ na wywóz.

*

*

*

Pod firmą *Oddziału higienicznego łódzkiego* ukazał się szereg popularnych wydawnictw z zakresu medycyny. Są to małe, niezwykłe tanie książeczki, zawierające treściwie podane wiadomości o najważniejszych chorobach, sposobach rozpoznawania ich, zapobiegania im i leczenia. Cena każdej z tych książeczek wynosi *jeden grosz* ($\frac{1}{2}$ kop.).

Dotychczas wyszły z druku: a) dra Skalskiego: 1) Błonica (dyfteryt) i jak się przy niej zachować, 2) Świerzb, 3) O porodzie i położu, 4) O ospie; b) dra Tomaszewskiego: 1) Płonica (szkarlatyna), 2) Tyfus brzuszny (dur); c) dra Serkowskiego: 1) Zadania „Kropki mleka“ w Łodzi i 2) „Ani kropki wódki“; d) dra I. Watteny: Jak należy obchodzić się z ranami; e) dra S. Sterlinga: O suchotach czyli gruźlicy i jak się tej choroby wystrzegać (tablica ścienna z rysunkiem kolorowym); f) dra A. Goldmana: Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach; i g) dra J. Maybauma: Jak ustrzedz się chorób żołądka.

Przeglądając te broszury, trzymane w tonie popularnego, przystępnego dla ludności wiejskiej wykładu, mimowoli przychodzi na myśl, dla czego ta *groszowa literatura* zjawia się tak późno i dla czego obejmuje ona tylko jeden dział wiedzy — medycynę. Odpowiedź na to daje nam firma *Oddziału higienicznego łódzkiego*. Oddział ten istnieje, a więc istnieją i wydawnictwa. Natomiast niema komu zająć się popularyzacją prawa wśród warstw szerokich. Towarzystwa prawników dotychczas nie mamy. A jednak wydawnictwa w tym zakresie przydałyby się bardzo, bo jeżeli pożyteczną rzeczą w zakresie zdrowia fizycznego jest wiedzieć, *jak ustrzedz się chorób żołądka*, to równie pożytecznie jest poznać przepisy prawne i administracyjne, na których opiera się życie ekonomiczne i społeczne całego kraju. Nasz włościanin ma przytem do prawa ciekawość, kto wie czy nie większą, niż do medycyny, która zostawiona jest na wsi całkowicie kobietom. Niejeden pragnie wiedzieć nietylko to, co jest u nas, ale i to, co jest gdzieindziej: jak żyją, jak rządzą się, jakie podatki płacą w innych państwach i t. d. Wszystko to dla ludności włościańskiej jest księgą zawartą na siedm pieczęci i trudno zaiste, widząc wydawnictwo groszowe *Oddziału higienicznego łódzkiego*, nie zadać sobie pytania, dla czego ruch popularyzatorski w zakresie prawa nie zaczął się jeszcze?

*

*

*

W lutym r. b. pismo codzienne *Goniec poranny i wieczorny* przeszedł na własność spółki wydawniczej, złożonej z panów: Maurycego ordynata Zamoyskiego, inż. Maryana Lutosławskiego i Eligiusza Niewiadomskiego. Kierownikiem dziennika został p. Bolesław Koskowski.

Jednocześnie prawie p. Stanisław Libicki przestał być właścicielem *Kuryera codziennego*. Nowonabywcami tego pisma są pp. Hofnan, Grodecki i Życki.

Dziennik dla wszystkich również zmienił w tym czasie właściciela, a nabyty przez pp. Jeleńskich — ojca i syna — stał się pierwszym u nas dziennikiem o tendencyach tych samych, co *Rola*.

*

*

*

Dnia 12 marca r. b. zmarł we Lwowie ś. p. Tadeusz Barącz, znany i ceniony rzeźbiarz.

Ś. p. Barącz urodził się w r. 1849 we Lwowie, gdzie też początkowe ogólne i artystyczne odebrał wykształcenie. Studya specjalne w zakresie rzeźby odbywał w Krakowie i w Monachium, gdzie nagrodzony był medalem srebrnym za kompozycję konkursową p. t. „Wojna.“

Powróciwszy do kraju, osiadł Barącz we Lwowie, gdzie rozpoczął owocną działalność artystyczną, zyskując szeroką, jak na stosunki galicyjskie, popularność. Z pod jego dłuta wyszedł cały szereg popiersi i medalionów, pomników i rzeźb alegorycznych, które zjednały sobie duże uznanie.

Na wymienienie zasługują tu zwłaszcza medaliony: Siemiradzkiego, Rodakowskiego i Tepy; biusty: Lenartowicza, Szewczenki, Leona ks. Sapiehy, Ottona Hausnera i J. N. Kamińskiego.

Do większych kompozycji Barącz należy pomnik króla Jana Sobieskiego, postawiony przez Radę miasta Lwowa, na Wąłach hetmańskich. Pomnik ten wyobraża Jana III na rumaku. I jeździec i koń są nadnaturalnej wielkości. Posąg, odlany ze spiżu, czyni bardzo dobre wrażenie.

Nadto Barącz stawiał pomnik Chrzanowskiej w Trębowli, pomniki i nagrobki Henryka Szmitta i arcybiskupa Wierchleyskiego.

Był on także twórcą nagrodzonego na konkursie, ogłoszonym przez Polaków w Ameryce, projektu pomnika Tadeusza Kościuszki.

Pomnik ten jednak z powodu wielkiej kosztowności i braku odpowiednich funduszków — nie był wykonany.

Zmarł Barącz w sile wieku i w pełnym rozwoju swego talentu, który mógł jeszcze sztuce polskiej z pożytkiem służyć.

*

*

*

Jednocześnie w Krakowie zmarł ś. p. Henryk Kieszkowski, jeden z najczynniejszych działaczy na polu rozwoju życia ekonomicznego w Galicyi. Z nazwiskiem jego ściśle wiąże się powstanie pierwszego w tej dzielnicy Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. Obok działu ogniowego stopniowo Kieszkowski zaprowadził dział ubezpieczenia od gradów, ubezpieczenia na życie, wreszcie założył Tow. wzajemnego kredytu.

Ś. p. Kieszkowski posiadał wybitny talent organizatorski i rozległą wiedzę fachową. Przez długi szereg lat zasiadał w krakowskiej Radzie miejskiej, jako członek komisji skarbowej i przewodniczył Kasie oszczędności m. Krakowa.

Zmarł w sędziwych latach, otoczony powszechnym szacunkiem.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI i TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Na październikowym posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego przedstawionym został autoreferat *Aleksandra Jabłonowskiego* o najnowszym jego wydawnictwie, zatytułowanym „ATLAS HISTORYCZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ. Epoka przełomu z wieku XVI na XVII. Dział II-gi: „ZIEMIE RUSKIE“ RZECZYPOSPOLITEJ.“ Autoreferat, wydany niedawno w Sprawozdaniach z czynności i posiedzeń Akademii Umiejętności, wykazuje całą genezę wydawnictwa i objaśnia system, przyjęty przez zasłużonego autora.

Kiedy przed laty kilkunastu autor razem ze ś. p. prof. A. Pawińskim rozpoczęli w wydawnictwie „Źródła dziejowe“ dział p. t. „Polska XVI-go w. pod względem geograficznym i statystycznym“—uważali za rzecz nieodzowną przygotować równocześnie z opracowaniem materiału historycznego, niemniej i materiał do kartografii z poszczególnych dzielnic Rzeczypospolitej. Cieszyli się przytem nadzieją, że w ten sposób stworzą powoli podstawę do Atlasu historycznego całej Rzeczypospolitej w XVI w. i dadzą inicjatywę innym do opracowania powszechnego atlasu historycznego Rzeczypospolitej. Pracą tą podzielili się w ten sposób, iż odkładając Litwę ad feliciora tempora, ś. p. Pawiński wziął do opracowania dzielnice Piastowskie, autor zaś Ziemie Ruskie. Odpowiednio do tego każdy z nich miał przygotować stopniowo z postępowaniem wydawnictwa „Źródła“ i materiał kartograficzny. Niestety jednak chciało, iż prof. Pawiński, chociaż wydał przypadające mu programowo tomy dotyczące Wielkopolski, Małopolski i Mazowsza (bez Podlasia), odnośnych zaznaczeń na kartach wykończyć nie zdołał, gdyż śmierć jego przerwała tę pracę. Autor — szczęśliwszy — dział swój opracował.

Największą trudność — mając już zaznaczony cały materiał historyczno-geograficzny na odnośnych kartach t. zw. mapy generała Chrzanowskiego — przedstawiało to, w jaki sposób należy spożytkować i uwydatnić ten ma-

terywał, aby przedstawiał właśnie Ziemię Ruską Rzeczypospolitej XVI w.. aby obok ścisłego rozgraniczenia wszelkich działów i działków polityczno-administracyjnych, dawał nam przede wszystkim obraz ówczesnego stanu majątkowego posiadania i aby przytem nie pominąć rozlicznych gniazd miejscowego ziemiaństwa różnych odcieni etc. Biorąc bowiem za kanwę te same działy mapy gen. Chrzanowskiego, można było wykonać to w wieloraki sposób. Lecz który z nich wybrać — nie było rzeczą łatwą, gdyż dotychczas żadnego podobnego wzoru nie było...

Oczywiście dotyczyło to głównie stanu posiadania i tego, co z nim bardziej i bezpośrednio związane. Wprawdzie nie łatwiejszego nie było, jak podzieliwszy dobra ziemskie wogóle na kategorie, pokryć każdą z nich osobnym kolorem. Wystarczyłoby to wobec dóbr królewskich i duchowowych obojga obrządków; lecz jak postąpić z dobrami ziemiańskimi? Tyle wśród nich rozmaitości!

Co za różnica między olbrzymimi lutyfundjami pewnych rodów kniaziewskich, dynastycznych, tak z domu Ruryka jak i Gedymina, a dobrami średniej ręki, względnie ziemian pospolitych, choćby panów nawet. Co więcej — wśród kniaziewów sanych, nie jednego rodu dobra, np. Ostrogskich, Zbarskich etc., stanowiły wprost całą kategorię odrębną. A więc już nie dla kniaziewów wogóle, lecz dla dóbr każdego z owych wielkich rodów dynastycznych, wybrałoby się kolor osobny, przeznaczając tylko dla drobnych kniaziewów kolor jednolity.

To nawiązywało zbyt poważne trudności techniczne, zdecydowano więc wprowadzenie tylko 7-iu barw: kolor czerwony — dla dóbr królewskich, błękitny — duchownych obrządku łacińskiego, fioletowy — obrządku greckiego, brązowy — dla dóbr kniaziewów znaczniejszych, piaskowy — mniej zamożnych, zielony — ziemian zamożniejszych, żółty — średniej i mniejszej zamożności. Poza tem oznaczono numerami włości oddzielnych rodów, ażeby unaoecznić w ten sposób obszar posiadłości każdego domu książęcego lub szlacheckiego.

Po wprowadzeniu tego systemu, atlas przedstawia się tak:

Pierwsza i druga karta stanowią tytuł. Dwie karty następne (3-cia i 4-ta) obejmują wykaz dóbr podług wszystkich kategorii, a więc: dobra królewskie, duchowne i ziemiańskie, a wśród tych ostatnich, z należytem wyszczególnieniem, osobnemi rodami (domami), dobra kniaziewów — znaczniejszych i mniej znacznych, oraz ziemian — możniejszych i mniej zamożnych, przy których też i znaczniejsze gniazda szlacheckie.

W pojedynczych kategoriach nazwy ułożone są w porządku alfabetycznym i oznaczone liczbami w celu łatwego oryentowania się na tychże kartach atlasu. W wykazie powyższym przy każdym nazwisku posiadaczy dóbr podany jest i przynależny temu herb oraz wskazany numer mapy atlasu, na której, czy na których, dobra każdego z posiadaczy się znajdują.

Że zaś znaczniejsza część zaznaczonych w powyższym wykazie rodzin (domów) należała do pewnych grup rodowo-herbowych, więc dla szczegółowego uwidocznienia tego został podany na czwartej mapie poniżej wykaz inny p. l. „Grupy heraldyczno-rodowe,“ obejmujący domy 73-ich herbów. Ma on wartość nie tylko heraldyczną, — dając poważne wskazówki rozsiedlenia się ro-

dów, a zarazem wynagradza to, cośmy stracili, poniechawszy zasadę rodowoherbową, jaka była podstawą w pierwotnym atlasie — w pierwowzorze.

Na tejsze karcie (4) podano jeszcze objaśnienia znaków, użytych na kartach atlasu, jak również źródła, z których autor korzystał przy tej pracy.

Po tych 4-ch kartach wstępnych następuje 17 map samego atlasu. Łatwo się w nich oryentować. Granice, tak zewnętrzne, jak i wszelakich działów i działków—politycznych i majątkowych, nakreślone są wyraźnie; każda z kategorii dóbr uwydatniona właściwym kolorem; stolice województw, ziem i powiatów oraz główne ogniska włości podkreślone; podkreślone też w sposób odpowiedni wszystkie znaczne gniazda rodowe szlacheckie; obok tego, a co niepospolicie ważne, wyróżnione mocniejszymi (czy to błękitnymi czy czerwonymi) punkcikami osady istniejące już na przełomie w. XVI na XVII — od późniejszych lat nieznanych. W kategoriach dóbr ziemiańskich wogóle liczby wskazują rody czy domy właścicieli, których nazwy łatwo znaleźć we wstępnym wykazie; jak również nie trudno odszukać odwrotnie, znając \aleph posiadacza, jego dziedzinę na wskazanej w wykazie karcie (mapie). Nazwy zaś gniazd szlacheckich same wskazują, skąd się wzięły ich pierwotnych dziedziców nazwiska, które też dlatego rzadko występują we wstępnym wykazie.

Ponadto zaznaczone zostały na kartach (mapach) atlasu przy nazwach dzisiejszych znaczniejszych miejscowości, odmienne ich nazwy dawne, będące w użyciu na przełomie w. XVI na XVII.

Co do kwestyi granic, mianowicie samego uzasadnienia przeprowadzonych na kartach atlasu rozgraniczeń — tak wszelkich dzielnic polityczno-administracyjnych, jak i włości poszczególnych — autor daje nieco dokładniejsze wyjaśnienie. Oczywiście każdy zrozumie to doskonale, że owych granic, z epoki nas zajmującej, niepodobieństwem było podać z mierniczą ścisłością: przy wielkiej rzadkości aktów granicznych z tego czasu, oraz faktycznej chwiejności samych granic (jako dosadnie wykazywał autor w odnośnych ustępach „Źródeł Dziejowych“), dość było nakreślić je, ile się dało w przybliżeniu tylko, że tak powiemy, przeciętnie tylko. Ale czy tak, czy inaczej, trzeba je było nakreślić. Otóż tam, gdzie autor nie miał dokładnych wskazówek, musiał sam torować sobie drogę i rozstrzygać w ostatniej jakoby instancji. Z natury rzeczy podstawą całego procesu odtworzenia granic, mogło być jedynie poprzednie, wstępne rozgraniczenie poszczególnych włości. Otrzymywało się więc je w różnoraki sposób.—W pasach kraju mocniej zaludnionych, gdzie się miało dostateczne wykazy osad każdej włości, przeprowadzało się linię dzielącą środkiem, w równym oddaleniu, pomiędzy osadami włości sąsiednich. W pasach zaś mniej zaludnionych — podgórskich, poleskich, stepowych o rzadkich osadach, uwzględniało się nadto dorzecza, prowadząc linię dzielącą roztokami działów wodnych; a nawet w braku takich wskazówek, zaznaczało się granice matematycznie, przecinając bory etc. w równej odległości od osad ogniskowych dóbr pustynnych. Dodać jeszcze należy, iż wszędzie gdzie to było możliwe posiłkował się autor wykazami etc. z epoki późniejszej. Mając tedy w powyższy sposób wytyczone raz gromadzkie włości, nie trudno już było przeprowadzić i same granice powiatów, ziem i województw. Granice zaś

zewewnętrzne „Ziem Ruskich“ kombinowało się z podobnymi sąsiednich krain. Ruchomą granicę ukraińską od Pół dzikich i Zaporozża zatrzymano tę samą, jak na późniejszych kresach braclawsko-kijowskich. W samych zato Polach dzikich, zanikającymi liniami tylko, wskazał autor odrębne dorzecza czerkaskich i innych uchodników.

Takie oto pozytywne dane tej pracy, którą przyjąć należy z najwyższem uznaniem, jako owoc wieloletniej pracy seniora naszych historyków. Jako dokładne objaśnienie dla atlasu służą odnośne tomy „Źródeł dziejowych.“

— Na dorocznem posiedzeniu członków TOWARZYSTWA HISTORYCZNEGO WE LWOWIE omawiano stan obecny tej instytucyi. Towarzystwo liczy ogółem 290 członków. W roku ubiegłym otrzymało subwencyi od sejmu 1400 koron i 1200 od ministerjum oświaty. Redakcyę wydawanego przez Towarzystwo „Kwartalnika Historycznego“ po d-rze *Semkowiczu* objął dr. *Fryderyk Papée*.

— Sprawozdanie roczne TOWARZYSTWA POPIERANIA NAUKI POLSKIEJ, założonego we Lwowie przed trzema laty, wykazuje pokaźną liczbę 1124 członków. W ciągu ubiegłego roku wyszły nakładem Towarzystwa cztery dzieła z zakresu filozofii, historii, prawa i administracyi. Żywe poparcie społeczeństwa znalazła poruszona przez Towarzystwo sprawa zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincjonalnych w Galicyi. Dotąd zebrano na ów cel w samych książkach około 12000 tomów.

— Z LWOWSKIEGO TOWARZYSTWA PRAWNICZEGO. Dn. 20 stycznia r. b. odbyło się zebranie członków, na którem p. dr. *Godzimir Małachowski* wygłosił „Uwagi o studyach rządowych do reformy administracyi.“ Uwagi te były przedmiotem dyskusyi na osobnem zebraniu członków dnia 30 stycznia b. r.

Na zebraniu 27 stycznia b. r. mówił p. dr. *Ernest Till* „O naukowem przygotowaniu kandydatów sędziowskich.“

Dn. 24 lutego mówił prof. dr. *Piotr Stebelski* o najnowszym projekcie *Lammascha*, tyczącym się poprawy ochrony czci.

N O W E K S I A ǲ K I.

— BIBLIOGRAFIA POLSKA FILOZOFICZNA w układzie dziesiątym ideologicznym rozpoczęła wychodzić przy Przeglądzie Filozoficznym.

Inicytorem wydawnictwa jest ks. prof. dr. *J. Radziszewski*. W 3-im zeszycie zeszlórocznym Przeglądu Filozoficznego zaznaczał on potrzebę wydania Polskiej Bibliografii filozoficznej; obecnie projekt jego przychodzi do skutku i w końcu styczniowego zeszytu Przeglądu Filozoficznego znajdujemy kilka początkowych arkuszy bibliografii. Ponieważ jest to wydawnictwo bardzo ważne dla osób naukowo pracujących, więc też parę słów podajemy o niem.

Ks. Radziszewski w pracy swojej idzie śladem rozpoczętego już przez wyższy Instytut Filozoficzny w Lowadyum wydawnictwa, zatytułowanego „Sommaire Idéologique des ouvrages et de revues de philosophie.“ Lecz gdy

tanto wydawnictwo obejmuje ogólną bibliografię filozoficzną, ks. Radziszewski ogranicza się tylko do bibliografii wydawnictw filozoficznych *polskich* t. j. pisanych przez pisarzy polskich po polsku lub w obcych językach, jakoteż prac na język nasz przełożonych. Bibliografię swoją układa według systemu *dziesiątego—ideologicznego*. System ten, zaprojektowany przez Devey'a (w jego „Decimal classification and relative Index for libraries, clippings, notes etc.“) okazał się bardzo praktycznym, ułatwia bowiem zorientowanie się w całej literaturze filozoficznej i unaoacza rozwój całej nauki i wszelkich jej rozgałęzień. Według tego systemu każda nauka oznaczona jest umówioną cyfrą. Więć nauki encyklopedyczne liczbą 0; filozofia = 1; religia = 2; nauki społeczne = 3; filologia = 4; nauki ścisłe = 5; nauki stosowane = 6; sztuki piękne = 7; literatura = 8; historia = 9. Następnie, gdy chodzi o wyrażenie nauk bardziej złożonych, to symbol ich wyraża się liczbą skombinowaną, na podstawie powyższej tabelki. Tak np. dla wyrażenia historii filozofii otrzymamy cyfrę 1,9. Pod nią też spisane być mają w bibliografii wszystkie dzieła, dotyczące historii filozofii. Dzieła ogólne, dotyczące filozofii wyrażają się liczbą 1,0; metafizyka = 1,1 lub 1,2; antropologia = 1,3; systemy filozoficzne = 1,4; psychologia = 1,5; logika = 1,6; etyka = 1,7 i t. d. Chcąc wyrazić dalsze rozgałęzienia którejkolwiek z nauk filozoficznych, np. etyki, otrzymamy cyfry dla dzieł ogólnych z zakresu etyki 1,70, dla etyki indywidualnej 1,71 i t. d.

Grupując dzieła pod odpowiednimi cyframi, otrzymamy wyliczenie wszystkich dzieł, dotyczących danej nauki i każdego z jej rozgałęzień.

Taka bibliografia, inwentaryzując i klasyfikując wszystkie dotąd wydane dzieła filozoficzne, bądź to po polsku wydane, bądź to przez autorów polskich w obcych językach opublikowane, będzie miała ogromne znaczenie naukowe. Klasyfikowanie wszystkiego co się w chwili obecnej ukazuje i, cofając się wstecz, szeregowanie według tejsze metody dzieł, rozpraw, artykułów, które dawniej ogłoszone były, wiele rzeczy z pod pyłu zapomnienia wydobędzie, na przyszłość uchroni nie jedną pracę wartościową od takiegoż losu smutnego, naszą literaturę filozoficzną przedstawi w świetle właściwym, w pełnych kształtach, w bardziej ponętnym obrazie. Obok korzyści, jakie wydawnictwo przyniesie naszym pracownikom na polu filozofii, niemniej ważnem jest obznajomienie zagranicy z naszym ruchem filozoficznym.

Przystępując do druku pierwszych arkuszy bibliografii, obrano system następujący. Na początku wydawnictwa pomieszczono dokładną tablicę dziesiątną ideologiczną, która wykazuje odnośną cyfrę dla każdego z terminów filozoficznych (np. ateizm = 2,11; zbytek = 177,4 i t. p.). Ułożone według tych liczb tytuły pomieszczonych w bibliografii prac wydrukowano na oddzielnych kartkach, by można je poodcinać i na oddzielnych kartkach w katalogach ruchomych nalepić. Z drugiego egzemplarza katalogu ideologicznego utworzony będzie dział alfabetyczny bibliografii. W ten sposób otrzymamy dwa układy: ideologiczny, umożliwiający nam w bardzo krótkim czasie być *au courant* całej literatury przedmiotu, drugi—alfabetyczny da nam możliwość w kilka chwil dowiedzenia się co i kiedy każdy z myślicieli napisał.

— DANIEŁOWICZ IGNACY: „Kodex Napoleona w porównaniu z prawami polskimi i litewskimi.“ Wydał A. Kraushar. Warszawa, 1905. 8-o, str. 177+V z portretem autora.

Wśród poszukiwań swoich w bibliotekach petersburskich wydawca wypadkowo natrafił na niewydaną dotąd rozprawę *Ignacego Daniłowicza*. Datuje ona początków kariery naukowej przyszłego profesora prawa w uniwersytetach wileńskim, charkowskim i kijowskim, odnosi się do r. 1818 t. j. do czasu, kiedy Daniłowicz, jako magister prawa, ubiegał się o katedrę w wileńskim uniwersytecie. Rozprawę swoją pisał na temat zadany przez radę uniwersytetu, żądający wykazania różnic, jakie zachodziły w duchu prawodawstwa francuskiego, od uświęconych tradycją praw pisanych i zwyczajowych narodu polskiego i litewskiego; ponadto rozprawa miała wykazać, jakie paragrafy kodeksu Napoleona usunąć lub zmodyfikować należałoby dla użytku kodeksu w Polsce.

Wydawca słusznie zaznacza aktualność tych kwestyi... w 1818 roku. „Dyskusye nad kodexem Napoleona w owym właśnie czasie, przygotowawczo, w kołach specjalistów, a następnie na sejmowych obradach w Warszawie prowadzone, dały impuls Uniwersytetowi wileńskiemu—do wybrania takiego właśnie tematu.“

Zabrał się więc Daniłowicz do tej pracy, aczkolwiek — zdaniem samego wydawcy — dzisiaj nie odpowiada ona wymaganiom, jakie nauka stawia tego rodzaju porównawczym badaniom—niemniej jednak warta jest druku i jest „cenną“ pracą, przypominającą ogółowi zasłużonego badacza prawodawstwa ojczystego, a prawnikom — konieczność wyświeetlenia stosunku, jaki zachodził między prawodawstwem cywilnem francuskim, a temi prawami, jakie u nas do tego czasu postępowaniem rządziły.

Rozprawa Daniłowicza swego czasu przesłaną była do oceny ks. Adamowi Czartoryskiemu, jako kuratorowi szkół litewskich. Na rękopisie biblioteki Petersburskiej wydawca odnalazł liczne dopiski i uwagi Czartoryskiego, które uwidocznił w książce odmiennym drukiem. Uwagi te powiększają znacznie wartość wydawnictwa.

Pozatem A. Kraushar podaje życiorys Daniłowicza, dokładniejszy od wszystkich dotąd ogłoszonych.

— GIEDROYĆ FR. DR.: „Poglądy lekarskie Reja. 1505—1905.“

Z powodu ogólnego zainteresowania się osobistością Reja, którego rocznicę urodzin w roku bieżącym Akademia święćić zamierza zjazdem historycznym — autor w niniejszej pracy przystępuje do zreasumowania pojęć fizjologicznych i terapeutycznych Reja, wyrażonych w jego pracach. Przekonywamy się z tego, jak naiwne były ówczesne pojęcia lekarskie, tak wyraziście i dowodnie nieraz wypowiedziane przez autora „Żywota człowieka poczciwego.“ Jestto przyczynek do charakterystyki nie tyle Reja, ile raczej jego epoki.

— JANKOWSKI CZESŁAW: Wspomnienia. Warszawa, 1905. 8-o, str. 55.

Autor, jeden z celniejszych naszych publicystów, snuje tu barwną ić wspomnień szkolnych z Mitawy. Podaje rys historyczny Kurlandyi i stonsunków polsko-kurlandzkich, streszcza historię miasta Mitawy. Książkę ozdabiają liczne ryciny; większą jej ozdobę stanowią liczniejsze a barwniejsze obrazy, skreslone wytwornem piórem utalentowanego pisarza.

— METRYKA LITEWSKA. (Litowska Metrika T. I. Russkaja istoriczeskaja biblioteka, izdawajemaja imperatorskoju Archeograficzekoju komisiej T. XX. Petersburg, 1903. 8-o, str. VII + 50 + 1564 + 258 + IV + 5 kart facsimilów).

Metryka litewska (archiwum W. ks. Litewskiego) złożona w Moskwie w archiwum ministryum sprawiedliwości, jak wiadomo, mało jest dostępną dla szerszego ogółu, a zawiera materyały pierwszorzędnej wagi dla historii Litwy. W 1895 r. prof. S. A. Berszadzskij wystąpił do petersburskiej komisyi Archeograficznej z propozycją wydania najdawniejszych ksiąg Metryki Litewskiej, upatrując w nich wiele cennych materyałów do historii prawa na Litwie. Komisyja, uznając wywody prof. Berszadzkiego za słuszne, zadecydowała ogłoszenie drukiem ksiąg Metryki Litewskiej, powierzając tę pracę P. A. Hiltebrandtowi, a na prof. Berszadzkiego wkładając obowiązek zaopatrzenia wydawnictwa w przypiski prawne. W ten sposób powstał pierwszy tom wydawnictwa, który obejmuje pierwsze trzy księgi Metryki t. zw. *księgi sądowe*. Treść ich jednak nie odpowiada ściśle tytułowi. Obejmują one oprócz spraw sądowych liczne przywileje, nadania, sprawy poselskie, opisy miast, włości etc. od r. 1469—1523.

Metoda całego wydawnictwa staranna, tak w zachowaniu pisma, wszelkich zmian językowych, jakoteż w ułożeniu całości. Na początku (na 50 str.) podana jest krótka treść wszystkich dokumentów w układzie chronologicznym. W końcu tomu dwa starannie opracowane indeksy: imienny i rzeczowy.

— ODDZIAŁ HYGIENICZNY ŁÓDZKI wydał następujące broszurki popularne: Blonica (dyfteryt) i jak się przy niej zachować, d-ra S. Skalskiego; Płonica (szkarlatyna), d-ra A. Tomaszewskiego; Świerzba (z 2-ma rysunkami w tekście), d-ra S. Skalskiego; O porodzie i położu, d-ra S. Skalskiego; Tyfus brzuszny, d-ra A. Tomaszewskiego; Zadania „Kropli Mleka“ w Łodzi, d-ra S. Serkowskiego; Jak należy obchodzić się z ranami, d-ra J. Wattena; O suchotach czyli gruźlicy, jak się tej choroby wystrzegać (tablica ścienna z rysunkiem kolorowym), d-ra S. Sterlinga; O ospie, d-ra S. Skalskiego; Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, d-ra A. Goldmana; Jak ustrzedz się chorób żołądka, d-ra J. Maybaum; Ani kropki wódki! d-ra S. Serkowskiego; Kalendarzyk „Kropli Mleka“ na r. 1905, zawiera: O kuchni i gospodarstwie domowem, W. Serkowskiej; — Hygiena niemowlęcia, d-ra A. Rząd; — Hygiena wobec chorób płucnych, d-ra S. Sterlinga; — Hygiena jamy ustnej i Uwagi dentystryczne, d-ra J. Maybaum.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— HERBARZ POLSKI BONIECKIEGO. Ukazał się nie dawno zeszyt pierwszy tomu VIII-go. Obejmuje nazwiska od Humański do Ilnicy. Znajdujemy tu obszerniejsze monografie następujących rodzin: Humieckich h. Junosza, Humieckich h. Gozdawa, Hurkowie h. własnego, Hussarzewskich h. własnego, Prus i Sas, Iliniczów h. Korczak i Ilińskich h. Lis.

— HOMILETYKA, pismo miesięczne, poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu pod kierunkiem literackim *ks. Maryana Nassalskiego*, Mag. Teol. Zeszyt II (Luty). Włocławek, 1905. Zawiera: Samoobrona moralna;—O miłości duszpasterza u parafian. Kazania: na niedzielę 4-tą postu: O spowiedzi przez bisk. K. Fischera; — na niedzielę 5-ą: O zadośćuczynieniu; — III, IV i V kazanie o Męce Pańskiej; — kazanie na uroczystość św. Józefa. Wyższy katechizm ludowy. Wiad. teologiczno-pastoralne. Bibliografia.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Rocznik III, zeszyt IV za r. 1904. *Edward Porębowicz*: Teorya średniowieczna „miłości dwornej“; — *K. M. Górski*: Karpiński w latach 1771 — 1780; — *Kazimierz Kaszewski*: Mickiewicz i epopeja; — *Aleksander Brückner*: Spór o Bogarodzieę; — *K. Jarecki*: Spór o dwu Zimorowiczów; — *Szymon Matusiak*: Chronologia listów pani Puttkamerowej do Zana i Mickiewicza; — *Władysław Mickiewicz*: Uczta na cześć Aleksandra Chodźki; *Stanisław J. Witkowski*: Czas napisania Genesis ducha i jej stosunek do Samuela Zborowskiego; — Przyczynek do twórczości ostatnich lat Juliusza Słowackiego; — *Wiktor Hahn*: Poeta i natchnienie Jul. Słowackiego; — *Bronisław Czarnik*: Notatki bibliograficzne; — *Henryk Kopia*: List Gołuchowskiego Józefa do J. S. Bandtkiego; — *W. Hahn*: Kartka z autografu Króla Ducha.

PORADNIK GRAFICZNY. Miesięcznik poświęcony drukarstwu, litografii, cynkografii, fotografii i t. p. Kraków, styczeń 1905. Zeszyt I.

W ozdoby szacie wydany pierwszy zeszyt tego nowego czasopisma zapowiada jego rozwój w przyszłości. Wydawnictwo wielce potrzebne wobec rozpowszechnienia się u nas artystycznego kierunku sztuki drukarskiej. Miesięcznik kładzie sobie za zadanie z jednej strony kształcenie naszych zecerów, rytowników i rysowników, z drugiej strony wykazanie ogółowi, że zakłady nasze stoją na wysokości zadania i śmiało rywalizować mogą z zagranicznymi typografiami. Pismo pomieszczać będzie artykuły z grafiki, obecnego jej stanu, wynalazków na tem polu, rozwoju grafiki w ciągu XIX st. i t. p. Wydawnictwo ozdabiać będą najcelniejsze reprodukcye graficzne i fotograficzne.

Niniejszy numer zawiera szczegółowe zdanie sprawy z wystawy drukarskiej urządzonej w r. b. w Muzeum Czapskich. Projekt utworzenia Muzeum Retrospektywnego sztuki drukarskiej. Artykuły: Ręczne i mechaniczne przyrządzanie klisz ilustracyjnych. Fotografia w zastosowaniu do przemysłu produkcyjnego. Po za tem wiele reprodukcji i objaśnień technicznych. Wydawnictwo piękne wydane starannie.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY w zeszycie pierwszym b. r. pomieszcza studjum *Władysława Szumowskiego*: Kartezyusz i Malebranche, jako poprzednicy

teorii uczuć Karola Langego. — W dziale zatytułowanym „Przegląd Krytyczny“ rozprawę *Dr. Wł. M. Kozłowskiego*: Umysł i ciało, oraz ich wzajemny stosunek. — Następujące autoreferaty: *Casimir de Kelles-Krauz*: L'origine des interdictions sexuelles; — *Dr. Wł. M. Kozłowski*: Historia filozofii; — *Dr. Ludwik Brunner*: Pojęcia i teorie chemii; — *Bronisław Bandrowski*: O metodach badania indukcyjnego; — *Dr. Karol Rozenfeld*: Marzenia senne; — *Stanisław Schneider*: Rzut oka na dzieje orfiki w starożytności i nowszych czasach; — *E. Th. Erdmann*: Drei Beiträge zu einer allgemeinen Theorie der „Begriffe“; *Jakób Lewkowicz*: John Locke i jego filozofia. — W dziale „Sprawozdani“: *Stanisława Brzozowskiego*: Józef Kremer jako pisarz, filozof i estetyk, przez Maryana Borowskiego; — *Janiny Mortkowiczowej*: Wychowanie estetyczne, przez d-ra Wł. Witwickiego; — *Ch. Renouvier*: Manuel républicain de l'homme et du citoyen, przez d-ra Wł. M. Kozłowskiego; — *James Mark Baldwin*'a: Dictionary of Philosophy and Psychology, przez Wł. Wojtowicza; — Drugi kongres filozoficzny międzynarodowy w Genewie, przez d-ra Wł. M. Kozłowskiego; — Z kongresu psychologii eksperymentalnej, przez prof. d-ra K. Twardowskiego. Wiadomości bieżące obejmują: Słówko o Salomonie Majmonie; — Z polskiego Towarzystwa Filozoficznego; — Sprawozdanie Kółka Filozoficznego we Lwowie; — Osiedziesiąta rocznica urodzin Kuno Fischera; — Towarzystwa; — Osobiste; — Odczyty d-ra Wł. M. Kozłowskiego o filozofii współczesnej; — Umarli; — Książki nadesłane do redakcyi.

W końcu zeszytu znajdujemy pierwsze arkusze bibliografii filozoficznej w układzie dziesiętnym-ideologicznym ks. dr. J. Radziszewskiego.

— PRZEGLĄD POLSKI, za luty b. r., pomieszcza następujące rzeczy: *Zygmunt Taszycki*: dramat w 5-ciu aktach (ustęp z dziejów aryanstwa), przez Ludwikę Dobrzyńską Rybičką; — Z polityki monetarnej, przez D-ra Józefa Milewskiego; — Nietzsche i Tolstoj, dwa przeciwieństwa myśli współczesnej, przez Walerego Gostomskiego; — Pamiętniki bar. Heykinga (1752—1796) [dokonczenie]; — Sprawy krajowe: Opieka publiczna nad ubogimi w Galicyi, przez D-ra Jerzego Michalskiego; — Kronika literacka; — Teatr krakowski, przez D-ra F. Konecznego; — Muzyka w Krakowie, przez Witolda Noskowskiego; — Przegląd polityczny; — Z powodu mobilizacyi rosyjskiej, przez XX.

— Zeszyt marcowy PRZEGLĄDU SĄDOWEGO i ADMINISTRACYJNEGO, wydanego we Lwowie przez *prof. Ernesta Tilla* pomieszcza prace: Nowożytnie zadania filozofii prawa, prof. D-ra Juliusza Makarewicza; — Uwagi o studiach rządowych do reformy administracyi, D-ra Godzimiry Małachowskiego; — Zbrodnicze zaniechanie. (Studjum z prawa karnego), D-ra Jana Paygerta; — Kara celowa, D-ra Konrada Krókowski; — W końcu zeszytu: Zapiski literackie i Kronikę.

— TOWARZYSTWO: „POLSKA SZTUKA STOSOWANA“ wydało piąty zeszyt „Materiałów,” redagowany przez pp. *Eduarda Trojanowskiego* i *Jerzego Warchałowskiego*. Siedm plansz, jakie mieści zeszyt, wydany nadzwyczaj starannie, w dyskretniej okładce pomysłu p. *Dąbrowy*, składają ponownie świadectwo o bogactwie naszej sztuki ludowej i motywów, jakie kryje w swem łonie. Zwracają uwagę zwłaszcza trzy przesliczne wycinanki: jedna z okolic Warszawy, druga

z pod Łowicza, trzecia wreszcie również z Łowickiego. Nadzwyczaj interesujące są ozdoby wyciskane na okuciach przy dyszlach w Raciborowicach pod Krakowem. Zeszytu dopełniają fotografie paru ciekawych budowli, wizerunek skrzyni łowickiej i paru przedmiotów z zakresu sztuki ludowej w Zakopanem. Zeszyt odbiła bardzo starannie drukarnia Anczyca i S-ki, litografie wykonał p. Prószyński.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA. — TEOLOGIA.

BRZOZOWSKI STANISŁAW: Zasady psychologii, popularnie wyłożone. („Książki dla wszystkich” № 186). Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 16-o, str. 101 + II.

CIESZKOWSKI AUGUST: Ojciec nasz. Tom I. Wstęp. Poznań, 1905. Wyd. 3. 8-o, str. 395 i 1 k. nl.

HUME DAWID: Badania dotyczące rozumu ludzkiego (An Enquiry concerning human understanding). Przekładu dokonali dr. Jan Łukasiewicz i prof. dr. Kazimierz Twardowski. Lwów, 1905. Nakład. Pols. Tow. filozoficznego, H. Altenberg we Lwowie, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 248 i 1 nl.

JABŁOŃSKI, KS. P.: Kazania pasyjne, wypowiedziane w kościele parafialnym w Płocku. Warszawa, 1905. Skład gł. w księgarni „Kroniki Rodzinnej.” Druk. E. Skowrońskiego. 8-o, str. 62.

MAETERLINCK MAURICE: Piękność wewnętrzna i życie głębokie. Przekład i przedmowa Gustawa Baumfelda. („Bibl. powsz.” № 506). Lwów-Złoczów, 1905. Nakład. i druk. W. Zukerkandla. 8-o, str. 44.

TUROWSKI SZCZĘSNY: Sprawozdanie z I zjazdu abstynentów we Lwowie, 10 lipca 1904 r. Wyd. Eleuteryi № 4. Kraków, 1905. Nakład. Tow. Eleuterya. 8-o form. mały, str. 68.

H I S T O R Y A.

BAUNARD, MONS., Dyr. fakult. teol. w Lille: Jenerał Sonis. Życiorys spisany na podstawie pozostałych papierów i korespondencyj. Przekład z 10go franc. wydania. Warszawa, 1905. Wydawnictwo X. M. Godlewskiego. Druk. Piotra Laskauera. 8-o, k. nl. 5 + str. 372.

BURKHARDT JAKÓB: Kultura odrodzenia we Włoszech. Tłómaczenie według VIII wydania, opracowanego przez Ludwika Geigera przez L. M. T. I. Kraków, 1905. Spółka wydawnicza Polska. Druk. Czasu. 8-o, str. 330+2 nl.

LAUDMANN KAROL: Napoleon I. Przekład *Jana Kleczyńskiego*. Warszawa, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner. Druk. P. Laskauera i Sp. 8-o, str. 159.

POTKAŃSKI KAROL: Zajęcie Wielkopolski (rok 1313—1314). Studya nad XIV wiekiem, № VIII. Odb. z t. XLVII, „Rozpr. wyd. histor. filoz.“ Kraków, 1905. Nakład. Akad. Um. Spółka wyd. Polska.

TROSKOLAŃSKI TADEUSZ DR.: Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup wrocławski i krakowski (1496—1560). Monografia historyczna. Odb. z „Przewodnika nauk.“ Tom II, cz. I. Lwów, 1905. 8-o, str. 166.

TRZCIŃSKI T. DR. KS. i A. L. KS.: Krótkie wiadomości z bibliotek gnieźnieńskich. II. Katalog rękopisów biblioteki seminaryjnej w Gnieźnie aż do w. XVI włącznie. Poznań, 1904. Odb. z „Przegl. Kość.“ Druk. i księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 42.

WĘŻYK FRANCISZEK: Powstanie Królestwa polskiego w r. 1830—1831. Pamiętnik spisany w r. 1836 przez... kasztelana-senatora Królestwa polskiego b. prezesa Tow. nauk. krak. Wyd. wznowione. Kraków, 1905. Spółka wydawnicza polska.

PRAWO. — EKONOMIA.

ENGESTRÖM - BENZELSTJERNA WAWRZYNIEC: Maksymilian Jackowski, patron kółek rolniczych włościańskich w W. Ks. Poznańskim. Wspomnienie pośmiertne. Poznań, 1905. Nakład. i druk. Jar. Leitgebra.

LUBAŃSKI F.: Wyniki zbiorowych doświadczeń organizowanych przez Podolskie Towarzystwo rolnicze. Odb. z „Tyg. rolniczego.“ Kraków, 1904. Nakład. Tow., druk. Uniw. Jagiel. 8-o, str. 20.

MAKAREWICZ J.: Stammlers Lehre vom richtigen Recht. I Theil. Extr. du Bull. de l'Acad. des sciences. Cracovie, 1905. Impr. de l'univ. 8-o, str. 119—123.

HISTORYA LITERATURY I OŚWIATY.

BALICKI ANTONI EUZEBIUSZ: Bolesław Śmiały i Stanisław Szczepanowski w poezyi polskiej. Spół. wyd. pol. Kraków, 1905. 8-o, form. wydł., str. 167.

HUBE ROMUALD: 1803—1890). Studium biograficzno-bibliograficzne. Skreślił *Karol Dumin*. Warszawa, 1904. 8-o, str. 84.

KATALOG literatury naukowej polskiej (Catalogue of polish scientific literature), wydawany przez komisję bibliograficzną wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejęt. w Krakowie. Kraków, 1905. 8-o, str. 32. Tom IV, zesz. I—II, r. 1904.

KOLŁATAJ H. KS.: Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750—1764) z przedmową *Henr. Mościckiego*. Dzieje porozbiorowe narodu polskiego w żywym słowie. I. Dodatek dla prenum. „Tygodn. Illustr.“ Warszawa—Kraków, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 183.

KRONIKA Uniwersytetu Jagiellońskiego 1903—1904 za rektoratu *prof. d-ra Edmunda Radwan Krzymuskiego* i otwarcie roku szkolnego w dniu 12 października 1904 przez nowego rektora *prof. d-ra Napoleona Cybulskiego*. Kraków, 1905. Nakład. Senatu Akademickiego. 8-o, str. 46.

MAGIERA JAN: Mikołaj Rej, ojciec piśmiennictwa polskiego, opowiadanie z dziejów literatury polskiej, w czterechsetną rocznicę urodzin Reja 1505—1905. Bibl. Prawdy, książ. 14. Kraków, 1905. Nakład. redakcyi „Prawdy.” 8-o, str. 41.

TRETIAK JÓZEF: Juliusz Słowacki. Historia ducha poety i jej odbicie w poezyi. Kraków, 1904. Nakładem Akad. Umiejęt. w księgarni Spółki wydawniczej polskiej. Druk. Uniw. Jagiell. 8-o. T. I (z 3 rycinami) str. VIII + 495; t. II (z 2 rycinami) str. 504.

WACHHOLZ L. DR. PROF.: Sto lat istnienia katedry medycyny sądowej w Uniwersytecie Jagiellońskim. Zarys dziejowy. Odb. z „Przegl. lek.,” 1905, 3. Kraków, 1905. 8-o, str. 38.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSSON: Rękawiczka. Sztuka w 3-ch aktach, tłómaczyła *Marya Bujno*. („Książki dla wszystkich“ № 182). Warszawa, 1905. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o form. mały, str. 114.

BRIEUX: Wykolejeni. Sztuka w 3-ch akt., tłómaczył *Zygmunt Morawski*. („Książki dla wszystkich“ № 158). Warszawa, 1904. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o form. mały, str. 135.

DANIŁOWSKI GUSTAW: Nad Urwiskiem. Warszawa, 1905. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. 4-o małe, str. 15.

HAUBERT GUSTAW: Salammbó. Przekład z francuskiego *M. G.* Z przedmową *Wł. Jabłonowskiego*. („Biblioteka dzieł wyborowych“ № 367). Warszawa, 1905. Druk. Józefa Sikorskiego. 8-o. T. II, str. 173.

GORKIJ MAKSYM: Wybór pism. III. Tomasz Gordiejew. Przełożył *Edward Chwałewik*. Warszawa, 1905. 8-o, str. 398.

GRUSZECKI ARTUR: Nad Wartą. Powieść współczesna. Warszawa, 1905. Nakład. Jana Fiszera. 8-o, str. 296.

TENŻE: Słomiany ogień. Powieść współczesna. Warszawa, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 367.

HAUPTMANN GERHART: Święto pokoju, Katastrofa rodzinna. Przełożył *Adolf Strzelecki*. („Książki dla wszystkich“ № 189). Warszawa, 1904. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o, form. mały, str. 142.

TENŻE: Ponad siły. Dramat. Przełożył *Adolf Strzelecki*. („Książki dla wszystkich“ № 190). Warszawa, 1904. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o form. mały, str. 105.

HOESIK FERDYNAND: Preludya. Monte Carlo. — W Montmorency. — Śmierć Juliusza de Goncourt. — Z wrażeń paryskich. — Przed obiadem. Warszawa, 1904. Nakład. księgarni F. Hoesicka. 12-o, str. 240.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ: Chimera. Powieść. Z przedmową *Zdzisława Dębickiego*. („Biblioteka dzieł wyborowych“ №№ 368—9). Warszawa, 1905. Druk. Józefa Sikorskiego. 8-o, t. I str. 168; t. II str. 149.

TENŻE: Różni ludzie. Pamiętnik. — O zachodzie. — Dla użycia. — Esteci. — Paweł Gamoń. — Curriculum vitae. — Co wypada? — Tani obiad. — Po walce. Warszawa. Nakład. i druk. Alfreda Zonera. 8-o, str. 180.

JUNOSZA KLEMENS: Cud na Kirkucie. Warszawa, 1905. Skład gł. w ks. E. Wende i Sp. 4-o małe, str. 36.

KONOPNICKA MARYA: Jakton. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 4-o małe, str. 28

TAŻ: Mendel Gdański. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 4-o małe, str. 30.

MAETERLINCK M.: Śmierć Tintagileza. Dramat. Tłómaczył *S. Brzozowski*. („Książki dla wszystkich“ № 228). Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o form. mały, str. 54.

NAUI G. E.: Burza w ciemności. Dramat. Przełożył *A. Strzelecki*. („Książki dla wszystkich“ № 195). Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o form. mały, str. 65.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Dewajtis. Powieść współczesna, uwieczniona na konkursie „Kuryera Warszawskiego“ (dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Wędrowca“). Część II. Warszawa, 1905. 8-o, str. 144.

ROSSOWSKI STANISŁAW: Zuzanna w kąpielu. Rzecz w 1 akcie. Wobec scen. jako manuskrypt. „Bibl. powsz.“ № 504. Lwów—Złoczów, 1905. Nakład. i druk. W. Zukerkandla. 8-o, str. 41.

SEWER (Ig. Maciejowski) i TADEUSZ MICIŃSKI: Marcin Łuba. Dramat w 4-ch aktach. („Książki dla wszystkich“ № 230). Warszawa, 1905. Nakładem i druk. M. Arcta. 8-o, form. mały, str. 116.

SIENKIEWICZ HENRYK: Pisma. T. VI, VII, VIII i IX. Ogniem i mieczem. T. 1—4. Wyd. 7. Warszawa—Kraków, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 271 + 290 + 317 + 229.

TENŻE: Pisma. T. LXXIV. Na marne. Dod. do „Tygodn. illustr.“ Warszawa—Kraków, 1905. Nakład. red. „Tyg. Illustr.“ 8-o, str. 202.

STODOR ADAM: Drobne poezye Kazimierza Brodzińskiego do r. 1818. (Przypisek do charakterystyki poety). Stanisławów. Albin Standacher i Sp. Warszawa, 1905. Jan Fiszer. 8-o, str. 45.

TENŻE: Jawnogrzecznicza. Stanisławów. Nakładem księgarni Romana Jasielskiego. Gebethner i Wolff w Warszawie. Z drukarni Wł. Teodoreszuka i Sp. w Krakowie MCMV. 8-o, str. 51.

WAZOW IWAN: Pod jarzmem tureckim. Powieść osnuta na tle walki Bułgarów z Turkami w r. 1876. Przełożyła z bułgarskiego i licznemi objaśnie-

niami uzupełniła *Helena Sopotkowska*. Wydanie wznowione. T. I—II z życiorysem i portretem autora, oraz 20 ilustr. Kraków, 1905. Nakład. i druk. „Czasu.“ 8-o, str. XIX + 240 + 300.

S Z T U K A.

CHMIEL ADAM: Materiały sfragistyczne, pieczęcie żydowskie. Odbitka z „Wiadomości num. arch.“ № 3 (59). Kraków, 1904. Nakład. Tow. numizm. 8-o, str. 8.

TENŻE: Kafle średniowieczne, znalezione w Oświęcimiu. Odb. z „Teki grona konserwatorów“ t. II. 1905 r. Kraków, 1905. 4-o f. wydł., str. 11 z ryc.

ZUBRZYCKI JAN DR.: Architektura kościołów Maryackich. Odb. z książki pamiąt. Maryańskiej. Kraków, 1904. Nakład. autora, Sp. wyd. 8-o, str. 48.

N A U K I Ś C I S Ł E.

FRIEDBERG WILHELM DR.: Atlas geologiczny Galicyi. Tekst do zeszytu XVI. Arkusze: Rudnik i Raniżów (p. 3, sl. VII), Ropezyce i Dębica (p. 4, sl. VI), Rzeszów, i Łańcut (p. 4, sl. VII). Kraków, 1903. Wyd. Komis. fizyogr. Akad. Umiej. Nakład. Akad. Umiej. 8-o, str. 147 z atlasem.

HERYNG T. DR.: O nowych metodach i przyrządach inhalacyjnych. Odb. z „Przegl. Lekar.“ 9-o, str. 10.

TENŻE: Metody badania i miejscowego leczenia chorób krtani. Przez... Z 137-u rysunkami w tekście i 3-ma tablicami. Warszawa, 1905. Wyd. „Gazety Lekarskiej.“ Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 8-o form. duży, str. 380.

ŁOMNICKI A. M. PROF.: Atlas geologiczny Galicyi. Tekst do zeszytu piętnastego: (Chwałowice sl. VII, p. 1), Tarnobrzeg (sl. VI p. 2), Nisko i Rozwadów (sl. VII i VIII, p. 2), Szczecin i Nowe Miasto Korczyn (sl. IV i V, p. 3), Mielec i Majdan (sl. VI, p. 3), Ujście Solne (sl. IV, p. 4), Tarnów i Dąbrowa (sl. V, p. 4). Kraków, 1903. Wyd. komis. fizyogr. Akad. Umiej. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, str. IV + 84 z atlasem.

SZAJNOCHA WŁADYSŁAW DR.: Atlas geologiczny Galicyi. Tekst do zeszytu jedenastego. Arkusze: Wadowice (sl. II, p. 5), Wieliczka i Mysłenice (sl. III, p. 5), Bochnia i Czchów (sl. IV, p. 5), Nowy Sącz (sl. IV, p. 6). Kraków, 1903. Wyd. komis. fizyogr. Akad. Umiej. Nakł. Akad. 8-o, str. 118 z atlas.

STERLING SEWERYN DR.: O suchotach czyli gruźlicy, jak się tej choroby wystrzegać. Napisał... Wyd. czwarte, poprawione. Warszawa, 1905. Wyd. Łódzk. Tow. Hyg. Warsz. 8-o, form. podł.

WITKOWSKI A., prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego: Zasady fizyki. Tom II. Zeszyt drugi (część piąta). Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1904. Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 8-o form. duży, str. 304.

R Ó Ź N E.

ENCYKLOPEDIA POLSKA. Program. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, str. 21.

GÓRSKI STEFAN: Dziennikarstwo polskie. Zarys historyczny. Napisał... Warszawa, 1905. („Książki dla wszystkich“ № 245). Nakł. M. Arcta. 16-o, str. 134.

PRZEWODNIK PO WARSZAWIE na rok 1905. Warszawa, 1905. Nakł. A. Orłowskiego, druk. Lepperta i Sp. 8-o, str. LIV + 246, n.

